

W cieniu zakwitających dziewcząt, tom drugi





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

MARCEL PROUST

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU

W cieniu zakwitających dziewcząt

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

TOM DRUGI

Tymczasem pani Bontemps, która mówiła sto razy, że nie chciałaby być u państwa Verdurin, uszczęśliwiona, że ją zaproszono na środy, obliczała właśnie w duchu, w jaki sposób mogłaby tam być możliwie najczęściej. Nie wiedziała, że pani Verdurin wymaga, aby nie opuścić żadnej środy; z drugiej strony, należała do tych mało poszukiwanych osób, które, kiedy są zaproszone na serię przyjęć do jakiegoś domu, nie idą po prostu wówczas, gdy mają wolną chwilę i ochotę jak ci, co wiedzą, że zawsze zrobią przyjemność. Przeciwnie, takie osoby wyrzekają się na przykład pierwszego i trzeciego wieczoru, wyobrażając sobie, że ich nieobecność zwróci uwagę i zachowując się na drugi i czwarty; chyba że, mając jakieś informacje, iż trzeci „żurek” będzie osobliwie świetny, obiorą odwrotny porządek, utrzymując, że „niestety poprzednim razem nie były wolne”. Tak pani Bontemps obliczała, ile może być jeszcze śród przed Wielkanocą i w jaki sposób mogłaby zyskać jedną więcej, nie robiąc wrażenia, że się narzuca. Liczyła na panią Cottard, że jej w drodze da jakieś wskazówki.

— Och, pani Bontemps, widzę, że pani wstaje, to bardzo nieładnie dawać w ten sposób hasło do ucieczki. Winna mi pani kompensatę za to, że pani nie była w ostatni czwartek... No, niechże pani siada jeszcze na chwilę. Nie odrobi już pani przecie żadnej wizyty przed obiadem. Doprawdy, nie da się pani skusić? — mówiła pani Swann, podsuwając talerz z ciasteczkami. — Wie pani, że to wcale niezłe te świństewka. Niepokażne to, ale niech pani tylko skosztuje!...

— Przeciwnie, to wygląda bardzo kusząco — odpowiadała pani Cottard. — U pani, pani Odeto, nigdy nie grozi śmierć głodowa. Nie potrzebuję pytać o markę fabryczną, wiem, że pani wszystko bierze od Rebatteta. Muszę wyznać, że jestem bardziej eklektyczna. W kwestii ptifurów i w ogóle wszelkich łakoci często zwracam się do Bourbonneux. Ale uznaję, że oni tam nie mają pojęcia, co to są dobre lody. We wszystkim, co tyczy lodów, kremów czy sorbetu, Rebattet to Sztuka przez wielkie „S”. To, jakby powiedział mój mąż, *nec plus ultra*.

— Ale to jest po prostu robione tutaj, w domu. Doprawdy nie?

— Nie mogłabym jeść obiadu — odpowiadała pani Bontemps — ale siadam jeszcze na chwilę, wie pani, ja uwielbiam rozmawiać z osobą inteligentną jak pani.

— Wydam się pani niedyskretna, pani Odeto, ale rada bym wiedzieć, co pani sądzi o kapeluszu pani Trombert. Wiem, że modne są wielkie kapelusze, ale ona już trochę przesadziła. A w porównaniu z kapeluszem, w jakim przyszła kiedyś do mnie, ten dzisiejszy był raczej mikroskopijny.

— Ale nie, ja nie jestem inteligentna — mówiła kokieteryjnie Odeta. — Ja jestem w gruncie naiwne stworzenie, które wierzy we wszystko, co mu ktoś mówi, które bierze sobie do serca wszystko.

I dawała do zrozumienia, że w początkach bardzo cierpiała, wyszedłszy za człowieka takiego jak Swann, który „chodził na boki” i zdradzał ją.

Tymczasem książe d'Agriente, usłyszawszy owo: „nie jestem inteligentna”, czuł się w obowiązku protestować, ale nie miał daru znalezienia się w kropce.

— Tararara! — wykrzyknęła pani Bontemps — pani nieinteligentna!

— W istocie, powiadałem sobie: „Co ja słyszę?” — rzekł książe, chwytając tę deskę ratunku. — Musiały mnie uszy mylić.

— Ależ nie, upewniam was — mówiła Odeta — ja jestem w gruncie mała mieszczałka, bardzo płochliwa, pełna przesądów, żyjąca w swojej norce, a zwłaszcza bardzo ciemna.

— Czy książe widział naszego kochanego baroneta? — dodała, aby zasięgnąć nowin o baronie de Charlus.

— Pani ciemna! — wykrzykiwała pani Bontemps. — W takim razie, co by pani powiedziała o świecie oficjalnym, o wszystkich ekscelencjach, które umieją mówić tylko o szmatkach!... Ot, moja pani, nie dalej niż przed tygodniem ściągam ministrową oświaty na temat *Lohengrina*. Odpowiada: „*Lohengrin*? A tak, to ostatnia rewia w Folies-Bergères, zdaje się, że to szalenie zabawne”. No i co, moja pani, cóż pani chce, kiedy się słyszy takie rzeczy, to się w człowieku gotuje. Miałam ochotę spoliczkować ją. Bo ja, wie pani, ja mam

swój charakterek. No, niech pan powie — rzekła, zwracając się do mnie — czy nie mam racji?

— Wie pani — rzekła pani Cottard — można wybaczyć, że ktoś odpowie niezupełnie trafnie, kiedy go zapytają tak nagle, niespodzianie. Wiem coś o tym, bo pani Verdurin ma zwyczaj przykładać nam tak nóż do gardła.

— *À propos* pani Verdurin — zagadnęła pani Bontemps panią Cottard — czy pani wie, kto tam będzie u niej we środę... A, przypominam sobie teraz, żeśmy przyjęli jakieś zaproszenie na najbliższą środę. Czy nie zechciałaby pani przyjść do nas na obiad od środy za tydzień? Poszłybyśmy razem do pani Verdurin. To mnie onieśmiela tak wchodzić samej; nie wiem czemu, ale ta wielka kobieta zawsze mnie przejmowała strachem.

— Powiem pani — odparła pani Cottard — co panią tak przestrasza u pani Verdurin: to jej organ. Cóż pani chce, nie każdy ma taki piękny organ jak pani Swann. Ale wystarczy zagrzać miejsce, jak mówi „pryncypałka”, a lody niebawem pękną. Bo w gruncie ona jest bardzo ujmująca. Ale rozumiem bardzo dobrze pani sensacje, to nigdy nie jest miło znaleźć się pierwszy raz w nieznaną krainie.

— Mogłaby i pani zjeść obiad z nami — rzekła pani Bontemps do pani Swann. — Po obiedzie puściłybyśmy się razem na Verdurinów, porobić trochę w Verdurinach. Choćby to groziło ryzykiem, że „pryncypałka” wypatrzy się na mnie i nie zaprosi mnie więcej, będziemy tam sobie siedziały, gawędząc we trójkę, czuję, że to by mnie najbardziej bawiło.

Ale twierdzenie to nie musiało być zbyt wiarogodne, bo pani Bontemps wypytywała:

— Jak panie myślicie, kto tam będzie od środy za tydzień? Co się tam będzie działo? Nie będzie chyba tak strasznie dużo ludzi?

— Ja z pewnością nie będę — rzekła Odeta. — Pokażemy się tylko na chwilę na ostatniej środzie. Jeżeli pani nie robi różnicy poczekać...

Ale pani Bontemps nie zdawała się zachwycona perspektywą odroczenia.

Zazwyczaj duchowe zalety jakiegoś salonu a jego elegancja znajdują się do siebie w stosunku raczej odwrotnym. Jednakże — skoro pani Bontemps mogła się wydawać Swannowi miła! — trzeba wierzyć, że wszelka degradacja ma ten skutek, iż czyni człowieka mniej wybrednym co do osób, z którymi zrezygnował się pędzić życie, mniej wybrednym co do dowcipu i co do reszty. I jeżeli to jest prawda, ludzie muszą, jak narody, widzieć, jak ich kultura, język nawet, giną wraz z ich niepodległością. Jednym z objawów tej pobłażliwości jest to, iż powiększa ona upodobanie, jakie, poczawszy od pewnego wieku, znajdujemy w słowach będących hołdem dla naszego sposobu myślenia, dla naszych skłonności, zachętą, aby się im poddać; to ów wiek, w którym sławny artysta nad obcowanie twórczych duchów przekłada towarzystwo uczniów, mających z nim wspólną jedynie jego doktrynę, kadzących mu, słuchających go; wiek, w którym niepospolitemu mężczyźnie lub niepospolitej kobiecie, żyjącym dla miłości, najinteligentniejszą na jakimś zebraniu wyda się osoba może przeciętna, ale dowodząca jakimś słówkiem, iż rozumie i uznaje potrzeby zmysłów, głosząc w ten sposób mile ich skłonności. Był to również wiek, w którym Swann, zostawszy mężem Odety, lubił słyszeć z ust pani Bontemps, że śmieszne jest przyjmować same „grandessy” (z czego wyciągał wniosek, na wspak dawnemu Swannowi u Verdurinów, że to jest zacna kobieta, bardzo inteligentna i nie snobka), i lubił opowiadać jej historie, od których pani Bontemps „pękała ze śmiechu”, bo ich nie znała, i które zresztą „chwyciła” szybko, zawsze skłonna do pochlebstw i do zabawy.

— Zatem doktor nie przepada tak jak pani za kwiatami? — pytała pani Swann pani Cottard.

— Och, pani wie, mój mąż to mędrzec, umiarkowany jest we wszystkim. Ale nie, owszem, ma jedną namiętność.

— Jaką, jaką? — pytała pani Bontemps z okiem błyszczącym złośliwością, uciechą i zaciekawieniem.

Z prostotą pani Cottard odparła:

— Lekturę.

— Och, to jest niewinna namiętność u męża! — wykrzyknęła pani Bontemps, dławiąc szatański śmiech.

— Kiedy doktor utonie w książce, oho!

— No, to pani nie musi tak przerażać...

— Ależ owszem!... o jego wzrok. Muszę teraz wracać, pani Odeto, ale najbliższego dnia zapukam do pani wrót. *À propos* wzroku, czy wiecie, że pałacyk, który świeżo kupił pani Verdurin, będzie oświetlony elektrycznością? Wiem to nie przez moją osobistą policję, ale inną drogą: powiedział mi to sam Mildé, elektrotechnik. Widzicie panie, że cytuję źródła. Nawet w sypialniach będą lampy elektryczne z abażurami dla stonowania światła. To przemiły zbytek, prawda? Zresztą dzisiejsze pokolenie żąda wciąż czegoś nowego, jedna nowość goni drugą. Bratowa jednej z moich przyjaciółek dała u siebie założyć telefon. Może robić sprawunki, nie wychodząc z domu! Przyznaję, że dopuściłam się płaskich intryg, aby na jeden raz uzyskać dostęp do tego aparatu. Bardzo mnie to kusi, ale raczej u przyjaciółki niż u siebie. Zdaje mi się, że nie lubiłabym mieć telefonu w domu. Skoro minie pierwsza zabawa, to musi być prawdziwe urwanie głowy. No, pani Odeto, uciekam, nie zatrzymuj już pani Bontemps, skoro ofiaruje mi gościnę w swoim wehikule; trzeba mi się wyrwać stąd siłą, ładne rzeczy ze mną wyprawiasz, wrócę do domu po mężu!

I ja musiałem wracać, nim zakosztowałem owych zimowych rozkoszy, których lśniąca powłoką zdawały mi się złocenie. Rozkosze te nie przyszły, mimo to pani Swann nie zdawała się już oczekiwać niczego. Pozwoliła służbie sprzątać herbatę, jakby oznajmiała: „Zamykamy”. I w końcu rzekła do mnie: „Więc naprawdę idzie już pan? A więc *good bye!*”. Czulem, że nawet zostawszy dłużej nie spotkałbym owych nieznanych rozkoszy i że nie sam tylko własny mój smutek pozbawia mnie ich. Czyż więc nie znajdują się na tej ubitej drodze godzin, wiodącej zawsze tak szybko do chwili rozstania? Czy raczej spotkałoby się je na jakiejś bocznej dróżce, której nie znałem i w którą trzeba by skręcić? Ale osiągnąłem bodaj cel wizyty. Gilberta będzie wiedziała, że byłam u rodziców w jej nieobecności i że zrobiłem tam, jak nie przestała powtarzać pani Cottard, „szturmem, przebojem, konkię pani Verdurin”, która — dodała żona doktora — nikomu nie zwykła robić „tyle awansów”. „Musi — dodała — istnieć między państwem jakieś powinowactwo z wyboru”. Gilberta dowie się, że mówiłem o niej tak, jak należało, serdecznie, ale że nie jestem niezdolny żyć bez jej widoku, co uważałem za podstawę znudzenia, jakie Gilberta odczuwała przy mnie w ostatnich czasach.

Powiedziałem pani Swann, że nie mogę się już spotykać z Gilbertą. Powiedziałem to tak, jakbym postanowił nie widzieć jej już nigdy. A list, który miałem przesłać Gilbertcie, byłby w tym samym duchu. Ale w myślach, aby sobie dodać odwagi, planowałem jedynie stanowczy i krótki wysiłek kilkudniowy. Powiadałem sobie: „Ostatni raz odrzucam widzenie Gilberty; następnym razem przyjmę”. Aby uczynić rozłąkę łatwiejszą do spełnienia, nie określiłem jej jeszcze jako ostateczną. Ale czulem, że nią będzie.

Nowy Rok był mi tego roku szczególnie bolesny. Gdy się jest nieszczęśliwym, wszystko jest ciężkie, co jest datą i rocznicą. Ale gdy chodzi na przykład o stratę drogiej istoty, cierpienie polega jedynie na żywszym porównaniu z przeszłością. W moim wypadku łączyła się z tym mętna nadzieja, że Gilberta, zostawiwszy mi dotąd inicjatywę pierwszych kroków i stwierdziwszy, że ich nie zrobił, czeka jedynie pretekstu Nowego Roku, aby napisać do mnie tak: „Ostatecznie, o co chodzi, ja szaleję za tobą, przyjdź, rozmówimy się po prostu, nie mogę żyć bez ciebie”...

W ostatnich dniach kończącego się roku list ten wydawał mi się prawdopodobny. Myliłem się może, ale aby w coś uwierzyć, wystarcza pragnąć tego, potrzebować. Żołnierz wierzy, że mu będzie udzielona jakaś nieograniczona zwłoka, nim będzie zabity; złodziej — nim go złapią, wszyscy ludzie — nim umrą. To ów amulet, chroniący jednostki — czasami narody — nie od niebezpieczeństwa, ale od obawy niebezpieczeństwa, w istocie od wiary w niebezpieczeństwo, co w pewnych wypadkach pozwala stawić mu czoło, choćby się nie było szczególnie odważnym. Tego rodzaju ufność — i równie mało uzasadniona — krzepi zakochanego, gdy liczy na pojednanie, na list. Na to, abym nie oczekiwał tego listu, wystarczyłoby przestać go pragnąć. Choćby człowiek wiedział, że jest najubożniejszy tej, którą jeszcze kocha, przypisuje jej serię myśli — bodaj obojętnych — chęć objawienia ich, komplikacje wewnętrzne, w których on jest przedmiotem może antypatii, ale też ciągłego zainteresowania. Aby, przeciwnie, wyobrazić sobie stan ducha Gilberty, należałoby mi po prostu antycypować w ów Nowy Rok to, co będę od-

Miłość

czuwał tego dnia w przyszłych latach, kiedy pamięć, milczenie, czułość lub chłód Gilberty uszłyby prawie niepostrzeżone moim oczom i kiedy bym nie pomyślał, ani nawet mógł pomyśleć o rozwiązywaniu problemów nieistniejących już dla mnie. Kiedy kochamy, miłość jest za wielka, aby się mogła w nas pomieścić cała; promieniuje ku kochanej osobie, spotyka w niej powierzchnię, która zatrzymuje tę miłość i wysyła ją z powrotem; i to odbicie własnej naszej czułości, nazywamy uczuciem drugiej osoby; ono to czaruje nas więcej, niż kiedy szło ku niej, bo nie poznajemy, że jest z nas samych.

Pierwszy stycznia wydzwonił wszystkie swoje godziny bez jej listu. Że zaś otrzymałem nieco życzeń późnych lub spóźnionych wskutek zatoru poczty w owych dniach, jeszcze trzeciego i czwartego stycznia spodziewałem się wciąż listu Gilberty, ale coraz to mniej. Przez następne dni płakałem dużo. Z pewnością pochodziło to stąd, że wyrzekłszy się Gilberty mniej szczerze, niż sądziłem, zachowałem ową nadzieję listu od niej na Nowy Rok. I wyczerpawszy tę nadzieję, nim miałem czas zaopatrzyć się w drugą, cierpiałem niby chory, który zużył fiolkę morfiny, nie mając pod ręką nowej.

Ale może — i te dwa wykłady nie wykluczają się wzajem, bo jedno uczucie składa się czasami z kilku uczuć sprzecznych — nadzieja, iż otrzymam wreszcie list, zbliżyła do mnie obraz Gilberty, odrodziła dawne wzruszenia płynące z oczekiwania wizyty u niej, z jej widoku, z jej zachowania się. Bezpośrednia możliwość pojednania zabiła tę rzecz, z której ogromu nie zdajemy sobie sprawy — rezygnację. Neurastenicy nie mogą uwierzyć, gdy ich ktoś zapewnia, że się uspokoją stopniowo, pozostając w łóżku bez listów i gazet. Wyobrażają sobie, że ten tryb pogorszy jedynie stan ich nerwów. Podobnie zakochani, oceniając ten środek z perspektywy wręcz przeciwnego stanu, nie podjąwszy próby, nie mogą uwierzyć w dobroczynną moc wyrzeczenia się.

Z powodu zbyt silnego bicia serca zmniejszono mi dawki kofeiny; bicie serca ustąpiło. I zacząłem się zastanawiać, czy to nie z kofeiny po trosze był ów ucisk serca, jakiego doznawałem wówczas, kiedy się prawie poróżnił z Gilbertą i którego każdy nawrót przypisywałem mężarniom rozstania lub obawie, żebym ujrzął Gilbertę tak samo nadąsaną. Ale jeżeli ten narkotyk był źródłem moich cierpień, fałszywie w takim razie tłumaczonych przez moją wyobraźnię (w czym nie byłoby nic niezwykłego, ile że najokrutniejsze cierpienia moralne miewają często u kochanków źródło w fizycznym przyzwyczajeniu do kobiety, z którą żyją), był on niby ów kordiał, który długo po zażyciu wciąż wiązał Tristana do Izoldy. Bo poprawa fizyczna, jaką zmniejszenie dawek kofeiny spowodowało u mnie prawie natychmiast, nie powstrzymała rozwoju zgryzoty, którą niegdyś narkotyk, o ile jej nie wywołał, to bodaj zdołał zaostrzyć.

Ale kiedy nadeszła połowa stycznia, skoro się rozwiały nadzieje noworocznego listu i uśmierzył się ból towarzyszący ukojonemu wreszcie zawodowi, wówczas zaczęła się na nowo moja zgryzota sprzed Świąt. A najokrutniejsze było w niej może to, że ja byłem sam jej nieświadomym, samowolnym, bezlitosnym i cierpliwym twórcą. Ja sam pracowałem nad tym, aby uniemożliwić jedyną rzecz, na której mi zależało, stosunki z Gilbertą, stwarzając pomału, przedłużeniem rozłąki, obojętność nie Gilberty, ale — co miało wyjść w końcu na jedno — swoją własną. Pracowałem zaciekle nad długim i okrutnym samobójstwem tego *siebie*, który we mnie kochał Gilbertę; pracowałem, widząc jasno nie tylko to, co robię w danej chwili, ale co stąd wyniknie na przyszłość. Wiedziałem nie tylko, że za jakiś czas nie będę już kochał Gilberty, ale i to, że ona będzie żałowała tego i że jej ówczesne próby widywania się ze mną będą równie daremne jak dzisiejsze, już nie dlatego żebym ją kochał zanadto, ale że będę z pewnością kochał inną kobietę, upragnioną i oczekiwaną przez godziny, z których nie śmiałbym uronić ani cząsteczki dla Gilberty, będącej mi już wówczas niczym. I z pewnością w tej samej chwili, kiedy (skoro postanowiłem jej nie widzieć, chyba w razie formalnego żądania wyjaśnień, wyznania miłości z jej strony, co nie miało już żadnych widoków) straciłem Gilbertę i kochałem ją tym więcej, czułem, czym ona była dla mnie, lepiej niż w poprzednim roku, kiedy, spędzając z nią do woli wszystkie popołudnia, wierzyłem, że nic nie grozi naszej przyjaźni. I z pewnością w owej chwili myśl, że mógłbym kiedyś odczuwać to samo dla innej, była mi wstrętna; bo ta myśl zabierała mi oprócz Gilberty moją miłość i moje cierpienie. Moją miłość, moje cierpienie, w których z płaczem starałem się uchwycić, czym właściwie jest Gilberta;

i trzeba mi było uznać, że ta miłość i to cierpienie nie są specjalnie jej własnością i że, wcześniej lub później, staną się wianem jakiejś innej kobiety.

W ten sposób — tak myślałem wówczas — uczucia nasze są zawsze niezależne od istot; kiedy kochamy, czujemy, że ta miłość nie nosi ich imienia, że będzie się mogła odrodzić, że byłaby mogła zrodzić się nie dla tej, ale dla innej. I jeżeli w czasie, gdy nie kochamy, godzimy się filozoficznie z tym co jest sprzecznego w miłości, to dlatego, że tej miłości, o której rozprawiamy swobodnie, nie czujemy wówczas, zatem nie znamy jej, ile że znajomość tych spraw jest przerywana i nie trwa poza istotną obecność uczucia.

O tej przyszłości, w której przestałbym już kochać i którą moje cierpienie pomagało mi zgadywać, mimo iż wyobraźnia nie umiała jej jeszcze sobie jasno odtworzyć, z pewnością byłby jeszcze czas uprzedzić Gilbertę; uprzedzić ją, że się ta przyszłość ukształtuje pomału, że jej nadejście, jeżeli nie grozi natychmiast, jest w każdym razie nieuchronne, o ile ona sama nie przyjdzie mi z pomocą i nie zniweczy w zarodku mojej przyszłej obojętności. Ileż razy chciałem już pisać lub iść powiedzieć Gilbertce: „Uważaj, powziąłem postanowienie; krok, który czynię, jest krokiem ostatecznym. Widzę cię ostatni raz. Wkrótce nie będę cię już kochał”.

Na co? Jakim prawem wyrzucałbym Gilbertce obojętność, którą, nie poczuwając się w tym do żadnej winy, żywiłem dla wszystkiego, co nie było nią? Ostatni raz! Mnie się to wydawało czymś olbrzymim, bom kochał Gilbertę. Na niej zrobiłoby to z pewnością tyle wrażenia, co owe listy, w których przyjaciel, opuszczając na zawsze kraj, prosi o widzenie się z nami; i my odmawiamy mu tego spotkania — jak nudnym kobietom, które nas kochają, aby gonić za jakąś przyjemnością. Czas, którym rozporządzamy każdego dnia, jest elastyczny; namiętności, które odczuwamy, rozprzestrzeniają ów czas; te, które budzimy, kurczą go, a przyzwyczajenie wypełnia go.

Zresztą, daremnie bym mówił do Gilberty, nie usłyszałaby mnie. Kiedy mówimy, wyobrażamy sobie zawsze, że to nasze uszy słuchają, że to nasz duch słucha. Moje słowa doszłyby Gilberty skrzywione, tak jakby miały do przebycia ruchomą zasłonę wodospadu; zmienione do niepoznania, śmieszny dźwięk, pozbawiony wszelkiego znaczenia. Prawda, jaką wkładamy w słowa, nie toruje sobie drogi wprost, nie posiada nieodpartej oczywistości. Musi upłynąć sporo czasu, aby się w nich wykrystalizowała analogiczna prawda. Wówczas polityk, który, mimo wszystkich argumentów i dowodów, uważał przeciwnika politycznego za zdrajcę, dzieli sam zniechęcone przekonania, obojętne już temu, który daremnie starał się je szerzyć. Wówczas arcydzieło, które czytającym je głośno wielbicielom wydawało się czymś bezsprzecznie genialnym, tym zaś, co go słuchali, dawało jedynie niedorzeczny lub mierny obraz, będzie przez nich okrzyknięte arcydziełem — zbyt późno, aby autor mógł się o tym dowiedzieć. Podobne zapory istnieją w miłości i co bądź by czynił ten którego one przywodzą do rozpacz, nie ma sposobu skruszenia ich z zewnątrz; dopiero kiedy już nie będzie dbał o nie, naraz, dzięki pracy pochodzącej z drugiej strony, spełnionej we wnętrzu osoby, która nie kochała, zapory te, zwalczane niegdyś bezskutecznie, padną bez pożytku. Gdybym oznajmił Gilbertce swoją przyszłą obojętność i sposób zapobieżenia jej, wywnioskowałaby z tego, że miłość moja dla niej, że potrzeba jej obecności, są jeszcze większe, niż sądziła, i znudzenie jej moim widokiem jeszcze by od tego wzrosło. I faktem zresztą jest, że to ta miłość, przez rozbieżne stany duszy, jakie kolejno we mnie stwarzała, pomagała mi przewidzieć — lepiej niż to mogła uczynić Gilberta — koniec tej miłości. A jednak skierowałbym może do Gilberty, listownie lub ustnie, takie ostrzeżenie, kiedy by upłynęło dosyć czasu, czyniąc mi ją w istocie mniej nieodzowną, ale też dowodząc jej, że mogę bez niej istnieć. Niestety, pewne osoby, w dobrej lub w złej intencji, mówiły jej o mnie w sposób, który musiał w Gilbertce wywołać wrażenie, że czynią to na moją prośbę. Za każdym razem, kiedym się dowiedział, że Cottard lub moja matka, lub nawet pan de Norpois, unicestwili niezręcznym słowem całe moje męczeństwo, że zniszczyli owoc moich wyrzeczeń, dając mi fałszywie pozór, że się nimi znużył, odczuwałem podwójną przykrość. Po pierwsze, mogłem datować dopiero od tego dnia swoją przykrą i płodną abstynencję, którą intruzi bez mojej wiedzy przerwali i tym samym zanulowali. Po wtóre, mniej znalazłbym obecnie przyjemności w ujrzeniu Gilberty, która wyobrażała mi się teraz nie pełnym godnej rezygnacji, lecz manewrującym pokątnie dla zdobycia spotkania, którego nie raczyła mi udzielić. Przeklinałem puste gadulstwo ludzi, którzy często nawet bez chęci szkodenia lub pomagania, bez celu, po to aby ga-

Czas, Miłość

dać, czasem dlatego, że my sami nie mogliśmy się wstrzymać od gadania w ich obecności i że są niedyskretni (jak my), wyrządzają nam w danym momencie tyle złego. Prawda, iż w oplakany dziele zniweczenia naszej miłości dalecy są od dorównania sprawności dwójga osób, które zwykły, jedna z nadmiaru dobroci, druga z nadmiaru złości, wszystko niszczyć w chwili, gdy wszystko miało się ułożyć. Ale do tych dwóch osób nie mamy żalu jak do niewczesnych Cottardów, bo drugą z nich jest ta, którą kochamy, a pierwszą my sami.

Ale ponieważ za każdym prawie razem, kiedy ją odwiedzałam, pani Swann zapraszała mnie na podwieczorek do córki i mówiła, że bym dał znać Gilbertce wprost, pisywałam często do niej. W tej korespondencji nie doбираłem słów, jakie mogłyby — jak sądziłem — przekonać Gilbertę: starałem się jedynie utorować najśłodsze łożysko dla płynących łez. Bo żal, jak pragnienie, stara się nie analizować, ale uczynić sobie zadość; gdy zaczynamy kochać, żyjemy nie dociekaniem, czym jest jej miłość, ale obmyślaniami jutrzejszej schadzki. Kiedy się wyrzekamy miłości, nie staramy się objąć swojej zgrzyoty, ale objąć ją jej sprawczyni w formie, która nam się wyda najbardziej wzruszająca. Mówimy rzeczy, których mówienia czujemy potrzebę, a których druga strona nie zrozumie, mówimy tylko dla siebie samych. Pisałem: „Sądziłem, że to nie byłoby możliwe. Niestety, widzę, że to nie jest takie trudne”. Mówiłem także: „Prawdopodobnie nie ujrzę cię już”; mówiłem to, w dalszym ciągu wystrzegając się chłodu, który by się mógł Gilbertce wydać sztuczny; i słowa te, kiedy ją pisałem, wyciskały mi łzy, bo czułem, że wyrażają nie to, w co chciałbym wierzyć, ale to, co się stanie naprawdę. Za najbliższą bowiem propozycją spotkania ze strony Gilberty, znalazłbym jeszcze, jak tym razem, odwagę przezwyciężenia się; i tak stale odmawiając, doszedłbym stopniowo do chwili, w której na skutek niewidywania Gilberty, przestałbym pragnąć ją widzieć. Płakałem, ale znajdowałem siłę; poznawałem słodycz wyrzeczenia się widoku Gilberty w imię możliwości podobania się jej kiedyś, w dniu, gdy, niestety, będzie mi to już obojętne. Samo przypuszczenie, choć tak nieprawdopodobne, że w tej chwili (jak to Gilberta utrzymywała podczas ostatniej mojej wizyty) ona mnie kocha; że to, com brał za nudę i przesyt, było jedynie zazdrośną podejrzliwością, udanym chłodem podobnym do mojego własnego — przypuszczenie to czyniło mi decyzję jedynie mniej okrutną. Zdawało mi się wówczas, że za kilka lat, kiedy już zapomnimy o sobie wzajem, kiedy będę mógł retrospektywnie powiedzieć Gilbertce, że list, który do niej pisałem w tej chwili, nie był szczery, ona mi odpowie: „Jak to, pan mnie kochał? Gdyby pan wiedział, jak ja czekałam tego listu, jak marzyłam o ujrzaniu pana, jak oplakałam ten list!”. I podczas gdy pisałem do Gilberty tuż po powrocie od jej matki, ta myśl, że właśnie może dopełniam aktu owego nieporozumienia, ta myśl, przez sam swój smutek, przez słodycz rojenia, że mnie Gilberta kocha, kazała mi pisać dalej.

O ile ja, żegnając się z panią Swann z końcem jej „herbaty”, myślałem o tym, co napiszę do Gilberty, pani Cottard, odchodząc, miała myśli zupełnie odmiennego rodzaju. Robiąc swoją „małą inspekcję”, nie omieszkła powinszować pani Swann jej nowych mebli, świeżych „nabytków” zauważonych w salonie. Mogła zresztą tam odnaleźć, mimo że w niewielkiej ilości, przedmioty, które Odeta miała w swojej willi przy ulicy La Pérouse’a, zwłaszcza zwierzęta z kosztownych materiałów, jej fetysze.

Ale pani Swann, nauczywszy się od jednego z przyjaciół, którego wysoko ceniła, słowa „tandetka” — słowo to otworzyło jej nowe horyzonty, gdyż oznaczało właśnie rzeczy, które kilka lat wprzód wydały jej się „szykiem” — wyprawiała kolejno wszystkie te rzeczy na emeryturę, w ślad za złożoną kratą służącą za oparcie złocieniom, w ślad za niejedną bombonierką od Giroux i papierem listowym z koroną (nie mówiąc już o luidorach z kartonu rozsypanych na kominku, które o wiele jeszcze przed poznaniem Swanna, jakiś wytworny pan poradził jej skasować). Zresztą w jej artystycznym nieładzie, w pracownianym *bric-à-brac*, z pokojów o ścianach jeszcze malowanych ciemno, co je tak bardzo różniło od białych salonów, jakie pani Swann miała mieć nieco później, Daleki Wschód ustępował coraz bardziej inwazji XVIII wieku; poduszki, które, iżby mi było bardziej *confortable*, pani Swann piętrzyła i ugniatała za moim grzbietem, były usiane bukietami *Louis XV*, a nie już, jak dawniej, chińskimi smokami. W pokoju, gdzie zastawało się ją najczęściej i o którym mówiła: „Owszem, dosyć ten pokój lubię, dużo przebywam tutaj; nie mogłabym żyć pośród rzeczy wrogich i banalnych, tu najlepiej mi się pracuje” (nie precyzując zresztą, czy pracuje nad obrazem, może nad książką, ile że gust pisania

zaczynał się pojawiać u kobiet, lubiących coś robić, czymś się zając), Odeta była otoczona cackami *vieux Saxe* (lubiła tę markę porcelany, której nazwę wymawiała z akcentem angielskim, powtarzając przy lada sposobności: to ładne, to podobne do kwiatów *vieux Saxe*), obawiała się dla nich, bardziej jeszcze niż niegdyś dla swoich magotów, niezręcznych rąk lokajów i za lęki, o jakie ją przyprawiali, mściła się wybuchami, którym Swann, ten tak uprzejmy i łagodny pan domu, przyglądał się bez protestu. Jasne widzenie pewnych ujemnych stron nie zmniejsza w niczym tkliwości; przeciwnie, tkliwość sprawia, że się nam wydają urocze.

Obecnie Odeta przyjmowała swoich bliskich rzadziej już w japońskich szlafroczkach, raczej w jasnych i musujących peniuarach Watteau, których kwitnącą pianę pieściła dłonią na piersiach i w których kąpała się, przeciągała, trzepotała z takim poczuciem komfortu, świeżości skóry, z taką pełnią oddechu, jakby je uważała nie za dekorację, ramę, ale za coś niezbędnego, jak „*tub*” i „*footing*”, dla konserwowania swojej fizjonomii i dla wyrafinowań higieny. Chętnie mówiła, że łatwiej obeszlaby się bez chleba niż bez sztuki i czystości, i że bardziej by ją martwiło patrzeć, jak palą *Giocondę* niż „obfitych” osób spośród jej znajomych. Teorie te wydawały się przyjaciółkom Odety paradoksalne, ale sprawiały, że uchodziła w ich oczach za kobietę wyższą i zyskały jej raz na tydzień wizytę ambasadora belgijskiego. W małym świątku, którego Odeta była słońcem, każdy bardzo by się zdziwił, dowiadując się, że gdzie indziej, u Verdurinów na przykład, uchodziła za głupią. Wskutek tej żywości umysłu, pani Swann wołała towarzystwo mężczyzn niż kobiet. Ale kiedy krytykowała kobiety, czyniła to zawsze jak kokota, podkreślając wady zdolne im zaszkodzić w oczach mężczyzn, grube kostki, brzydką cerę, braki ortografii, włosy na nogach, przykry zapach, fałszywe brwi. Dla tych, które jej okazały niegdyś dobroć i pobłażliwość, była czulsza, zwłaszcza jeżeli popadły w nieszczęście. Broniała umiejętnie takiej kobiety, mówiąc: „Świat jest dla niej niesprawiedliwy, to bardzo miła kobietka, ręczę wam”.

Nie tylko urządzenie salonu, ale samą Odetę z trudnością poznałaby pani Cottard oraz wszyscy ci, którzy bywali u pani de Crécy, gdyby jej nie widzieli przez czas dłuższy. Wydawała się o tyle młodsza niż dawniej! Bez wątpienia, pochodziło to po części stąd, że utyla i że była zdrowsza, wyglądała spokojniejsza, świeższa, wypoczęta; z drugiej strony nowe, gładkie uczesanie poszerzało jej twarz, którą ożywiały różowy puder i w którą oczy i profil Odety, niegdyś zbyt wyraziste, zdawały się teraz wsiąkać. Ale inną przyczyną zmiany było to, że doszedłszy szczytowego punktu swego życia, Odeta odkryła w sobie wreszcie — lub wynalazła — fizjonomię osobistą, niezmienny „typ”, „rodzaj piękności” i że swoim nieregularnym rysom — które tak długo, zdane na przygodne i jałowe kaprysy ciała, za lada zmęczeniem przybierając lat, postarzając ją na chwilę, stwarzały poniekąd Odecie, wedle jej humoru i wyglądu, twarz przypadkową, zależną od dnia, nieregularną i uroczą — narzuciła — ten stały typ niby nieśmiertelną młodość.

Zamiast obecnych pięknych fotografii żony, na których wspólny im zagadkowy i zwycięski wyraz pozwalał rozpoznać, bez względu na suknię i kapelusz, tryumfalną twarz i sylwetę Odety, Swann miał w swoim pokoju mały, stary dagerotyp, bardzo prosty, wcześniejszy od owego dzisiejszego typu. Młodość i piękność Odety, jeszcze przez nią nie znalezione, zdawały się tam nieobecne. Ale zapewne Swann, wierny przeszłości lub do niej nawrócony, smakował bardziej botticellowski wdzięk w szczupłej, młodej kobiecie o zadumanych oczach, o znużonych rysach, w pozie wahającej się między chodem a bezruchem. Lubił w istocie jeszcze widzieć w żonie Botticellego. Odeta, która, przeciwnie, starała się nie wydobyć, ale wyrównać, pokryć to, co się jej w niej samej nie podobało, to, co dla artysty było może jej „typem”, ale co ona jako kobieta uważała za wadę, nie chciała słyszeć o tym malarzu. Swann miał cudowną wschodnią szarfę, błękitno-różową, którą kupił, bo była identyczna z szarfą Madonny z *Magnificat*. Ale pani Swann nie chciała jej nosić. Raz tylko pozwoliła mężowi zamówić tualetę całą usianą stokrociami, bławatkami, niezapominajkami i dzwonkami wedle Primavery. Czasami, wieczorem, kiedy Odeta była zmęczona, Swann zwracał mi po cichu uwagę, jak ona bezwiednie daje swoim zamysłonym rękom subtelny, nieco sztuczny gest Madonny, maczającej pióro w kałamarzu podawanym jej przez anioła, aby pisać w świętej księdze, gdzie już widnieje słowo *Magnificat*. Ale dodawał: „Niech jej tylko pan nic nie mówi; wystarczyłoby jej wiedzieć, aby to zaraz odmieniła”.

Poza tymi chwilami mimowolnej miękkości, w której Swann silił się odnaleźć melancholijny rytm Botticellego, ciało Odety było teraz wycięte niby sylweta całkowicie okolona „linią”, która, aby opisać kontur kobiety, opuściła przygodne drogi, sztuczne wklęsłości i wypukłości, siatki, niespokojne komplikacje dawnej mody, ale która też, tam gdzie akt mylił się, wybiegając w tym lub innym sensie poza idealny wykres, umiała śmiałym ruchem naprostować odchylenia natury, uzupełnić w całych partiach niedomagania zarówno ciała jak materii. Poduszcзки, szkielet okropnej „tiurniury”, znikły, zarówno jak owe staniki z baskinami, które, zachodząc na spódnicę, naciągnięte fiszbinami, długo stwarzały Odecie sztuczny brzuszek, czyniąc ją złożoną z rozmaitych części, niezwiązanych osobowością. Prostota frędzli i krzywizna riuszek ustąpiły miejsca płynności ciała, które pulsowało jedwabiem jak syrena bije falę i dawało perkalinie wyraz ludzki, obecnie, kiedy się to ciało wyłoniło, jako zorganizowany i żywy kształt, z długiego chaosu i z mglistego całunu zdetronizowanych mód.

Jednakże pani Swann chciała i umiała zachować ślad niektórych mód wśród tych, co je zastąpiły. Kiedy wieczorem, nie mogąc pracować i pewien, iż Gilberta jest w teatrze z przyjaciółkami, zaszedłem niespodzianie do jej rodziców, zastawałem często panią Swann w wytwornym dezabilu, którego spódnicę pięknego ciemnego koloru, ciemnoczerwoną albo pomarańczową — kolory zdające się mieć jakieś osobliwe znaczenie, bo były już niemodne — skośnie przecinał ażurowy i szeroki pas czarnej koronki, przypominający dawne wolanty. Kiedy w jakiś chłodny jeszcze wiosenny dzień pani Swann zabrała mnie — przed moim zerwaniem z Gilbertą — do Ogrodu Zoologicznego, wówczas pod żakietem, rozpiętym, o ile się zgrzała od szybkiego chodzenia, wycinane falbany u szmizetki wyglądały niby wyłogi jakiejś nieobecnej kamizelki, podobnej do tych, które pani Swann nosiła kilka lat wprzódy i przy których lubiła te lekkie żąbki. Toż samo krawiat swój — z gatunku „szkockich”, któremu została wierna, ale łagodząc tony (czerwone stało się różowym, a niebieskie lila), tak iż można by prawie myśleć o owych taftach *gorge de pigeon*, stanowiących ostatnią nowość — wiązała pod brodą w taki sposób, że przywodził nieodparcie na myśl aksamitki u kapeluszy, jakich się już nie nosiło. Były tylko umiała tak „przetrwac” jakiś czas, a młodzi ludzie, próbując zrozumieć jej tualety, będą mówili: „Pani Swann, nieprawdaż, to cała epoka?”. Jak w pięknym stylu, skupiającym rozmaite formy, a skrzepionym utajoną tradycją, tak w tualecie pani Swann owe mętne wspomnienia kamizelek, klamer, czasem zdlawiona natychmiast tendencja do „*saute en barque*”, aż do odległej i mglistej aluzji do „*suivez-moi jeune homme*”, pozwalały pod konkretną formą krążyć szczątkowemu podobieństwu innych dawniejszych form, których nie można by tam odnaleźć istotnie zrealizowanych przez krawcową lub modystkę, ale o których myślało się wciąż i które spowijały panią Swann w jakąś szlachetność — może dlatego, że sama bezużyteczność owych ozdób stwarzała im pozór celu ponadużytkowego, może dzięki zachowanym śladom minionych lat lub jakiejś toaletowej indywidualności, właściwej tej kobiecie i dającej najodmienniejszym strojom Odety wspólne rodzinne rysy. Czuło się, że ona się ubiera nie tylko dla wygody lub dla ozdoby ciała; była spowita swoją toaletą niby delikatnym i uduchowionym dostojeństwem cywilizacji.

Kiedy Gilberty, która zazwyczaj urządziła swoje podwieczorki w dniu przyjęć matki, miało nie być w domu i kiedy tym samym mogłem się wybrać do pani Swann, zastawałem ją w którejś z pięknych sukien, czasem taftowej albo *faïlle*, albo aksamitnej, albo *crêpe de Chine*, albo atlasowej, albo jedwabnej. Suknie owe, już nie puszczane jak szlafroczyki, które zazwyczaj Odetta nosiła w domu, ale obmyślane jakby do wyjścia, dawały w takie popołudnie jej wywczasom coś żywego i czynnego. I bez wątpienia śmiała prostota ich kroju była wybornie dostrojona do figury pani Swann i do jej ruchów, a rękawy były jak gdyby zmieniającym się co dnia kolorem tych ruchów; można by rzec, że jest nagła decyzja w błękitnym aksamicie, łaskawy humor w białej tafci, i że jakaś ostateczna i dystygnowana rezerwa w sposobie wysuwania ręki, przybrała, aby się ucieleścić, postać czarnej *crêpe de Chine*, błyszczącej uśmiechem wielkich poświęceń. Ale równocześnie owym sukniom — tak żywym — komplikacja ozdób bez praktycznego użytku, bez widocznej racji bytu, przydawała coś bezinteresownego, zamyślnego, sekretnego, harmonizującego z melancholią, jaką pani Swann zachowywała zawsze bodaj w podkrążeniu oczu i w palcach. Pod mnogością *porte-bonheur* z szafiru, czterolistnych koniczyn z emalii, srebrnych medali, złotych medalionów, turkusowych amuletów, rubinowych

łańcuszków, rżniętych topazów, bywał w samej jej sukni jakiś kolorowy deseń, przedłużający na wskrzeszonej wstawce jej dawniejszą egzystencję, jakiś rząd atlasowych guziczków, niezapinających niczego i niedających się odpiąć, jakiś sutasz starający się pogłaskać mile wiernością i dyskrecją delikatnej aluzji... Szczegóły te, tak samo jak klejnoty, robiły wrażenie — inaczej nie miałyby żadnego usprawiedliwienia — iż zdradzając jakąś intencję, są zakładem jakiejś czułości, pamiątką zwierzeń, że odpowiadają jakiemuś zabobonowi, zachowują pamięć jakiegoś wyleczenia, ślubu, miłości lub gry w filipka. I czasami w niebieskim aksamicie stanika cień wypustki *Henri II*, w czarnej atlasowej sukni lekkie wzdęcie, które czy to na rękawach, w pobliżu ramion, kazało myśleć o „*gigots*” 1830, czy przeciwnie, pod spódnicą o *paniers* Louis XV, stwarzało sukni nieznaczną pozór kostiumu i przemycając pod obecnym życiem niedostrzegalną reminiscencję przeszłości, dawały osobie pani Swann urok heroin historii lub powieści. Kiedy jej na to zwracałem uwagę, odpowiadała: „Nie gram w golfa, jak wiele moich przyjaciółek. Nie miałabym żadnego usprawiedliwienia, aby się ubierać jak one w swetry”.

W rozgardiaszu salonu, wracając, odprowadziwszy gościa lub biorąc talerz z ciastkami, aby go podać innemu gościowi, pani Swann, przechodząc koło mnie, brała mnie na sekundę na bok: „Mam specjalną misję od Gilberty, aby pana zaprosić na śniadanie pojutrze. Nie będąc pewna, czy pana zobaczę, miałam do pana napisać, w razie gdyby pan dziś nie przyszedł”. Wciąż się opierałem. I ten opór kosztował mnie coraz mniej, bo choćby się lubiło truciznę, która nam szkodzi, kiedy jakaś okoliczność pozbawiła nas jej od jakiegoś czasu, niepodobna nie cenić spoczynku, którego się już nie znało, braku wzruszeń i cierpień. Jeżeli nie jesteśmy zupełnie szczerzy, powiadając sobie, iż nie zechcemy nigdy oglądać tej, którą kochamy, nie byłibyśmy też całkiem szczerzy, mówiąc, iż chcemy ją ujrzeć. Niewątpliwie, możemy znieść rozłąkę jedynie z tą nadzieją, iż będzie krótka, myśląc o dniu, gdy odnajdziemy ukochaną; ale z drugiej strony czujemy, o ile te codzienne marzenia o bliskim i wciąż odkładanym spotkaniu mniej są bolesne, niż byłoby samo widzenie, zdolne znów pociągnąć za sobą zazdrość; tak iż wiadomość, że się znów ujrzy przedmiot ukochania przyniosłaby wzruszenie niezbyt miłe. Odsuwamy teraz z dnia na dzień już nie koniec nieznośnej męki spowodowanej rozłąką, ale niebezpieczny powrót wzruszeń bez wyjścia. O ileż od takiego spotkania wolimy łagodne wspominki, uzupełniane do woli marzeniem, w którym ta, co w rzeczywistości nie kocha nas, oświadcza się nam, przeciwnie, z miłością, gdy jesteśmy sami! Owo wspomnienie, które, wkładając w nie stopniowo wszystko, czego się pragnie, można uczynić tak słodkim, o ileż miłsze jest od odsuwanej wciąż rozmowy z istotą, której nie dyktowalibyśmy już do woli upragnionych słów, zmuszeni, przeciwnie, znosić jej niechęci, kaprysy i burze. Wiemy wszyscy, kiedy już nie kochamy, że niepamięć, nawet mgliste wspomnienie, nie sprawiają tylu cierpień, co nieszczęśliwa miłość. Nie przyznając się do tego przed sobą, wolałem kojącą słodycz takiej antycypowanej niepamięci.

Zresztą, o ile taka kuracja psychicznego oderwania się i izolacji może być przykra, staje się ona coraz to mniej przykra z innej przyczyny. Mianowicie taka kuracja osłabia — zanim ją uleczy ową *idée fixe*, jaką jest miłość. Moja miłość była jeszcze na tyle mocna, aby mi zależało na odzyskaniu w oczach Gilberty dawnego uroku, który dzięki mojemu dobrowolnemu odsunięciu się musiał (tak sądziłem) stopniowo rosnąć, tak iż każdy z tych spokojnych i smutnych dni spędzonych z dala od niej, jednym ciągiem, bez przerwy, bez przedawnienia (o ile jakiś natręt nie wmieszał się do tego), był dniem nie straconym, ale zyskanym. Zyskanym może daremnie, bo rychło można by mnie nazwać wyleczonym. Rezygnacja, odmiana przyzwyczajenia pozwala pewnym siłom wzrastać nieograniczenie. Siły, jakimi rozporządzałem, aby je przeciwstawić swemu cierpieniu, tak wątle pierwszego wieczora po kłótni z Gilbertą, osiągnęły później nieobliczalną potęgę. Tylko że tendencję do trwania, właściwą wszystkiemu, co istnieje, przerywają często nagle impulsy, którym poddajemy się tym łatwiej, bo wiemy, przez ile dni, przez ile miesięcy, mogliśmy i będziemy jeszcze mogli wyrzekać się czegoś. I często — jak skarbonkę z oszczędnościami wypróżnia się nagle, gdy już ma być pełna — przerywamy kurację, nie czekając jej wyniku, wówczas gdyśmy się już do niej przyzwyczaili. I jednego dnia, kiedy pani Swann mówiła mi, jak zwykle, o przyjemności, jaką Gilbertcie sprawiłby mój widok, ujrzałem nagle na odległość ręki szczęście, którego pozbawiałem się tak długo. Wstrząsnęła mnie

myśl, że jeszcze jest możliwe kosztować tego szczęścia. I ledwo mogłem doczekać jutra; postanowiłem zejść do Gilberty niespodzianie, przed jej obiadem.

Pewien projekt pomógł mi przetrwać cierpliwie cały dzień. Skoro wszystko jest zapomniane, kiedy się pogodził z Gilbertą, chciałem ją widywać już tylko w charakterze zakochanego. Codziennie będzie otrzymywała ode mnie najpiękniejsze kwiaty. A gdyby pani Swann, mimo iż nie miała prawa być zbyt surową matką, nie pozwoliła mi co dzień posyłać córce kwiatów, wymyśliłbym podarki kosztowniejsze, a mniej częste. Rodzice nie dawali mi tyle pieniędzy, abym mógł kupować rzeczy drogie. Pomyślałem o wielkim wazonie ze starej chińskiej porcelany, który dostałem po cioci Leonii, a któremu mama przepowiadała co dzień, że dziś czy jutro Franciszka przyjdzie z oznajmieniem: „Rozleciało się”, i że nie zostanie z wazonu nic. W tych warunkach, czyż nie było rozsądniej sprzedać go, aby móc swobodnie dostarczać Gilberte wszystkich przyjemności? Sądziłem, iż zdołam uzyskać za ten wazon tysiąc franków. Kazałem go zawinąć; przyzwyczajenie było przyczyną, że go nigdy nie widział; rozstanie się miało bodaj tę korzyść, że się z nim zapoznał. Zabrałem z sobą wazon, wybierając się do Swannów; podając woźnicy ich adres, kazałem mu jechać przez Pola Elizejskie, stanąć na rogu, gdzie miał sklep wielki handlarz chińszczyzny, znajomy ojca. Ku memu zdumieniu, ofiarował mi z miejsca nie tysiąc, ale dziesięć tysięcy franków. Wziąłem te banknoty z upojeniem: przez cały rok będę mógł co dzień obsypywać Gilbertę różami i bzem! Kiedy wsiałem do dorożki, wychodząc od kupca, woźnica — całkiem naturalnie, skoro Swannowie mieszkali w pobliżu Lasku — pojechał, zamiast zwykłej drogi, aleją Pól Elizejskich. Już minął róg ulicy du Berri, kiedy w zmroku wydało mi się, że bardzo blisko domu Swannów poznaję Gilbertę, ale oddalającą się w przeciwnym kierunku. Szła wolno, mimo że swobodnym krokiem, obok młodego człowieka, z którym rozmawiała, ale którego nie mogłem rozpoznać. Podniosłem się z siedzenia, aby kazać stanąć, potem zahałem się. Przechadzająca się para była już dość daleko; miękkie i równoległe linie wykreślone ich wolnym posuwaniem się wsiąkały w cień elizejski. Niebawem znalazłem się w domu Gilberty. Przyjęła mnie pani Swann.

— Och, Gilberta będzie w rozpaczy — rzekła — nie wiem, jakim cudem nie ma jej. Było jej bardzo gorąco na lekcji, powiedziała, że chce się trochę przejść z koleżanką.

— Mam wrażenie, że ją widział przed chwilą na Polach Elizejskich.

— Nie sądzę, aby to była ona. W każdym razie niech pan nie mówi nic mężowi, on nie lubi, aby Gilberta wychodziła o tej porze. *Good evening.*

Wyszedłem, kazałem woźnicy jechać tą samą drogą, ale nie spotkałem ich. Gdzie byli? Co sobie mówili o zmierzchu, tak poufnie nachyleni?

Wróciłem, trzymając z rozpaczą nieoczekiwane dziesięć tysięcy franków. Miałem dzięki tym pieniądząm zrobić tyle drobnych przyjemności owej Gilberte, której teraz byłem zdecydowany nie ujrzeć już nigdy. Bez wątpienia postój u handlarza chińszczyzny ucieszył mnie, pozwalając mi się spodziewać, że zawsze będę oglądał swoją ukochaną zadowoloną i wdzięczną. Ale gdybym się nie był zatrzymał, gdyby fiakier nie jechał przez Pola Elizejskie, nie byłbym spotkał Gilberty z młodym człowiekiem. Tak więc jeden i ten sam fakt ma dwa przeciwległe konary, a nieszczęście, jakie się z niego rodzi, anuluje szczęście, które sprawił. Zdarzyło mi się coś przeciwnego temu, co się dzieje tak często. Zwykle pragniemy przyjemności, a brak nam materialnych środków do osiągnięcia jej. „Smutno jest — powiada La Bruyere — kochać bez wielkiego majątku”. Pozostaje jedynie starać się unicestwić pomału żądę tej radości. Ja, przeciwnie, uzyskałem środki materialne, ale równocześnie, jeżeli nie w logicznym skutku, to bodaj w przypadkowym rezultacie tego sukcesu, radość umknęła mi się. Zdaje się zresztą, że zawsze musi się nam wymknąć: zwykle, co prawda, nie tego samego wieczoru, w którym zdobyliśmy to, co umożliwi przyjemność. Najczęściej szamocemy się dalej i ludzimy się jakiś czas. Ale szczęście nie może się nigdy ziścić. Jeżeli pokonamy okoliczności, natura przenosi walkę z zewnątrz na wewnątrz i odmienia pomału nasze serce na tyle, aby pragnęło czego innego niż to, co posiada. A jeżeli zwrot był tak szybki, że serce nie miało czasu się zmienić, natura nie rezygnuje z chęci zwyciężenia nas w sposób wolniejszy, to prawda, subtelniejszy, ale równie skuteczny. W ostatniej sekundzie odbiera nam wówczas posiadanie szczęścia lub raczej samemu temu posiadaniu z diabelską chytryością natura każe niweczyć szczęście. Nie zdoławszy nic sprawić w sferze faktów i życia, natura stwarza ostatnią niemożliwość,

psychologiczną niemożliwość szczęścia. Fenomen szczęścia nie spełnia się lub wiąże się z najbardziej gorzką reakcją.

Ścisnąłem w dłoń dziesięć tysięcy franków. Ale nie zdały mi się już na nic. Wydałem je zresztą jeszcze szybciej, niż gdybym był co dzień posyłał kwiaty Gilbertcie, bo kiedy nadchodził wieczór, byłem tak nieszczęśliwy, że nie mogłem wytrwać w domu i szedłem płakać w ramionach kobiet, których nie kochałem. Co się tyczy zrobienia jakiegokolwiek przyjemności Gilbertcie, nie pragnąłem już tego; iść teraz do jej domu mogło mi przynieść jedynie ból. Nawet widok Gilberty, jeszcze wczoraj dla mnie tak pełen uroku, nie wystarczyły mi już. Bo byłbym niespokojny przez cały czas, w którym nie byłbym przy niej. Oto, co sprawia, że kobieta, przez każdy nowy ból, jaki nam — często bezwiednie — zadaje, zwiększa swoją władzę nad nami, ale i nasze wymagania od niej. Przez ten ból, jaki nam sprawiła, kobieta osacza nas coraz bardziej, zdwaja nasze łańcuchy, ale również i te, którymi dotąd zdawało się nam wystarczające spętać ją dla naszego spokoju. Jeszcze wczoraj, gdyby nie obawa znudzenia Gilberty, byłbym poprzestał na żądaniu rzadkich spotkań, które teraz nie byłyby mi już wystarczyły i które bym zastąpił zgoła innymi warunkami. Bo w miłości — na wspak temu, co się dzieje po bitwie — im bardziej jesteśmy zwyciężeni, tym cięższe stawiamy warunki, wciąż je powiększamy — o ile je możemy narzucić. Nie miałem tej mocy w stosunku do Gilberty. Toteż wołałem od razu przestać odwiedzać jej matkę. Powtarzałem sobie wprawdzie nadal, że Gilberta mnie nie kocha, że wiem o tym dość dawno, że mógłbym ją zobaczyć, gdybym chciał lub — w odwrotnym wypadku — zapomnieć o niej z czasem. Ale te myśli, niby lekarstwo nieskuteczne na pewne choroby, było bez żadnej mocy przeciw tym dwóm równoległym liniom, które jawiły mi się od czasu do czasu, Gilberty i młodego człowieka, gubiących się z wolna w alei Pól Elizejskich. Była to nowa choroba, też mająca się zużyć; obraz, który pewnego dnia miał się przedstawić mojej myśli zupełnie wyługowany z tego, co zawierał zabójczego, jak owe śmiertelne trucizny, którymi manipuluje się bez szkody, lub odrobina dynamitu, od której można zapalić papierosa bez obawy wybuchu.

Na razie była we mnie inna siła, walcząca całą swoją mocą przeciw tej niezdrowej sile, ukazującej mi niezmiennie spacer Gilberty o zmroku; aby złamać ponawiające się ataki mojej pamięci, wyobraźnia moja pracowała skutecznie w przeciwnym kierunku. Niewątpliwie pierwsza z tych dwóch sił wciąż mi ukazywała parę z Pól Elizejskich i nasuwała mi inne przykre obrazy zaczerpnięte z przeszłości; na przykład Gilbertę wzruszającą ramionami, gdy matka kazała jej zostać ze mną. Ale druga siła, haftując na kanwie moich nadziei, rysowała mi przyszłość o wiele powabniejszą niż ta biedna przeszłość, w gruncie tak ograniczona. Na tę jedną minutę Gilberty nadąsanej, ileż minut, w których roilem wszystko, co ona uczyni dla naszego pojednania, może dla naszych zaręczyn! Prawda, że ową siłę, którą wyobraźnia kierowała w przyszłość, czerpała ona mimo wszystko w przeszłości. W miarę jak by się zacierał przykry obraz Gilberty wzruszającej ramionami, zmniejszyłoby się i wspomnienie jej uroku, wspomnienie, które mi kazało pragnąć, aby do mnie wróciła. Ale byłem jeszcze bardzo daleko od tej śmierci przeszłości. Wciąż kochałem Gilbertę, myśląc co prawda, że jej nienawidzę. Ale za każdym razem kiedy chwalono moje uczesanie, mój wygląd, byłbym pragnął, aby ona była przy tym. Drażniły mnie zaproszenia, jakimi w owej epoce darzyło mnie nadaremnie wiele osób. Doszło raz w domu do sceny, bo nie chciałem towarzyszyć ojcu na oficjalny obiad, gdzie mieli być państwo Bontemps z siostrzenicą Albertyną, młodziczką panienką, prawie dzieckiem. Różne okresy naszego życia zazębiają się tak o siebie. Dla osoby, którą kochamy, a która będzie nam kiedyś tak obojętna, odsuwamy wzgardliwie tę, którą pokochamy jutro, którą moglibyśmy może, gdybyśmy się zgodzili ujrzeć ją, pokochać wcześniej, i która byłaby w ten sposób skróciła nasze obecne cierpienia, co prawda po to, aby je zastąpić innymi.

Moje cierpienia przeobrażały się stopniowo. Dziwiłem się, spostrzegając w sobie tego dnia jedno uczucie, owego inne, przeważnie natchnione jakąś nadzieją lub obawą tyczącą Gilberty. Gilberty, którą nosiłem w sobie. Byłbym sobie powinien powiedzieć, że inna, prawdziwa, jest może zupełnie różna od tej, obca żalom, jakim jej przypisywałem, że myśli zapewne o mnie nie tylko o wiele mniej niż ja o niej, ale mniej, niż ja jej każę myśleć o mnie, gdy jestem sam na sam ze swoją fikcyjną Gilbertą, dociekając, jakie mogą być

jej prawdziwe intencje i wyobrażając sobie tym samym, że jej uwaga wciąż się kieruje na mnie.

W czasie tych okresów, gdy, mimo iż słabnąc, zgryzota trwa, trzeba rozróżnić między tą, którą sprawia nam ciągła myśl o samej osobie, a tą, którą podsycają pewne wspomnienia, jakieś złośliwe wyrażenie, jakieś słowo użyte w otrzymanym liście. Zachowując sobie na okazję późniejszej miłości opis rozmaitych form zgryzoty, powiedzmy, że z tych dwóch pierwsza jest nieskończenie mniej okrutna od drugiej. Wynika to stąd, że skoro obraz tej osoby wciąż w nas żyje, upiękuszony jest w nas aureolą, w którą nie omieszkamy jej ustroić, i barwi się, o ile nie częstymi słodyczami nadziei, to bodaj spokojem trwałego smutku. (Trzeba zresztą zauważyć, że obraz osoby będącej źródłem naszego cierpienia mało zajmuje miejsca w powikłaniach, które powiększają cierpienie miłosne, przedłużają je i utrudniają uleczenie, jak w pewnych chorobach przyczyna jest w niestosunku do wywołanej gorączki i powolności zdrowienia). Ale jeżeli myśl o kochanej osobie barwi się odblaskiem idei przeważnie optymistycznej, inna rzecz owe konkretne wspomnienia, owe złe słówka, ów wrogi list (dostałem od Gilberty tylko jeden taki); można by rzec, iż sama osoba mieszka w tych fragmentach, mimo iż tak ograniczonych i osiąga moc, od której daleka jest w zwykłym pojęciu, jakie sobie tworzymy o niej całej. A to dlatego, że listu nie oglądaliśmy — jak oglądamy obraz kochanej osoby — w melancholijnym i spokojnym żalu; czytaliśmy go, pochłaniali, w okropnym bólu, jakim dławilo nas nagłe nieszczęście. Tworzenie się takich zgryzot jest inne; płyną z zewnątrz i dochodzą do naszego serca drogą najokrutniejszego cierpienia. Obraz ukochanej, który uważamy za dawny, autentyczny, w rzeczywistości przerabialiśmy wiele razy. Ale okrutne wspomnienie nie jest współczesne z tym wyrestaurowanym obrazem; jest z innego czasu, jest jednym z nielicznych świadków potwornej przeszłości. Że jednak ta przeszłość istnieje nadal, wyjąwszy w nas, którzy podobaliśmy sobie zastąpić ją cudownym wiekiem złotym, rajem, gdzie wszyscy będą pojednani, owe wspomnienia, owe listy, są przywołaniem do rzeczywistości i przez gwałtowny ból, jaki nam sprawiają, powinny by nam uprzytomnić, jak daleko odeszliśmy od tej rzeczywistości w szalonych nadziejach naszego codziennego oczekiwania.

Nie znaczy to, aby ta rzeczywistość miała wciąż zostać jednaka, mimo iż zdarza się to czasem. Jest w naszym życiu wiele kobiet, których nigdy nie staraliśmy się ujrzeć i które, zupełnie naturalnie, na nasze bynajmniej niezamierzone milczenie odpowiedziały podobnym milczeniem. Tylko ponieważ nie kochaliśmy tych kobiet, nie liczyliśmy lat spędzonych z dala od nich; jakoż pomijamy ten negatywny przykład, kiedy rozumiemy o skuteczności odosobnienia, tak jak ci, co wierzą w przeczucia, pomijają wszystkie wypadki, w których się im one nie sprawdziły.

Ale wreszcie oddalenie może być skuteczne. Pragnienie, ochota ujżenia nas odradza się w końcu w sercu, które obecnie nami gardzi. Tylko trzeba na to czasu. Otóż w tym, co się tyczy czasu, wymagania nasze są nie mniej wygórowane niż te, których potrzebuje serce, aby się zmienić. Po pierwsze, czas to jest rzecz, której użyczamy niechętnie, bo nasze cierpienie jest okrutne i pilno nam, aby się skończyło. Następnie, ten czas, którego inne serce będzie potrzebowało, aby się zmienić, nasze zużyje na to, aby się zmienić również, tak iż kiedy cel, któryśmy sobie zakładali, stanie się dostępny, przestanie dla nas być celem. Zresztą, sama myśl o tym, że będzie dostępny, że nie ma szczęścia, które, kiedy przestanie być już dla nas szczęściem, nie byłoby do osiągnięcia, ta myśl zawiera część, ale tylko część prawdy. Przychodzi nam to szczęście, kiedyśmy się stali na nie obojętni. Ale właśnie ta obojętność uczyniła nas mniej wymagającymi i pozwala nam uwierzyć wstecz, że owo szczęście byłoby nas upoiło w epoce, w której może wydałoby się nam bardzo niepełne. Nie jest się zbyt trudnym ani zbyt dobrym sędzią co do rzeczy, o którą się nie dba. Życzliwość osoby już niekochanej może się wydać jeszcze nadmierna naszej obojętności, ale miłości naszej nie wystarczyłaby może wcale. Myślimy o radości, jaką byłyby nam sprawiły jakieś tkliwe słowa, jakaś schadzka, nie zaś o wszystkim tym, czego pragnęlibyśmy zaraz później i co może byśmy udaremnili właśnie przez tę zachłanność. I nie jest wcale pewne, czy owo szczęście zjawiające się zbyt późno, kiedy go już nie możemy kosztować, kiedy już nie kochamy, jest całkiem tym samym szczęściem, którego brak niegdyś nas tak unieszczęśliwił. Jedna tylko osoba mogłaby to rozstrzygnąć, nasze ówczesne ja; i nie ma go już; i z pewnością wystarczyłoby jego powrotu, aby szczęście — tożsame czy nie — pierzchło.

Szczęście, Serce, Przemiana,
Czas

W oczekiwaniu owych niewczesnych ziszczeń marzenia, na którym nie będzie mi już zależało, tak długo roilem — jak w czasach, gdy zaledwie znał Gilbertę — słowa, listy, gdzie mnie błaga o przebaczenie, wyznaje, iż zawsze kochała tylko mnie i chce zostać moją żoną, iż seria słodkich i wciąż odtwarzanych obrazów zajęła wreszcie w moich myślach więcej miejsca niż wizja Gilberty i młodego człowieka, której nie podsycalo już nic. Z tą chwilą byłbym znów może odwiedził panią Swann, gdyby nie sen, w którym jakiś przyjaciel — ale nie z liczby osób, które znałem — postępował za mną nadzwyczaj fałszywie, przeświadczony wzajem o moim fałszu. Zbudzony nagle cierpieniem, jakie mi sprawił ten sen, i widząc, że trwa, myślałem dalej o nim; starałem się przypomnieć sobie, co to był za przyjaciel, którego widział we śnie i którego hiszpańskie imię już się we mnie zamgliło. Kojąc rolę Józefa i faraona, zacząłem tłumaczyć sobie swój sen. Wiedziałem, że w wielu snach nie trzeba brać w rachubę wygląd osób, które mogą być przebrane i mogły pozamieniać twarze, jak w katedrach owi uszkodzeni święci, których ciemni archeologowie odrestaurowali, kładąc na ciało jednego głowę drugiego oraz mieszając ich właściwości i imiona. Imiona osób we śnie mogą nas zmylić. Osobę, którą kochamy, trzeba poznawać jedynie po sile doznanego bólu. Mój ból pouczył mnie, że (mimo iż zmieniona we śnie w młodego człowieka) osobą, której świeży fałsz sprawiał mi jeszcze ból, była Gilberta. Przypomniałem sobie, że ostatnim razem, kiedy ją widział, wówczas gdy pani Swann nie dała jej iść na tańce, Gilberta — szczerze czy udając, przy czym śmiała się dziwnie — nie chciała uwierzyć w moje dobre uczucia dla niej. Przez asocjację wspomnienie to zbudziło w mojej pamięci inne. Na długo przedtem Swann nie chciał wierzyć ani w moją szczerłość, ani w to, że bym był odpowiednim przyjacielem dla Gilberty. Daremnie pisał do niego, Gilberta odniosła mi mój list i oddała mi go z tym samym zagadkowym śmiechem. Nie oddała mi go zaraz; przypomniałem sobie całą scenę za klombem laurów. Człowiek staje się moralny z chwilą, gdy jest nieszczęśliwy. Obecna niechęć Gilberty wydała mi się niby karą wymierzoną przez życie za moje zachowanie się owego dnia. Człowiek myśli, że unika kary, dlatego że przechodząc przez ulicę uważa na powozy, że unika niebezpieczeństw. Ale istnieją wewnętrzne niebezpieczeństwa. Wypadek przychodzi ze strony, o której się nie myślało, z wewnątrz, z serca. Słowa Gilberty: „Jeżeli chcesz, możemy się jeszcze mocować”, przejęły mnie zgrozą. Wyobraziłem ją sobie taką, u niej w domu może, w garderobie, z młodym człowiekiem, którego widział z nią w alei Pól Elizejskich. Zatem tak samo jak (przed jakimś czasem) byłem szalony, wierząc, że osiadł spokojnie w szczęściu, tak teraz, kiedy wyrzekłem się nadziei szczęścia, byłem szalony, uważając za pewnik, że stałem się bodaj spokojny, że mógłbym pozostać spokojny. Bo dopóki serce trwale zawiera obraz innej istoty, nie tylko nasze szczęście może być w każdej chwili zburzone; kiedy to szczęście prysło, kiedyśmy cierpieli, a potem zdołali uspić swoje cierpienie, spokój nasz jest czymś równie złudnym i niepewnym, jak było nasze szczęście.

Mój spokój wrócił w końcu, co bowiem weszło w naszą duszę w drodze snu, odmieniając nasz stan duchowy i nasze pragnienia, rozprasza się także stopniowo, ile że trwałość i ciągłość nie są dane niczemu, nawet boleści. Zresztą ci, co cierpią z miłości, są — jak się mówi o niektórych chorych — swoim własnym lekarzem. Ponieważ pociecha może im przyjść jedynie od istoty sprawiającej im ból, a ten ból jest emanacją owej istoty, w nim w końcu znajdują lekarstwo. On sam wskazuje im je w danej chwili, w miarę bowiem jak go obracają w sobie, ból ten ukazuje im inną postać straconej osoby, to tak nienawistnej, że nie mamy już nawet ochoty ujrzeć jej, bo zanim byśmy znaleźli przyjemność w jej towarzystwie, trzeba by ją dręczyć; to tak słodkiej, że słodycz, jakiej jej użyjemy, poczytujemy jej za zasługę i czerpiemy w niej nadzieję.

Ale mimo iż odnowione cierpienie uśmierzyło się w końcu, jeżeli zachodził jeszcze do pani Swann, to chyba bardzo rzadko. Bo w tych, którzy kochają i których porzucono, uczucie oczekiwania — nawet bezwiedne — jakim żyją, przeobraża się samo przez się i, mimo iż na pozór tożsame, sprowadza po pierwszym stanie stan drugi, wręcz przeciwny. Pierwszy był następstwem i refleksją bolesnych wydarzeń, jakie nami wstrząsnęły. Oczekiwanie tego, co mogłoby się wydarzyć, miesza się z lękiem, tym bardziej że w tej chwili, o ile nic nowego nie zajdzie ze strony osoby kochanej, pragniemy działać sami, a nie bardzo wiemy, jaki będzie skutek kroku, po którym niepodobna nam już może będzie podjąć nowego. Ale niebawem — choć sobie z tego nie zdajemy sprawy — nasze

trwale oczekiwanie określa się — jak widzieliśmy — już nie wspomnieniem doznanej przeszłości, ale nadzieją urojonej przyszłości. Z tą chwilą jest ono niemal miłe. Przy tym ów stan przez swoje trwanie przyzwyczaił nas żyć w oczekiwaniu. Cierpienie, jakiegoś doświadczyli w czasie ostatnich widywań się, żyje w nas jeszcze, ale już uśpione. Nie kwapimy się zbyt odnowić go, tym bardziej że nie bardzo widzimy, czego byśmy teraz żądali. Posiadanie czegoś więcej z kobiety, którą kochamy uczyniłoby nam jedynie tym potrzebniejszym to, czego nie posiadamy i czego nie mogliśmy się wyrzec, bo wszelkie zaspokojenie rodzi nową potrzebę.

Wreszcie ostatnia racja przyłączyła się z czasem do tej poprzedniej, aby mnie doprowadzić do całkowitego poniechania wizyt u pani Swann. Racją tą — późniejszą — był nie fakt zapomnienia o Gilbertcie, ale chęć prędszego zapomnienia o niej. Bez wątpienia od czasu, jak się skończyło moje wielkie cierpienie, wizyty u pani Swann znów stały się dla resztek mego smutku ukojeniem i dystrakcją, cenną z początku. Ale oba te procesy — ukojenie i dystrakcja — były w sprzeczności z sobą, ile że z tymi wizytami ściśle łączyło się wspomnienie Gilberty. Dystrakcja byłaby mi użyteczna tylko wtedy, gdyby w walkę z uczuciem, niepodsycałym już obecnością Gilberty, wprowadziła myśli, interesy, namiętności, w których Gilberta nie grałaby żadnej roli. Te stany świadomości, którym kochana osoba pozostaje obca, zajmują wówczas miejsce, choćby małe zrazu, ale zdobyte na miłości wypełniającej wprzód całą duszę. Trzeba starać się podsycać, hodować te myśli, podczas gdy wędnie uczucie, będące już tylko wspomnieniem, tak aby wprowadzone w myśl nowe elementy odbierały mu, wydzierały coraz to większą część duszy, aż w końcu wydrą mu ją całą. Zdawałem sobie sprawę, że to jest jedyny sposób zabicia miłości, a byłem jeszcze dość młody, dość dzielny na to, aby podjąć ten zamiar, aby znieść najokrutniejszy z bólów, rodzący się z pewności, że ile bądź czasu trzeba będzie na to obrócić — uda się.

Powód, jakim motywowałem teraz w listach do Gilberty odmowę widywania jej, był aluzją do jakiegoś tajemniczego, najzupełniej fikcyjnego nieporozumienia, które jakoby zaszło między nami i co do którego spodziewałem się zrazu, iż Gilberta zechce je wyjaśnić. Ale faktem jest, iż nigdy, nawet w najbliższych stosunkach, nie żąda wyjaśnień ktoś, kto wie, że jakiś ciemny, kłamliwy, oskarżający zwrot wsunięto umyślnie po to, aby wywołać protesty; przeciwnie, szczęśliwy, iż zyskał przez to przewagę i inicjatywę taktyczną, strzeże tej przewagi. Tym bardziej dzieje się tak w stosunkach tkliwszych, gdzie miłość jest tak wymowna, a obojętność tak mało ciekawa! Skoro Gilberta nie podała w wątpliwość tego nieporozumienia, ani starała się go poznać, stało się ono dla mnie czymś realnym, na co powoływałem się w każdym liście. Są w tych fałszywych sytuacjach, w tym udanym chłodzie jakieś czary, które utrzymują nas w nich. Tak długo pisałem: „Od czasu, jak nasze serca przestały się rozumieć”, po to aby Gilberta odpisała: „Ależ nie przestały, porozumiejmy się”, żem uwierzył, iż przestały się rozumieć w istocie. Powtarzając ciągle: „Życie nasze mogło się zmienić, ale nie zatrze uczuć, jakie nas łączyły”, z żądzą usłyszenia wreszcie: „Ależ nic się nie zmieniło, węzeł jest mocniejszy niż kiedykolwiek”, żyłem w myśli, iż życie zmieniło się w istocie, iż zachowamy pamięć uczucia nieistniejącego już, jak pewni neurastenicy z udanej choroby zostają wreszcie na całe życie chorzy. Teraz za każdym razem, kiedym miał pisać do Gilberty, powoływałem się na ową urojoną zmianę, której fakt, biernie uznany milczeniem Gilberty w jej odpowiedziach, trwał jakoby między nami.

Następnie Gilberta przestała się ograniczać do przemilczania. I ona przejęła mój punkt widzenia; i jak w oficjalnych toastach, gdzie naczelnik państwa będący gościem odpowiada mniej więcej w tych samych słowach, jakich użył naczelnik państwa, które go gości, za każdym razem, kiedym pisał do Gilberty: „Życie mogło nas rozdzielić, ale pamięć czasu, gdyśmy się znali, przetrwa”, ona odpowiadała niezmiennie: „Życie mogło nas rozdzielić, ale nie zdoła zatrzeć w pamięci dobrych chwil, które będą nam zawsze drogą”. I bylibyśmy w wielkim kłopotcie, gdyby nam przyszło powiedzieć, czemu „życie” nas rozdzieliło, co za zmiana zaszła?

Nie cierpiałem już zbyt. Jednakże pewnego dnia, przesyłając Gilbertcie wiadomość o śmierci naszej starej straganiarki na Polach Elizejskich, napisawszy te słowa: „Pomyślałem, że ci ta śmierć sprawiła przykrość; we mnie poruszyła ona wiele wspomnień”, nie mogłem się wstrzymać od płaczu, spostrzegając, iż o tej miłości, o której mimo woli nie

przestałem nigdy myśleć jak o czymś żywym, bodaj o czymś mogącym zmartwychwstać, mówię w czasie przeszłym i tak jakby chodziło o zapomnianego już prawie nieboszczyka. Nie można sobie wyobrazić nic tkliwszego niż ta korespondencja między przyjaciółmi, którzy nie chcieli się już widywać. Listy Gilberty miały całą delikatność owych listów, jakiem pisywał do osób obojętnych i darzyły mnie tymi samymi pozornymi oznakami przywiązania, tak słodkimi dla mnie, gdy pochodziły od niej.

Stopniowo zresztą każda odmowa widzenia się z Gilbertą sprawiała mi mniej przykrości. I, w miarę jak mi się ona stawała mniej drogą, moje bolesne wspomnienia nie miały już dosyć siły, aby zniszczyć ciągle nawroty przyjemności, z jaką myślałem o Florencji, o Wenecji. Żałowałem w owych chwilach, że się wyrzekłem dyplomacji i że się przykułem do miejsca po to, aby się nie oddalać od dziewczyny, której już nie ujrzę i o której już prawie zapomniałem. Budujemy swoje życie dla jakiejś osoby i kiedy w końcu możemy ją w nim przyjąć, ta osoba nie przychodzi, potem umiera dla nas, i żyjemy uwięzieni w tym, co było przeznaczone tylko dla niej.

O ile Wenecja zdawała się rodzicom bardzo dla mnie daleka i niezdrowa, łatwo w zamian było wybrać się bez znużenia do Balbec. Ale na to trzeba by opuścić Paryż, wyrzec się wizyt, dzięki którym — mimo iż były tak rzadkie — słyszałem niekiedy od pani Swann o Gilbertce. Zaczynałem zresztą znajdować w tych wizytach pewne przyjemności, w których Gilberta nie grała żadnej roli.

Kiedy nadeszła wiosna, sprowadzając zimno, w czasie „świętych lodowych¹” i przymrozków Wielkiego Tygodnia, pani Swann uważała, że się u niej w domu marznie, toteż zdarzało mi się często zastać ją przyjmującą w futrze. Jej wrażliwe na zimno ręce i ramiona znikaly pod białym i lśniącym dywanem olbrzymiej płaskiej gronostajowej mufki i kołnierza, których nie zdjęła wracając i które wyglądały jak ostatnie płaty zimowego śniegu, trwalsze od innych i niedające się stopić ciepłu ognia ani posuwającej się wiosnie. I salon ten, z którym miałem rozstać się niebawem, sugerował mi całą prawdę owych tygodni lodowatych, ale już kwitnących bardziej upajającymi białościami, na przykład białą buldeneżów², skupiających na szczycie wysokich lodyg, nagich niby linearne krzewy prerafaelitów, swoje pierzaste, lecz zwarte kule, białe jak anioły zwiastowania i spowite cytrynowym zapachem. Bo pani z Tansonville wiedziała, że kwiecień, nawet mroźny, nie jest wyzuty z kwiatów, że zima, wiosna, lato, nie są oddzielone od siebie hermetycznymi przegrodami, jak w to skłonny jest wierzyć bulwarowiec, który do pierwszych gorących dni wyobraża sobie świat jako coś zawierającego same nagie domy na deszczu. Nie twierdzę, aby pani Swann zadowolala się tym, czego jej dostarczał ogrodnik z Combray, i aby przez swoją „nadworną” kwiaciarkę nie wypełniała luk niepełnego obrazu sukursem śródziemnomorskiego klimatu. Było mi to zresztą obojętne. Dla obudzenia we mnie nostalgii wsi wystarczyło, aby obok śniegów mufki, którą trzymała pani Swann, buldeneże (niemające może w intencjach pani domu innego celu, jak stworzyć, za radą Bergotte’a „symfonię *en blanc majeur*” z jej umeblowaniem i toaletą) przypomniały mi, że Ofiara Wielkiego Piątku wyobraża naturalny cud, którego można by być świadkiem corocznie, gdyby się było rozsądniejszym, i aby te buldeneże, wspomagane ostrym i odurzającym zapachem innych kwiatów (których nazw nie znałem, a które tyle razy zatrzymały mnie w czasie moich przechadzek w Combray), czyniły salon pani Swann równie dziewiczym, równie niewinnie kwitającym bez żadnego liścia, równie przepojonym autentycznymi zapachami, co ścieżka w Tansonville.

Ale ta reminiscencja to było jeszcze za wiele. Wspomnienie owej ścieżki groziło tym, że podtrzyma resztkę mojej miłości dla Gilberty. Toteż, mimo że już wcale nie cierpiałem w czasie wizyt u pani Swann, jeszcze zredukowałem je, starając się bywać u niej możliwie najrzadziej. Co najwyżej, ponieważ wciąż nie opuszczałem Paryża, pozwalałem sobie na małe spacery z panią Swann. Piękne dni wróciły wreszcie, gorąco również. Ponieważ wiedziałem, że przed śniadaniem pani Swann wychodzi na godzinę na mały spacer po *avenue du Bois*, w pobliżu *Etoile* oraz miejsca nazywanego wówczas, od ludzi zachodzących tam,

¹święci lodowi (fr. *Saints de glace*) — w Polsce tzw. zimni ogrodnicy, tj. dni, którym patronują święci: Pankracy (12 maja), Serwacy (13 maja) i Bonifacy (14 maja) oraz Zofia (15 maja), kiedy występuje duże prawdopodobieństwo wiosennych przymrozków (największe między 10 a 17 maja). [przypis edytorski]

²buldeneż — śnieguliczka; rodzaj krzewu o białych a. różowych drobnych kwiatach zgrupowanych w kiście oraz białych, drobnych owocach. [przypis edytorski]

aby oglądać bogaczy znanych im tylko z nazwiska, „*Klubem golców*”, wyprosiłem u rodziców, że w niedzielę — bo w powszedni dzień nie byłem o tej godzinie wolny — będę mógł jadać śniadanie aż znacznie po nich, o kwadrans na drugą, przedtem zaś trochę się przejdę. Nie zaniedbałem tego ani razu w ciągu maja, który Gilberta spędziła na wsi u przyjaciółki. Przybywałem pod Łuk Tryumfalny koło dwunastej. Czatowałem u początku alei, nie tracąc z oczu rogu uliczki, którą szła od siebie pani Swann, mając do przebycia ledwie kilkadziesiąt kroków. Ponieważ była to godzina, w której wielu spacerowiczów wracało już na śniadanie, ci, co pozostali, byli mało liczni, przeważnie ludzie ze „świata”. Naraz na piasku alei, spóźniona, powolna i bujna niby najpiękniejszy kwiat otwierający się aż o południu, zjawiała się pani Swann, roztaczając dokoła siebie tualetę zawsze inną, ale zwłaszcza, o ile pamiętam, koloru lila; następnie podnosiła i rozwijała na długiej szypulce jedwabną flagę szerokiej parasolki w tym samym odcieniu co ulistnienie płatków sukni. Otaczała ją cała świta; Swann i kilku klubowców, którzy zaszli do niej rano albo których spotkała; i ich czarna lub szara grupa, spełniająca prawie mechaniczne poruszenia martwej ramy dokoła Odety, dawała tej kobiecie o szczególnie wyrazistym spojrzeniu pozór, że spośród wszystkich tych mężczyzn ona patrzy przed siebie jak z okna, do którego podeszła, wykwitając wąż, ale nieustraszona w nagości swoich delikatnych kolorów, niby zjawa istoty odmiennego rodzaju, nieznaney rasy, o potędze niemal wojowniczej, dzięki czemu sama jedna równoważyła swoją liczną eskortę. Uśmiechnięta, szczęśliwa z pięknej pogody, ze słońca niedokuczającego jeszcze zbytnio, Odeta, ze spokojem i pewnością twórcy, który stworzył swoje dzieło i nie dba o resztę, pewna, że jej toaleta — choćby nawet zwykły przechodzień nie ocenił jej — jest najwytworniejsza ze wszystkich, nosiła ją dla samej siebie i dla swoich przyjaciół, swobodnie, bez przesadnej uwagi, ale i bez zbytej obojętności; nie broniąc kokardkom u sukni i u spódnicy bując lekko przed nią, niby istotom, których obecności jest świadoma i którym pobłażliwie pozwala igrzać, wedle ich własnego rytmu, byle szły za nią. Nawet na swoją umbrellę lila, którą często przybываяc trzymała jeszcze zamkniętą, pani Swann opuszczała chwilami — zarówno jak na bukietik parmeńskich fiołków — spojrzenie szczęśliwe i tak słodkie, że kiedy nie padało już na przyjaciół, ale na martwy przedmiot, jeszcze zdawało się uśmiechać. Określała w ten sposób, zajmowała swoją tualetą ową strefę elegancji, której przestrzeń i konieczność szanowali mężczyźni, nawet najbardziej ośmieleni przyjaźnią pani Swann, nie bez pewnego szacunku profanów i wyznania własnej ignorancji. Była to strefa, w której przyznawali swojej przyjaciółce kompetencję i autorytet, niby choremu w zakresie specjalnych starań, jakich potrzebuje, lub matce w zakresie wychowania dzieci.

Zarówno przez ten dwór, który otaczał ją, zdając się nie widzieć przechodniów, jak przez późną godzinę swego zjawienia się, pani Swann budziła wizję owego apartamentu, gdzie spędziła tak długi poranek i dokąd miała niebawem wrócić na śniadanie; zdradzała niejako jego bliskość niedbałym spokojem swojej przechadzki, takiej prawie, jaką się odbywa, spacerując po własnym ogrodzie; można by rzec, że jeszcze miała dokoła siebie chłodny i zaciszny cień tego mieszkania. Ale przez to właśnie widok Odety tym bardziej dawał mi wrażenie powietrza i ciepła. Zwłaszcza że na skutek mego przeświadczenia, iż mocą obrzędów i liturgii, w jakich pani Swann była tak biegła, toaleta jej łączy się z porą roku i dnia węzłem koniecznym, jedynym — kwiaty jej twardego słomkowego kapelusza, kokardki u sukni zdawały mi się poczęte z miesiąca maja naturalniej jeszcze niż kwiaty ogrodowe i leśne; i aby zaznać młodego wzruszenia wiosny, podnosiłem oczy nie wyżej niż umbrellka pani Swann, otwarta i napięta niby drugie bliższe niebo, okrągłe, łaskawe, ruchome i błękitne. Te obrządki bowiem, mimo iż wszechmocne, kładły swoją chlubę — a tym samym kładła ją w tym pani Swann — w dobrotliwym posłuszeństwie rankowi, wiośnie, słońcu, które nie wydawały mi się dość wzruszone tym, że tak elegancka kobieta raczy ich nie ignorować i że z ich powodu wybrała suknię jaśniejszą i lżejszą, wycięciem szyi i rękawów budzącą myśl o wilgoci karku i dłoni; że rozwinęła dla nich całą uprzejmość wielkiej damy, która, zniżywszy się wesoło do tego, aby odwiedzić na wsi prostych ludzi, znajomych wszystkim, nawet pospółstwu, mimo to zechciała włożyć specjalnie na ten dzień wiejską toaletę.

Skoro się pani Swann zjawiała, klaniałem się jej, zatrzymywała mnie i mówiła z uśmiechem: „*Good morning*”. Szliśmy kawalek razem. I pojmowałem, że jeżeli była posłuszna

owym kanonom, wedle których się ubierała, to dla siebie samej; posłuszna niby wyższej mądrości, której byłaby arcykapłanką: o ile się jej bowiem zdarzyło, że z powodu gorąca rozpięła lub nawet całkiem zdjęła i dała mi do niesienia żakiet, który miał pozostać zapięty, odkrywałem w jej szmizetce tysiące szczegółów mających wszelkie szanse zostać niepostrzeżone, jak owe partie orkiestry, które kompozytor wypieścił z całym staraniem, mimo że nigdy nie mają dojść uszu publiczności; lub też w rękawach żakietu złożonego na moim ramieniu oglądałem długo, dla przyjemności lub przez uprzejmość, jakiś atlasik lila zazwyczaj skryty oczom wszystkich, ale równie delikatnie opracowany jak wierzch, niby owe rzeźby w katedrze gotyckiej ukryte na wewnętrznej stronie balustrady na wysokości osiemdziesięciu stóp, równie doskonale jak płaskorzeźby głównego portalu, ale których nikt nie widział, zanim jakimś wędrowcowi-artystcie nie wpadło do głowy przechadzać się tam pod samym niebem, górując nad całym miastem między dwiema wieżami.

Dla ludzi nieznających nawyków „*footingu*” wrażenie, że się pani Swann przechadza po *avenue du Bois* niby po ścieżce własnego ogrodu, pomnażała okoliczność, że Odeta przyszła pieszo, bez jadącego za nią powozu; ona, którą od maja przywykło się widzieć w najstaranniej zaprzężonym ekwipażu, z najlepiej utrzymaną liberią w całym Paryżu, gdy miękko i majestatycznie zasiadała, jak bogini, w ciepłym plenerze olbrzymiej ośmioresorowej wiktorii. Pieszo robiła pani Swann wrażenie — zwłaszcza gdy tak szła leniwo wskutek gorąca — osoby, która uległa ciekawości, chęćce popelnienia jakiegoś eleganckiego wyłomu w etykiecie, jak owi panujący, co, nie poradziwszy się nikogo, wśród zgorzognego nieco podziwu świty nieważącej się krytykować, opuszczają łożę w czasie galowego przedstawienia i zachodzą do foyer, mieszając się na chwilę z publicznością. Tak więc tłum czuł dzielące go od pani Swann owe bariery bogactwa, robiące wrażenie najbardziej nieprzebytych. Arystokracja ma też swoje, ale mniej przemawiające do oczu i wyobraźni „golców”. W obliczu wielkiej damy, prostszej, łatwiejszej do pomieszenia z mieszczką, mniej oddalonej od ludu, „golcy” nie doznają owego uczucia własnej niższości, prawie upodlenia, jakie mają wobec jakiejś pani Swann. Bez wątpienia, tego rodzaju kobiety nie mają, jak ów tłum, poczucia świetności, która je otacza, nie zwracają już na nią uwagi; ale to dlatego, że się do niej przyzwyczyli, czyli że im się ta świetność wydaje w końcu naturalna, konieczna, że sądzą innych ludzi wedle ich stopnia wtajemniczenia w te misteria zbytku. Dostojność, jakie promieniują same, jakie odkrywają w innych, jest czysto materialne, łatwe do stwierdzenia, długie do nabycia, trudne do zastąpienia. Jeśli te kobiety postawią przechodnia w rzędzie najniższym, to w taki sam sposób, w jaki one same objawiły mu się na szczeblu najwyższym, to znaczy natychmiast, od pierwszego spojrzenia, bez apelacji. Ta specjalna klasa społeczna, posiadająca wówczas kobiety jak lady Israels, wmieszana w sfery arystokracji, i panią Swann, mającą się kiedyś do nich zbliżyć, była czymś pośrednim, niższym od Faubourg Saint-Germain, skoro mu schlebiała, ale wyższym od tego, co jest poza Faubourg Saint-Germain. Już oderwana od światła bogaczy, była jeszcze bogactwem, ale bogactwem, które się stało podatne, posłuszne artystycznemu celowi i myśli; pieniądź klepliwy, poetycznie cyzelowany i umiejący się uśmiechnąć. Może ta klasa, przynajmniej o tym samym typie i uroku, już nie istnieje. Zresztą należące do niej kobiety nie miałyby dziś tego, co było pierwszym warunkiem ich panowania, skoro z wiekiem prawie wszystkie postradały swą piękność. Otóż pani Swann, majestatyczna, uśmiechnięta i dobra, sunąc przez *avenue du Bois*, widziała, jak Hypatia, pod uroczystym krokiem swoich stóp, toczące się światy; a widziała je tyleż ze szczytu swego dostojnego bogactwa, co z chlubnej wyżyny swego żrałego³ i jeszcze tak smacznego lata. Mijający ją młodzi ludzie patrzyli na nią trwożliwie, niepewni, czy ich luźna znajomość z panią Swann daje im prawo ukłonu, tym bardziej, że będąc ledwie gdzieś raz przedstawieni Swannowi, bali się, że ich nie pozna. I drżąc o skutki, decydowali się na to, pytając sami siebie, czy ich zuchwale wyzywający i świętokradzki gest, czyniąc zamach na nietykalną supremację kasty, nie rozpęta katastrof lub nie ściągnie na nich kary jakiego boga. Ale ich ukłon pobudzał jedynie, niby ruch zegara, mechanizm ukłonów podrzędnych osobistości, tworzących światę Odety, poczynając od Swanna, który podnosił swój cylinder z zieloną skórzaną podszewką, z miłym uśmiechem nabytym w Faubourg Saint-Germain, ale z którym nie kojarzyła się już dawniejsza jego obojęt-

³żraly (daw.) — dojrzały. [przypis edytorski]

ność. Zastępowała ją (tak jakby poniekąd przesiąkł uprzedzeniami Odety) i irytacja, że się musi odklaniać komuś nieszczególnie ubranemu, i zadowolenie, że jego żona ma tylu znajomych; uczucie mieszane, któremu Swann dawał wyraz, mówiąc do towarzyszących mu elegantów: „Jeszcze jeden! Daję słowo, nie wiem, gdzie Odeta łowi ich wszystkich!”.

Tymczasem, odpowiedziawszy skinieniem głowy wystraszonemu przechodniowi, który już znikł, ale któremu serce biło jeszcze, pani Swann zwracała się do mnie:

— Zatem — mówiła — to skończone? Nie zajdzie pan już nigdy do Gilberty? Jestem rada, że choć ja stanowią wyjątek i że mnie pan nie „splawił” całkowicie. Lubię pana widzieć, ale lubiłam też wpływ, jaki pan miał na moją córkę. Sądzę, że i ona tego bardzo żałuje. Ostatecznie, nie będę pana tyranizowała, bo gotów by pan i mnie nie chciał widzieć na oczy!

— Odeto, Sagan ci się kłania — zwracał jej uwagę Swann.

I w istocie, książę de Sagan, zwróciwszy frontem konia, we wspaniałej apoteozie, godnej teatru, cyrku lub starego obrazu, składał Odecie szeroki, teatralny i jakby alegoryczny ukłon, w którym piętrzyła się cała rycerska dworność wielkiego pana składającego hołd Kobiecie, choćby wcielonej w kobietę, jakiej jego siostra lub matka nie mogłyby przyjmować. Co chwila zresztą, poznawana w płynnej przezroczystości i świetnym werniksie cienia, jaki lała na nią umbrelka, pani Swann przyjmowała ukłony zapóźnionych jeźdźców, jakby skinematografowanych w galopie w białym rozświeceniu alei, klubowców, których imiona, sławne dla publiczności — Antoine de Castellane, Adalbert de Montmorency i tylu innych — były dla pani Swann poufałymi imionami przyjaciół. I ponieważ przeciętne trwanie życia — względna długowieczność — o wiele dłuższe jest dla wspomnienia poetyckich wrażeń niż dla wspomnienia ran serca, dawno minione męki, jakim cierpiał wówczas dla Gilberty, przeżyła przyjemność, jaką odczuwam za każdym razem, kiedy zechcę czytać, niby na urojonym kompasie, minuty upływające między kwadrantem na pierwszą a pierwszą, w maju, odnajdując się w ten sposób w rozmowie z panią Swann, pod jej umbrelką⁴, niby w cieniu szpaleru glicynii.

*

Doszedłem do zupełnej prawie obojętności w stosunku do Gilberty, kiedy w dwa lata później wybrałem się z babką do Balbec. Kiedym ulegał czarowi nowej twarzy, kiedym się spodziewał przy pomocy innej młodej dziewczyny poznawać gotyckie katedry, pałace i ogrody Italii, powiadałem sobie smutno, że nasza miłość, jako miłość pewnej istoty, nie jest może czymś zbyt realnym, skoro skojarzenia przyjemnych lub bolesnych marzeń mogą ją związać na jakiś czas z pewną kobietą, tak iż budzą w nas wiarę, że miłość była przez nią nieodzownie natchniona, jak znowuż, jeśli się dobrowolnie lub bezwiednie wyzwolimy z tych skojarzeń, miłość ta, przeciwnie, tak jakby była samorodna i poczęta z nas samych, odradza się, aby się poświęcić innej kobiecie. Jednakże, w chwili tego wyjazdu i przez pierwszy czas pobytu, obojętność moja była dopiero okresowa. Życie nasze jest tak mało chronologiczne, tyle wprowadza anachronizmów w porządek dni! Często żyłem w epoce dawniejszej niż wczoraj lub przedwczoraj, kiedym kochał Gilbertę. Wówczas nie widzieć jej już stawało mi się nagle bolesne, tak jak byłoby bolesne w owej dobie. Owo *ja*, które ją kochało, zastąpione już prawie całkowicie innym *ja*, zmartwychwstawało, przy czym o wiele częściej wracała mi je jakaś rzecz błaha niż rzecz ważna. Na przykład — antycypuję tu pobyt w Normandii — słyszałem w Balbec, jak nieznanomy jakiś, mijając mnie na drodze, mówił: „Rodzina dyrektora ministerstwa poczty...”. Nie wiedziałem wówczas, jaki wpływ owa rodzina będzie kiedyś miała na moje życie, toteż słowa te powinny były być mi obojętne; otóż sprawiły mi żywy ból, ból rozłąki z Gilbertą, którego doznawało owo *ja* w znacznej części zamarłe we mnie od dawna. Bo nigdy jeszcze nie wróciłem myślą do pewnej rozmowy, jaką Gilberta miała przy mnie z ojcem, na temat rodziny „dyrektora ministerstwa poczty”. Otóż wspomnienia miłosne nie stanowią wyjątku w ogólnych prawach pamięci, rządzonych znowuż powszechnymi prawami przyzwyczajenia. Ponieważ nawyk osłabia wszystko, najlepiej przypomina nam jakąś istotę to, cośmy zapomnieli (dlatego że to coś było nieznaczące i żeśmy mu w ten

Miłość, Pamięć,
Wspomnienia

⁴umbrelka — parasolka. [przypis edytorski]

sposób zostawili całą jego siłę). I dlatego najlepsza część naszej pamięci jest poza nami, w dżdżystym podmuchu wiatru, w zaduchu pokoju lub w zapachu pierwszego ognia na kominku, wszędzie, gdzie odnajdujemy z samych siebie to, czym nasz intelekt, nie mogąc tego spożytkować, wzgardził; ostatnią rezerwę przeszłości, najlepszą, tę, która, kiedy wszystkie nasze lzy zdają się wyschłe, umie nam je jeszcze wycisnąć. Poza nami? W nas, aby lepiej rzec, ale ukryta własnym naszym spojrzeniem, w mniej lub więcej długim zapomnieniu. Jedynie dzięki owemu zapomnieniu możemy od czasu do czasu odnaleźć istotę, którąśmy byli, spojrzeć na rzeczy tak, jak patrzyła owa istota, na nowo cierpieć, bo nie jesteśmy już sobą, ale nią, i bo ona kochała to, co nam jest teraz obojętne. W pełnym świetle zwyczajnej pamięci obrazy przeszłości bledną pomału, zacierają się, nie zostaje z nich już nic, nie odnajdziemy ich już. Lub raczej nie odnaleźlibyśmy ich, gdyby jakieś słowa (jak „dyrektor ministerstwa poczty”) nie były starannie przechowane w zapomnieniu, tak jak się składa w Bibliotece Narodowej egzemplarz książki, bez tego narażonej na całkowitą zagładę.

Ale to cierpienie i ten nawrót miłości były tym razem nie dłuższe niż te, które nawiązują nas we śnie, bo w Balbec nie było dawnego Przyzwyczajenia, aby je utrwalić. A jeżeli skutki Przyzwyczajenia wydają się sprzeczne, to dlatego, że podlega ono różnorakim prawom. W Paryżu stałem się coraz obojętniejszy na Gilbertę, dzięki Przyzwyczajeniu. Zmiana nawyku, to znaczy chwilowe ustanie Przyzwyczajenia, dokończyła dzieła Przyzwyczajenia, kiedym wyjechał do Balbec. Ono osłabia, ale utrwała; sprowadza rozpad, ale daje mu trwać nieograniczenie. Każdego dnia, od lat, kopiowałem, jak mogłem, swój stan duszy z podobnego stanu w dniu poprzednim. W Balbec nowe łóżko, do którego przynoszono mi rano pierwsze śniadanie, odmienne od paryskiego, nie miało już podsycać myśli, jakimi się karmiła moja miłość do Gilberty. Są wypadki (dość rzadkie co prawda), gdy najlepszym sposobem zyskania na czasie jest zmienić miejsce, podczas gdy tkwienie w miejscu unieruchamia dni. Moja podróż do Balbec była jakby pierwszym wyjściem rekonwalescenta, który oczekiwał już tylko tego wyjścia, aby spostrzec, że jest uleczony.

Tę podróż odbyłoby się z pewnością dziś samochodem, sądząc, że tak będzie przyjemniejsza. Ujrzymy, iż odbyta w ten sposób byłaby nawet w pewnym sensie prawdziwsza, gdyż śledziłoby się bardziej z bliska, poufniej stopniowania, wedle których zmienia się powierzchnia ziemi. Ale ostatecznie, swoistą przyjemność podróży stanowi nie to, aby móc wysiadać w drodze i zatrzymywać się, kiedy się jest zmęczonym; chodzi o to, aby różnicę między wyjazdem a przybyciem uczynić nie tak nieznaczną, ale tak głęboką jak tylko się da; aby ją odczuć w jej całkowitości, nietkniętą, taką, jak była w naszej myśli, kiedy ze stałego miejsca naszego pobytu wyobraźnia niosła nas w samo serce miejsca upragnionego. Ten skok wydaje się cudowny nie tyle przez to, że przebywa odległość, ile przez to, że łączy dwie różne indywidualności ziemi, że nas przenosi od jednej nazwy do innej; a schematyzuje go (lepiej niż spacer, w czasie którego, skoro wysiadamy, gdzie chcemy, nie ma właściwie przybycia na miejsce) tajemnicze zjawisko, spełniające się w owych specjalnych miejscach, dworcach kolei, które nie stanowią, aby tak rzec, części miasta, ale zawierają esencję samej jego osobowości, tak jak na tablicy noszą jego miano.

Ale w każdej dziedzinie nasza epoka ma tę manię, aby chcieć pokazywać rzeczy jedynie w ich prawdziwym otoczeniu, a tym samym niszczyć to, co istotne, akt ducha, który je z owej rzeczywistości wyosobnił. Obraz podają nam w oprawie mebli, bibelotów, cacek, obić z jego epoki — mdła dekoracja, w której komponowaniu celuje w dzisiejszych pałacach gospodyni domu, wczoraj jeszcze głęboko ciemna, dziś spędzająca dnie w archiwach i bibliotekach. W takiej dekoracji arcydzieło, które oglądamy, jedząc przy tym obiad, nie daje nam owej upajającej radości, dostępnej jedynie w sali muzealnej, która, nagością swoją i wycuciem ze wszystkich realnych szczegółów, o wiele lepiej symbolizuje przestrzenie ducha, w jakie artysta schronił się, aby stworzyć.

Na nieszczęście, owe cudowne miejsca, jakimi są dworce kolejowe, skąd puszczamy się ku odległym przeznaczeniom, są także miejscami tragicznymi, o ile bowiem spełnia się tam cud, dzięki któremu kraina istniejąca wprzód jedynie w naszej myśli stanie się miejscem, gdzie będziemy żyli, nie trzeba się tym samym spodziewać, aby tuż na wyjściu z poczekalni natychmiast odnaleźć codzienny pokój, gdzie się było jeszcze przed chwilą. Trzeba porzucić wszelką nadzieję spania wieczorem u siebie, gdyżśmy się raz zdecydowali

Podróż, Przestrzeń

wstąpić w zapowietrzoną jaskinię wiodącą nas do tajemnicy, jak dworzec Saint-Lazare, gdzie miałem wsiąść na pociąg do Balbec, a którego wielka, oszklona hala rozciągała nad rozprutym miastem niebo surowe i brzemienne spiętrzonymi groźbami dramatu, podobne do niektórych nieb o nowoczesności niemal paryskiej, Mantegny lub Veronese — niebo, pod którym mógł się spełnić jedynie jakiś akt straszliwy i uroczysty, jak odjazd koleją żelazną albo Wzniesienie Krzyża.

Jak długo zadawałem się oglądaniem ze swego łóżka w Paryżu perskiego kościoła w Balbec pośród smugi burz, ciało moje nie zakładało żadnego sprzeciwu wobec tej podróży. Protesty zaczęły się dopiero wówczas, kiedy ciało zrozumiało, że ma w tym brać udział i że w dniu przyjazdu zaprowadzą mnie do „mojego” pokoju, który jemu, memu ciału, będzie obcy. Bunt jego był tym głębszy, ile że w samą wilię wyjazdu dowiedziałem się, że matka nie będzie nam towarzyszyła, bo ojciec, zatrzymany w ministerstwie do chwili, gdy miał jechać do Hiszpanii z panem de Norpois, wołał wynająć domek w okolicach Paryża. Zresztą kontemplacja Balbec nie wydała mi się mniej upragniona przez to, że trzeba ją było kupować ceną cierpienia; przeciwnie, cierpienie to zdawało mi się gwarantować rzeczywistość spodziewanych wrażeń, niedających się zastąpić żadnym widowiskiem ofiarowanym mi jako rzekomy ekwiwalent, żadną „panoramą”, którą poszedłszy oglądać, mógłbym wrócić wieczorem spać w swoim łóżku. Nie pierwszy to raz uczułem, że zdolność kochania i zdolność odczuwania przyjemności rzadko schodzą się w jednej i tej samej osobie. Sądziłem, że pragnę Balbec równie gorąco jak doktor, który mnie leczył i który rzekł, dziwiąc się w dzień wyjazdu mojej nieszczęśliwej minie: „Ręczę panu, że gdybym mógł się tylko wyrwać na tydzień, aby odetchnąć morskim powietrzem, nie dałbym się prosić. Będzie pan miał wyścigi, regaty, same rozkosze”. Ale ja już poznałem, i to nawet o wiele przed ujrzeniem Bermi, że czymkolwiek byłaby rzecz, jaką bym kochał, będzie ona zawsze jedynie kresem bolesnego pościgu, w którym trzeba mi będzie przede wszystkim poświęcić swoją przyjemność temu najwyższemu dobru, zamiast jej w nim szukać.

Babka pojmowała oczywiście nasz wyjazd w sposób nieco specjalny. Wciąż tak samo jak niegdyś, pragnąc dać podarkom, jakie otrzymywałem, cechę arcyzmu, chciała mi ofiarować bodaj w części starą „odbitkę” tej podróży; tak abyśmy ją odbyli na wpół koleją, na wpół końmi, odtwarzając szlak podróży pani de Sévigné z Paryża ku „l’Orient” przez Chaulnes i przez „Pont-Audemer”. Ale musiała się wyrzec tego projektu wskutek zakazu ojca, który wiedział — kiedy babka organizuje jakąś podróż tak, aby z niej wycisnąć możliwie pełną korzyść intelektualną — ile można się spodziewać chybionych pociągów, zagubionych bagażów, chorób gardła i kar za naruszenie przepisów. Babka cieszyła się bodaj na myśl, że nigdy, wybierając się na plażę, nie będziemy narażeni na uprzykrzone i niewczesne zjawienie się tego, co jej ukochana Sévigné nazywała „szelmą kareta”: nie będziemy nikogo znali w Balbec, bo Legrandin nie ofiarował nam się z listem polecającym do siostry. (Abstynencję tę inaczej oceniły moje ciotki, Celina i Wiktoria. Znając od dziecka tę, którą dotąd, dla zaznaczenia dawnej zażyłości, nazywały Renią de Cambremer, i posiadając jeszcze od niej owe podarki, przechowywane w pokoju i w konwersacji, ale niemające już żadnego związku z obecną rzeczywistością, sądziły, iż pomszczą nasz afront, nie wymawiając już nigdy u starej pani Legrandin imienia jej córki. I skoro się znalazły za drzwiami, winszowały sobie wzajem aluzjami w tym rodzaju: „Nie pisnęłam ani słówka o tej osobie, co wiesz”, „Sądzę że mnie zrozumiano”).

Zatem mieliśmy jechać po prostu z Paryża owym pociągiem *pierwsza dwadzieścia dwie*. Zbyt długo lubiłem szukać tego pociągu w rozkładzie jazdy, gdzie mi za każdym razem dawał wzruszenie, prawie błogosławione złudzenie wyjazdu, abym sobie mógł nie wyobrażać, że go znam. Ponieważ określenie w naszej wyobraźni rysów jakiegoś szczęścia raczej zależy od tożsamości pragnień, jakie w nas ono budzi, niż od ścisłości wiedzy naszej o nim, sądziłem, że znam to szczęście we wszystkich jego szczegółach; nie wątpiłem, że doznam w wagonie specjalnej przyjemności, kiedy dzień zacznie się mieć ku schyłkowi; że będę oglądał taki a taki efekt zbliżając się do pewnej stacji; tak iż ten pociąg, budzący wciąż we mnie obrazy tych samych miast, spowijanych w światło owych popołudniowych godzin, zdawał mi się odmienny od wszystkich innych pociągów; i w końcu — jak często robimy z istotą, której nigdyśmy nie widzieli, ale o której przyjaźni lubimy roić — dałem swoistą i niezmienną fizjognomię temu jasnowłosemu podróżnemu-artystycie,

który by mnie zabrał po drodze i z którym pożegnałbym się u stóp katedry Saint-Lô, zanim by się oddalił w stronę zachodu.

Ponieważ babka nie mogła się zdecydować na to, aby jechać „tak sobie, po prostu” do Balbec, miała się zatrzymać dobę u jakiejś przyjaciółki. Ja miałem wyjechać stamtąd tego samego wieczoru, aby nie robić kłopotu, a także aby ujrzeć nazajutrz w ciągu dnia kościół w Balbec. Kościół — jak się dowiedzieliśmy — był dosyć daleko od plaży, tak że nie mógłbym się tam wybrać w początkach kuracji. I może było mi lżej z uczuciem, iż wspinały przedmiot mojej podróży mieści się przed ową okrutną pierwszą nocą, gdy miałem wstąpić w nowe mieszkanie i zgodzić się w nim żyć. Ale trzeba było najpierw opuścić dawne; matka urządziła się tak, aby się zainstalować tego samego dnia w Saint-Cloud, gdzie wydała (lub udała, że to uczyniła) wszystkie dyspozycje, aby tam pospieszyć wprost po odwiezieniu nas na dworzec, nie wstępując do domu. Bała się, abym nie zechciał z nią wrócić, zamiast jechać do Balbec. A nawet, pod pozorem że ma dużo do roboty na nowym mieszkaniu i że ma mało czasu (a w istocie, aby mi oszczędzić okrucieństwa pożegnań), postanowiła nie doczekać z nami odejścia pociągu, momentu gdy rozłąka, przesłonią wprzód krzątaniem i nieobowiązującymi jeszcze definitywnie przygotowaniami, objawia się nagle, niemożliwa do zniesienia, wówczas gdy jej już niepodobna uniknąć, skupiona całkowicie w olbrzymiej chwili bezsilnej i ostatecznej świadomości.

Pierwszy raz czułem, że możliwe jest, aby matka żyła beze mnie, inaczej niż dla mnie, innym życiem. Miała mieszkać oddzielnie z ojcem, uważając może, że moje słabe zdrowie, moja nerwowość czynią ojcu życie dość uciążliwym i smutnym. Ta rozłąka zasmuciła mnie tym bardziej, bo powiadałem sobie, że jest ona prawdopodobnie dla matki kresem kolejnych zawodów, jakie jej sprawiłem; zawodów, które przede mną tała, a po których zrozumiała trudność wspólnych wakacji. Może była to dla niej i pierwsza próba egzystencji, z jaką zaczynała się godzić na przyszłość, w miarę jak lata będą płynęły dla ojca i dla niej, egzystencji, w której będę ją widywał mniej, kiedy — czego nie dopuszczałem nawet w koszmarach snu — byłaby już dla mnie trochę obcą panią, która wraca sama do domu, gdzie mnie nie będzie, pytając odźwiernego, czy nie ma ode mnie listu.

Zaledwie zdołałem odpowiedzieć coś bagażowemu biorącemu mój kuferek. Chcąc mnie pocieszyć, matka próbowała sposobów, które się jej zdawały najskuteczniejsze. Uważała za bezcelowe udawać, że nie widzi mojej zgryzoty, żartowała z niej łagodnie:

— No i co, co by powiedział kościół w Balbec, gdyby wiedział, że z taką nieszczęśliwą miną gotujemy się go obejrzeć? Czy to jest ten olśniony podróżny, o którym mówi Ruskin? Zresztą dowiem się, czyś się znalazł na wysokości zadania, nawet z daleka będę jeszcze ze swoim kociakiem. Dostaniesz jutro list od swojej mamusi.

— Moje dziecko — rzekła babka — widzę cię jak panią de Sévigné, z oczami wlepionymi w mapę i nieopuszczającą nas ani na chwilę.

Potem mama starała się mnie rozerwać, pytała, co zamówię na obiad, podziwiała Franciszkę, komplementowała ją za kapelusz i płaszcz, których nie poznawała, mimo że niegdyś budziły jej zgrozę, kiedy je widziała jeszcze nowe na ciotce; kapelusz z ogromnym, sterczącym ptakiem, płaszcz oszepony straszliwym deseniem i dżetami. Ale ponieważ płaszcz był zniszczony, Franciszka dała go przenicować i wydobyła na wierzch drugą stronę, gładką i w miłym tonie. Co się tyczy ptaka, od dawna już połamany, poszedł na śmietnik. I tak samo, jak czasem wzrusza nas spotkać subtelności, na które siłą się najświadomszy artyści, w ludowej piosence, na fasadzie jakiegoś chłopskiego domu, gdzie kwitnie nad wrotami biała lub żółta róża właśnie w miejscu, gdzie było trzeba — tak samo Franciszka z naiwnym i niezawodnym smakiem umocowała na swoim kapeluszu, który się zrobił śliczny, aksamitną wstążkę i węzeł, zdolne zachwycić nas na jakim portrecie Chardina lub Whistlera.

Skromność i uczciwość, dające często coś szlachetnego twarzy naszej starej służącej, udzieliły się strojowi, który — jako osoba dyskretna bez uniżoności, umiejąca zachować właściwe miejsce — przywdziała na tę podróż, aby być dla nas godną towarzyszką, nie robiąc wrażenia, że chce zwrócić na siebie uwagę. Tak iż — aby sięgnąć w dawniejsze czasy — w wiśniowym, ale spłowiałym suknie swego płaszcza oraz w miękkim włosie futrzanego kołnierza, Franciszka przywodziła na myśl jakiś portret Anny Bretońskiej, malowany w modlitewniku przez starego mistrza, gdzie poczucie harmonii rozlane jest

we wszystkich partiach tak równo, że bogata i niemodna oryginalność stroju wyraża tę samą nabożną powagę, co oczy, wargi i ręce.

Nie można by mówić o myśli w związku z Franciszką. Nie wiedziała ona nic, w tym ogólnym sensie, w jakim „nie wiedzieć nic” równa się nie rozumieć nic, poza rzadkimi prawdami, które serce zdolne jest ogarnąć wprost. Olbrzymi świat idei nie istniał dla niej. Ale wobec jasności jej spojrzenia, wobec delikatnych linii tego nosa, tych warg, wobec wszystkich tych oznak nieobecnych u tyłu osób kulturalnych, u których wyrażałyby najwyższą dystynkcję, szlachetną bezinteresowność wybranej duszy, człowiek czuł się zmieszany, jak wobec inteligentnego i dobrego spojrzenia psa, któremu, jak wiadomo, obce są wszystkie pojęcia ludzkie. I nasuwało się pytanie, czy między tymi naszymi skromnymi braćmi, wieśniakami, nie ma istot wyższych niejako pośród świata ubogich duchem lub raczej istot, które, skazane przez niesprawiedliwy los na życie między ubogimi duchem, pozbawione światła, a mimo to naturalniej, istotniej spokrewnione z wybranymi naturami niż bywają przeważnie ludzie wykształceni, są niby rozsypani, zablakani, pozbawieni rozumu członkowie świętej rodziny, niby nie wyrosli z dzieciństwa krewni najwyższych inteligencji; istoty, którym — jak o tym świadczy niepodobny do utajenia, mimo iż nieskupiony na żadnym przedmiocie blask ich oczu — do posiadania talentu brakło tylko wiedzy.

Matka, widząc, że z trudem wstrzymuję łzy, mówiła:

— Regulus miał zwyczaj w doniosłych okolicznościach... I to jest bardzo nieładnie wobec twojej mamy. Zacytujmy, jak babcia, panią de Sévigné: „Będę się musiała zdobyć na całą siłę, której tobie brak”.

I przypominając sobie, że przywiązanie do drugiej osoby odwraca nas od samolubnych boleści, starała się zrobić mi przyjemność, powiadając, iż przypuszcza, że jej wyprawa do Saint-Cloud wypadnie dobrze, że jest zadowolona z wehikułu, który zatrzymała, że woźnica jest grzeczny, a powóz wygodny. Sililem się uśmiechnąć na te szczegóły i skłaniałem głowę z wyrazem zgody i zadowolenia. Ale pomagały mi one tylko wyobrazić sobie naczynniej odjazd mamy i ze ściśniętym sercem patrzyłem na nią, tak jakby już była daleko ode mnie, w tym okrągłym, słomkowym kapeluszu sprawionym na wieś, w lekkiej sukni, którą włożyła na drogę z powodu upału, co ją czyniło jakby inną, należącą już do willi *Montretout*, gdzie jej nie zobaczę.

Aby uniknąć w podróży ataków duszności, lekarz poradził mi napić się w chwili wyjazdu sporo piwa lub koniaku, aby osiągnąć stan — jak to nazywał „euforii”, gdy system nerwowy chwilowo staje się mniej pobudliwy. Nie byłem jeszcze pewien, czy to zrobić, ale chciałem bodaj, aby babka uznała, że w razie gdybym się zdecydował, miałbym za sobą prawo i rozsądek. Toteż mówiłem o tym tak, jak gdybym się wahał jedynie co do wyboru miejsca, gdzie się napiję czegoś, w bufecie czy w wagonie restauracyjnym. Ale pod wpływem wyrazu nagany, jaki przybrała twarz babki, niechcącej nawet przyjąć tej myśli do wiadomości, zdecydowany nagle pójść się napić — która to decyzja stawała się konieczna, aby dowieść mojej wolności, skoro ustna jej zapowiedź nie mogła przejść bez protestu — wykrzyknąłem:

— Jak to, ty wiesz, jaki jestem chory, wiesz, co mi powiedział lekarz, i to jest rada, jaką mi dajesz!

Kiedym się zwierzył babce ze swojej niedyspozycji, odpowiedziała z miną tak zmartwioną, taką dobrą: „Ależ tak, idź prędko napić się piwa lub koniaku, jeżeli to ci ma coś pomóc”, że rzuciłem się na nią, okrywając ją pocałunkami. A jeżeli mimo to poszedłem do baru i wypilem o wiele za dużo, to dlatego, iż czułem, że bez tego grozi mi atak zbyt gwałtowny i że to by zmartwiło babcię jeszcze bardziej. Kiedy na pierwszej stacji wróciłem do wagonu, oznajmiłem jej, jak jestem szczęśliwy, że jadę do Balbec; że czuję, iż wszystko ułoży się dobrze, w gruncie przyzwyczaję się szybko żyć bez mamy, pociąg jest przyjemny, garson w barze i konduktowy tak mili, iż chciałbym często odbywać tę drogę, aby mieć sposobność widywania ich. Ale babka nie wydawała się równie szczęśliwa ze wszystkich tych dobrych nowin. Odpowiedziała, starając się nie patrzeć na mnie:

— Może byś próbował przespać się trochę.

Po czym obróciła twarz do okna, przy którym spuściliśmy firankę niezasłaniającą go całkiem, tak iż słońce mogło rzucać na politurowaną dębową ramę oraz na obitą sukniem ławkę tę samą ciepłą i senną jasność, jaka odbywała się na polankach, będąc niby rekla-

mą życia na łonie natury, o wiele bardziej przekonującą niż owe reklamy umieszczone zbyt wysoko w wagonach staraniem dyrekcji kolei i przedstawiające krajobrazy, których nazw nie mogłem odczytać.

Ale kiedy babka myślała, że ja mam oczy zamknięte, widziałem chwilami, jak spod woalki w duże grochy rzuca na mnie spojrzenie, potem je cofa, potem znów patrzy, niby ktoś, kto — chcąc się przyzwyczaić — podejmuje uciążliwe ćwiczenie.

Wówczas zacząłem mówić do niej, ale nie zdawało mi się, aby jej to było przyjemne. A przecież mnie własny mój głos sprawiał przyjemność; toż samo najłżejsze, najwewnętrzniejsze drgnienia mojego ciała. Toteż starałem się, aby trwały, pozwalałem każdej intonacji czepiać się długo słów, czułem, że każdemu z moich spojrzeń dobrze jest tam, gdzie spoczęło i że tam trwa ponad zwyczajny czas. „No, odpocznij — rzekła babka. — Jeżeli nie możesz spać, czytaj coś”. I podała mi tom pani de Sévigné, który otwarłem, gdy ona pograżyła się w *Pamiętnikach pani de Beausergent*. Nigdy nie ruszała się bez jakiegoś tomu jednej i drugiej. Byli to jej dwaj ulubieni autorzy.

Nie próbując poruszyć głową w tej chwili i znajdując wielką przyjemność w zachowaniu raz zajętej pozycji, trzymałem tom pani de Sévigné, nie otwierając go, i nie spuściłem na niego oczu, które miały przed sobą jedynie niebieską storę. Ale patrzeć na tę storę wydawało mi się czymś cudownym i nie byłbym sobie zadał trudu odpowiadania komuś, kto by mnie chciał wyrwać z kontemplacji. Niebieski kolor story, może nie przez swą piękność, ale przez żywość i nasilenie, tak dalece zaćmiewał wszystkie kolory, jakiem oglądał od urodzenia aż do chwili, kiedy się teraz napiłem i kiedy napój zaczął działać, że wobec tego błękitu, kolory owe były dla mnie równie szare, równie żadne, jak dla ślepych od urodzenia, późno operowanych, może być retrospektywnie — po ujrzaniu barw — ciemność, w jakiej żyli.

Stary konduktor przyszedł sprawdzić bilety. Srebrne połyski jego metalowych guzików znów mnie oczarowały. Byłbym go chciał prosić, aby usiadł obok nas. Ale on przeszedł do następnego wagonu, a ja myślałem z tęsknotą o życiu włóczęgów, którzy, spędzając całe życie w wagonie, co dzień oglądają starego konduktora. Przyjemność, jaką czerpałem z widoku niebieskiej story i z faktu, że usta miałem na wpół otwarte, zaczęła w końcu opadać. Stałem się ruchomszy, poruszyłem się trochę, otwarłem tom, który mi babka dała i zdołałem skupić uwagę na przerzucanych stronicach. I czytając, czułem rosnący podziw dla pani de Sévigné.

Nie trzeba się dać oszukać czysto formalnym cechom, wiążącym się z epoką, z życiem salonu i sprawiającym, iż wiele osób myśli, że rozgryzły panią de Sévigné, kiedy powiedzą: „Donieś mi, moja dobra”, albo „ten hrabia wydał mi się do rzeczy”, albo „Przewracać siano, to rzecz najładniejsza w świecie”. Już pani de Simone wyobraża sobie, że się upodoba do swojej babki, gdy pisze: „Pan de la Boulie ma się doskonale, wybornie może znieść nowiny o swojej śmierci” albo „Och, drogi margrabio, jakże mi się twój list podoba! Jakże tu nie odpowiedzieć”, lub wreszcie „Zdaje mi się, drogi panie, że pan mi jest winien odpowiedź, a ja panu tabakierki z bergamoty. Wywiążę się z tego w liczbie ośmiu, przyjdą potem dalsze... nigdy ziemia tyłu ich nie wydała. To zapewne dlatego, aby się panu spodobać”. I w tym stylu pisze o puszczaniu krwi, o cytrynach, wyobrażając sobie, że to jest styl pani de Sévigné. Ale babka, która poznała ją od wewnątrz, od strony miłości do jej bliskich i do natury, nauczyła mnie kochać prawdziwe piękności pani de Sévigné, które są całkiem inne. Miały mnie niebawem uderzyć tym więcej, ile że pani de Sévigné jest wielką artystką — z tej samej rasy co pewien malarz, którego miałem spotkać w Balbec i który miał tak głęboki wpływ na moją wizję świata — Elstir. Zrozumiałem w Balbec, że pani de Sévigné pokazuje nam rzeczy tak samo jak on, w kolejności naszych wrażeń, zamiast tłumaczyć na początku ich przyczynę. Ale już tego popołudnia, w tym wagonie, odczytując list, gdzie się zjawia blask księżycy: „Nie mogłam się oprzeć pokusie, kładę wszystkie niepotrzebne czepki i czapki, idę na tę promenadę, gdzie powietrze jest łagodne jak w moim pokoju; zastaję tam tysiąc dziwadeł, *białych i czarnych mnichów, szarych i białych zakonnic, bieliznę porzuconą tu i ówdzie, ludzi pochowanych stojąco, opartych o drzewa itd.*”, byłem oczarowany tym, co nazwałbym nieco później (czyż ona nie maluje pejzażów w ten sam sposób co on charakterystycznie?) akcentem Dostojewskiego w *Listach pani de Sévigné*.

Kiedy wieczorem, odprowadziwszy babkę i spędziwszy kilka godzin u jej przyjaciółki, wsiałem sam do pociągu, nadchodząca noc nie wydała mi się zbyt przykra; nie miałem spędzić jej jak więzien w pokoju, którego senność przeszkadzałaby mi zasnąć; otaczała mnie kojąca czynność wszystkich tych drgań pociągu, dotrzymujących mi towarzystwa, gotowych rozmawiać ze mną, o ile nie zdołam zasnąć, kołyszących mnie swoimi głosami, które splatałem niby dźwięk dzwonów w Combray wciąż w inny rytm (słyszac, wedle swojej fantazji, najpierw cztery równe szesnastki, potem szesnastkę wściekle zde-rzającą się z ćwiercią); neutralizowały odśrodkową siłę mojej bezsenności, wywierając na nią przeciwne ciśnienie, które mnie utrzymywało w równowadze i do którego moja nie-ruchomość, a niebawem sen garnęły się z tym samym orzeźwiającym wrażeniem, jakie byłby mi dał odpoczynek płynący z czujności potężnych sił w łonie natury i życia, gdybym mógł wcielić się na chwilę w jaką rybę śpiącą w morzu, niesioną w odrętwieniu prądami i falą lub w orla wspartego jedyne na burzy.

Wschody słońca są rekwizytem długich podróży koleją, jak jajka na twardo, ilustro-wane dzienniki, talie kart, rzeki, na których łodzie męczą się, nie posuwając się naprzód. W pewnej chwili, kiedym rozbierał myśli, wypełniające mnie przez poprzednie minuty, chcąc sobie zdać sprawę, czym spał czy nie (sama niepewność, nakazująca mi zadać sobie to pytanie, dostarczała mi twierdzącej odpowiedzi), ujrzałem w kwadracie okna, ponad czarnym laskiem, postrzępione chmury. Miękkie ich puch miał kolor zdecydowanie różo-wy, martwy, niezdolny się odmienić, niby kolor barwiący pióra skrzydeł, które go sobie przyswoiły, lub pastel, na którym go pomieściła fantazja malarza. Lecz czułem, że, wręcz przeciwnie, kolor ten nie jest martwotą ani kaprysem, lecz koniecznością i życiem. Nie-bawem zgromadziły się za nim zapasy światła. Kolor stał się żywszy, niebo zabarwiło się pasem, który starałem się, przylepiając oczy do szyby, widzieć lepiej, bom czuł, że on jest w związku z głębokim istnieniem natury. Ale szyny zmieniły kierunek, pociąg skręcił, poranną scenę zastąpił w ramie okiennej nocny pejzaż z dachami błękitnymi od blasku księżycy, z sadzawką zanieczyszczoną perłową masą nocy, pod niebem jeszcze usianym wszystkimi gwiazdami; i już rozpaczalem, że stracił swój różowy pas nieba, kiedym go ujrzał na nowo, tym razem czerwony, w przeciwległym oknie, które porzucił przy no-wym zagięciu szyn; tak że biegałem wciąż od jednego do drugiego okna, aby zbliżyć, aby posklejać przerywane i sprzeczne fragmenty mego pięknego szkarłatnego i zmiennego poranka, mieć jego całkowity widok i ciągły obraz.

Krajobraz stał się niespokojny, urwisty, pociąg zatrzymał się na stacyjce między dwie-ma górami. W głębi parowu, nad strumieniem, widać było tylko domek leśniczego, za-nurzony w wodzie płynącej na wysokości okien. Jeżeli jakaś istota może być produktem gleby, której swoistego uroku w niej kosztujemy, w takim razie — bardziej jeszcze niż wieśniaczka, której obecności tak pragnąłem, błędząc samotnie po lasach Roussainville w stronie Méséglise — musiała nią być roślina dziewczyna, którą ujrzałem wychodzącą z dzbankiem mleka z tego domu i idącą ku stacji dróżką, oświetloną z ukosa wschodzą-cym słońcem. W dolinie, gdzie te pagórki zasłaniały resztę świata, jeżeli widywała ludzi, to chyba tylko w tych pociągach, zatrzymujących się przez chwilę. Szła wzdłuż wago-nów, częstując kawą z mlekiem paru zbudzonych podróżnych. Zacerwieniona blaskiem poranku, twarz jej była różowsza niż niebo. Uczułem wobec niej ową żądzę życia, jaka od-radza się w nas za każdym razem, kiedy na nowo uświadamiamy sobie piękno i szczęście. Zapominamy zawsze, że one są indywidualne, i, podstawiając pod nie w myśli konwen-cjonalny typ przeciętnej z rozmaitych twarzy, które się nam podobały, z przyjemności któreśmy poznali, osiągamy jedynie abstrakcyjne obrazy, mdłe i nudne, gdyż brak im właśnie owego charakteru rzeczy nowej, różnej od tego, cośmy znali, charakteru właści-wego piękności i szczęściu. I wydajemy o życiu sąd pesymistyczny, w naszym przekonaniu trafny, sądząc, żeśmy uwzględnili w nim szczęście i piękno, podczas gdyśmy je opuścili i zastąpili syntezami, gdzie nie było z nich ani atomu. Tak ziewa zawczasu z nudów li-terat, gdy mu mówić o nowej „pięknej książce”, bo sobie wyobraża rodzaj mieszanki ze wszystkich pięknych książek, jakie czytał; podczas gdy piękna książka jest osobliwa, nie-przewidziana, i nie jest jakąś sumą poprzednich arcydzieł, ale czymś, do czego odkrycia nie wystarcza sobie przyswoić doskonale tę sumę, bo owo coś znajduje się właśnie poza nią. Z chwilą gdy poznał nowe dzieło, literat ów, przed chwilą znudzony, interesuje się światem, jaki ono maluje. Tak samo owa piękna dziewczyna — obca typom piękności,

jakie rysowała moja myśl, gdy byłem sam — obudziła we mnie natychmiast smak pewnego *szczęścia* (jedyna i zawsze osobliwa forma, pod którą możemy poznać smak szczęścia), szczęścia, które by można ziszczyć, żyjąc obok niej.

Ale i tu działała w znacznej mierze chwilowa pauza w Przyzwyczajeniu. Wzbogaciłem ową mleczarkę tym, że wobec niej znajdowała się moja pełna istota, zdolna kosztować żywych radości. Zazwyczaj żyjemy naszą istotą zredukowaną do minimum; większość naszych zdolności drzemie, bo wspierają się na przyzwyczajeniu, które wie, co trzeba robić i nie potrzebuje ich. Ale w tym poranku zdybanym w podróży przerwa w rutynie życia, zmiana miejsca i godziny, uczyniły ich obecność nieodzowną. Moje przyzwyczajenie, domatorskie i nienawykłe do oglądania poranków, nie dopisało, i wszystkie moje władze zbiegły się, aby je zastąpić, rywalizując między sobą w gorliwości — wznosząc się, niby fale, do wspólnego niezwykłego poziomu — wszystkie, od najniższej aż do najszlachetniejszej, od oddechu, apetytu i krążenia krwi, aż do wrażliwości i wyobraźni. Nie wiem, czy każąc mi wierzyć, że ta dziewczyna nie jest podobna do innych kobiet, dzięki urok tych miejsc mnożył jej uroki, ale ona oddawała im to z nawiązką. Życie wydałoby mi się rozkoszne, gdybym je tylko mógł, godzina po godzinie, spędzić z nią, towarzyszyć jej aż do strumienia, aż do krowy, aż do pociągu, być wciąż obok niej, czuć się jej znanym, mieć swoje miejsce w jej myśli. Wtajemniczyłaby mnie w czar wsi i pierwszych godzin dnia. Skinąłem na nią, aby mi podała kawę z mlekiem. Czułem potrzebę zwrócenia jej uwagi na siebie. Nie spostrzegła mnie, zawołałem ją. Przy bujnie rozwiniętym ciele twarz jej była tak złota i różowa, że widziało się ją niby przez oświetlony witraż. Wróciła, nie mogłem oderwać oczu od jej twarzy coraz to szerszej, podobnej słońcu, gdyby je można utrwalić i gdyby się zbliżyło aż do nas, tuż, pozwalając się oglądać z bliska, olśniewając nas złotem i czerwienią. Objęła mnie przenikliwym spojrzeniem, ale już konduktorzy zamknęli drzwiczki, pociąg ruszył, ujrzałem, jak dziewczyna opuszcza dworzec i wraca ścieżką; był już jasny dzień: oddalałem się od jutrzeńki.

Czy moje podniecenie zrodziło się z tej dziewczyny, czy też, przeciwnie, ono głównie stworzyło przyjemność przeżywaną przy niej, w każdym razie było ono tak zespolone z tą przyjemnością, że żądza ujrzenia jej jeszcze była przede wszystkim pragnieniem duchowym. Nie dać temu stanowi podniecenia zginąć całkowicie, nie rozstawać się na zawsze z istotą, która, choćby bez swojej wiedzy, miała w nim udział! Nie tylko dlatego, że ten stan był przyjemny; ale zwłaszcza że (jak większe napięcie struny lub szybsza wibracja nerwu wydaje odmienny dźwięk lub kolor) dawał inną tonację temu, com widział, że mnie wprowadzał jako aktora w nieznaną wszechświat, nieskończenie bardziej interesujący. Owa ładna dziewczyna, którą widziałem jeszcze, gdy pociąg przyspieszył biegu, była jak gdyby cząstką innego, nieznanego życia, oddzielonego jakby smugą od zwykłej mojej egzystencji, czerpiącego z przedmiotów inne wrażenia; opuścić teraz to życie znaczyło umrzeć dla samego siebie. Aby zaznać tej słodczy, aby się czuć bodaj uczepionym owego życia, wystarczyłoby mieszkać blisko tej stacyjki, móc co rano zachodzić do tej wieśniaczki na kawę z mlekiem. Ale, ach! miała być zawsze nieobecna w innym życiu, ku któremu jechałem coraz szybciej i z którym godziłem się, jedynie snując plany, aby pewnego dnia wsiąść do tego samego pociągu i zatrzymać się na tym samym dworcu. Projekt ów miał i tę korzyść, że dostarczał pokarmu interesownej, czynnej, praktycznej, machinalnej, leniwej, ośrodkowej dyspozycji, będącej przyrodą naszego ducha, który rad się umyka wysiłkowi potrzebnemu na to, aby w ogólny i bezinteresowny sposób zgłębić w sobie samym doznane przez nas przyjemne wrażenie. Że zaś, z drugiej strony, chcemy dalej myśleć o tym wrażeniu, duch nasz woli je sobie roić w przyszłości, zręcznie przygotowywać okoliczności zdolne je wskrzesić, co nam nie objaśnia w niczym jego istoty, ale oszczędza trudu odtwarzania go w nas samych i pozwala mieć nadzieję doznania go na nowo z zewnątrz.

Niektóre nazwy miast, Vézelay lub Chartres, Bourges lub Beauvais, oznaczają po prostu w skrócie miejscowy kościół. To cząstkowe znaczenie, w jakim bierzemy je tak często, rzeźbi w końcu — o ile chodzi o miejsce jeszcze nam nieznanie — całą nazwę, która z chwilą gdy zapagniemy w nią wprowadzić ideę miasta nigdy niewidzianego, nałoży mu — niby odlew — te same cyzelacje, ten sam styl, uczyni zeń rodzaj wielkiej katedry. Ale nazwę Balbec, nazwę w stylu niemal perskim, wyczytałem na dworcu kolejowym, nad bufetem, białymi literami na niebieskiej tablicy. Przebiegłem szybko dworzec i bulwar

wiodący od dworca; spytałem o wybrzeże, żeby widzieć tylko kościół i morze; nie bardzo rozumiano, o co mi chodzi. Balbec-le-Vieux, Balbec-en-Terre, w którym się znalazłem, nie było ani plażą, ani portem. Niewątpliwie, wedle legendy, w morzu znaleźli rybacy cudownego Chrystusa, które to odkrycie opiewał witraż w kościele będącym o kilka metrów ode mnie; kamień służący do zbudowania nawy i wieży dobyto z raf smaganych falą. Ale to morze, które z tej racji wyobraziłem sobie konającym u stóp witrażu, było przeszło o pięć mil stąd, w Balbec-Plage; owa zaś wieża obok kopuły kościoła, którą — dlatego żem wyczytał, iż ona sama jest stromą normandzką skałą, nad którą zbierają się wichry, gdzie krążą ptaki — zawsze sobie wyobrażałem kąpiącą stopy w pianie wzburzonych fal, wznosiła się na placu, gdzie krzyżowały się dwie linie tramwajowe, na wprost kawiarni, noszącej złotymi literami wypisane słowo „Bilard”; a odcinała się na tle domów, gdzie między dachy nie zamieszła się żaden maszt. I kościół — wnikając w moją uwagę wraz z kawiarnią, z przechodniem, którego musiałem spytać o drogę, z dworcem kolejowym, dokąd miałem wrócić — łączył się z całą resztą, zdawał się przypadkiem, produktem schyłku tego popołudnia, w którym miękka i wzdęta na niebie kopuła była niby owoc o różowej, złocistej i rozplywającej się skórce, nasyconej tym samym światłem, które kąpało kominy domów.

Ale nie chciałem już myśleć o niczym, tylko o wiekuistym sensie rzeźb, kiedym poznał Apostołów, których odlewy widziałem w muzeum Trocadéro i którzy, po dwóch stronach Matki Boskiej, w głębokiej wklęsłości kruchty, czekali na mnie, jak gdyby robiąc mi honory. Z życzliwą i łagodną twarzą, o płaskich nosach, z przygiętym grzbietem, zdawali się zbliżać powitalnie, śpiewając *Alleluja* pogodnego dnia. Ale widać było, że ich wyraz jest niezmienny jak wyraz umarłego i że się zmienia tylko wtedy, kiedy patrzący krąży dokoła nich. Powiadałem sobie: to tutaj, to jest kościół w Balbec. Ten plac, robiący wrażenie, jakby znał swoją chwałę, to jest jedyne w świecie miejsce, które posiada kościół z Balbec. Dotąd widziałem tylko fotografie tego kościoła, tylko odlewy tych sławnych apostołów, tej Matki Boskiej z kruchty. Teraz to jest sam kościół, to sam posąg, to są one; one, jedyne: to coś o wiele więcej.

To było zarazem może mniej. Jak młody członek w dniu egzaminu lub pojedynku uważa pytanie profesora, wystrzeloną kulę za drobiazg w porównaniu z zasobami wiedzy i odwagi, które posiada i których byłby chciał złożyć dowód, tak samo mój umysł, który wznosił Matkę Boską z kruchty poza widzianymi odlewami, niedostępną skazom, jakim mogły ulec tamte, nietkniętą, gdyby tamte ktoś zniszczył, idealną, mającą wartość uniwersalną, dziwił się, widząc posąg, który rzeźbił tysiąc razy, sprowadzony teraz do jego własnej kamiennej postaci, zajmujący w stosunku do zasięgu mego ramienia miejsce, gdzie miał za rywalów afisz wyborczy i koniec mojej laski; przykuty do rynku, nieodłączny od wylotu ulicy, niezdolny uciec przed spojrzzeniami kawiarni i biura omnibusów, biorący na twarz połowę blasku zachodzącego słońca — a niebawem, za kilka godzin, połowę światła latarni, gdy biuro Kasy Pożyczkowej otrzymywało drugą jego połowę; nawiedzony równocześnie z tą filią zakładu kredytowego odorami kuchni cukiernika, podległy tyranii Poszczególności do tego stopnia, że gdybym chciał wyryc na tym kamieniu swój podpis, to ona, dostojna Dziewica, którą do tej pory obdarzałem ogólnym istnieniem i nietykalną pięknnością, Matka Boska z Balbec, ona jedyna (co, niestety, znaczyło sama jedna) na swoim cieple, zbrukanym tą samą sadzą co sąsiednie domy, ukazałaby, nie mogąc się go pozbyć, wszystkim swoim wielbicielom przybyłym tam, aby ją podziwiać, ślad mego kawałka kredy i litery mego nazwiska. Ona wreszcie była owym nieśmiertelnym i tak długo upragnionym dziełem sztuki, które odnajdowałem przeobrażone, jak i sam kościół, w małą kamienną staruszkę, i mogłem zmierzyć jej wysokość i policzyć zmarszczki.

Czas mijał, trzeba było wrócić na dworzec, gdzie miałem oczekiwać babki i Franciszki, aby się razem z nimi udać do Balbec-Plage. Przypominałem sobie, com czytał o Balbec, i słowa Swanna: „To urocze, to równie piękne jak Siena”. I obwiniając o mój zawód jedynie przypadek, nastrój, zmęczenie, nieumiejętność patrzenia, próbowałem się pocieszyć myślą, że zostały inne miasta jeszcze dla mnie nietknięte, że mógłbym niedługo może wniknąć — niby w deszcz perłę — w chłodny szmer wód Quimperlé, przebyć zielonkawy i różowy blask, w jakim kąpie się Pont-Aven; ale co się tyczy Balbec, z chwilą gdym się tam znalazł, to było tak, jak gdybym był otworzył imię, które trzeba było trzymać hermetycznie zamknięte, i gdzie — korzystając z dostępu, jaki im niebacznie stworzyłem,

wypędzając wszystkie obrazy żyjące tam dotąd — tramwaj, kawiarnia, ciżba chodząca po rynku, filie kasy pożyczkowej, nieodparcie popychane zewnętrznym parciem i pneumatyczną siłą, stłoczyły się wewnątrz sylab, które, zamknawszy się nad nimi, pozwalały im teraz obramiać kruchę perskiego kościoła i zostać tam już na zawsze.

W kolejce lokalnej, która miała nas zawieźć do Balbec-Plage, znalazłem babkę, ale samą. Wpadła na pomysł wysłania przed sobą Franciszki, tak aby wszystko było przygotowane z góry; ale dawszy jej fałszywą informację, wyekspediowała ją w złym kierunku. W tej chwili, nie domyślając się niczego, Franciszka pomykała z całą chyżością w stronę Nantes, aby się obudzić może w Bordeaux. Ledwie usiadł w wagonie wypełnionym ulotnym światłem zachodu i wytrzymałem popołudniowym gorącem (przy czym światło, niestety, pozwalało mi na twarzy babki sprawdzić, jak bardzo gorąco ją zmęczyło), spytała: „No co, Balbec?”, z uśmiechem tak żarliwie rozświeconym nadzieją wielkiej przyjemności, której, jak przypuszczała, doznałem, że nie śmiała wyznać jej tak od razu swojego zawodu. Zresztą wrażenie, jakiego szukał mój duch, mniej mnie zajmowało, w miarę jak się zbliżało miejsce, do którego ciało moje miało się przyzwyczajać. U kresu drogi, jeszcze oddalony przeszło o godzinę, starałem się sobie wyobrazić dyrektora hotelu w Balbec, dla którego byłem w tej chwili czymś nieistniejącym; byłbym pragnął przedstawić mu się w towarzystwie bardziej imponującym niż babka, która z pewnością zażąda rabatu. Jawił mi się nieuchronnie sztywny, ale bardzo mglisty w konturach.

Co chwilę kolejka zatrzymywała się na jednej ze stacji poprzedzających Balbec-Plage. Same ich nazwy (Incarville, Marcouville, Doville, Pont-à-Couleuvre, Arambouville, Saint-Mars-le-Vieux, Hermonville, Maineville) zdawały mi się dziwaczne; choć gdybym je spotkał w książce, odczułbym ich powinowactwo z nazwami pewnych miejscowości w pobliżu Combray. Ale dla ucha muzyka, dwa motywy, materialnie zawierające wiele tych samych nut, mogą nie mieć żadnego podobieństwa, jeśli się różnią barwą harmonii i orkiestracji. Tak samo te smutne nazwy, utworzone z piasku, z nazbyt wietrznej i pustej przestrzeni i z soli, nazwy, nad które słowo *ville* wlatywało tak jak *vole* w *pigeon-vole*, nie przywoływały mi na myśl owych innych, jak Roussainville albo Martinville, które przez to, że je tak często wymawiała ciotka w „sali”, nabyły jakiegoś mrocznego czaru, gdzie zmieszały się może ekstrakty smaku konfitur, zapachu płonących drewn, papieru książki Bergotte’a i koloru domu naprzeciwko. I jeszcze dziś, kiedy się wznoszą jak bańka gazu z głębin mojej pamięci, zachowują swój odrębny smak poprzez spiętrzone warstwy różnych środowisk, jakie im trzeba przebyć, zanim dosięgną powierzchni.

Były to małe stacyjki, górujące nad odległym morzem z wysokości wydmy, gdzie układały się już na noc u stóp jaskrawo zielonych pagórków o kształcie niemiłym ni-by kanapa w obcym hotelu. Złożone z paru willi, uświetnionych kortem tenisowym, a niekiedy kasynem, którego chorągiew trzepotała się na chłodnym wietrze, zębata i płochliwa, stacyjki te ukazywały mi pierwszy raz swoich zwyczajnych gości, ale pokazywały mi niejako ich zewnętrzną powierzchnię — tenisiści w białych czapczkach, naczelnik stacji mieszkający przy swoich tamaryszkach i różach, dama w „*canotier*”, która kreśląc codzienną linię swojego na zawsze nieznanego mi życia, wołała ociągającego się charta i wchodziła do willi, gdzie lampa była już zapalona — a obrazy te, dziwnie zwyczajne, obrażająco pospolite, raniły okrutnie moje obce spojrzenia i moje wykołejone serce. Ale o ileż zwiększyła się męka, kiedyśmy wylądowali w hallu Grand Hotelu w Balbec, na wprost monumentalnych schodów imitujących marmur, podczas gdy babka, nie dbając, iż zwiększa wrogość i pogardę obcych, wśród których mieliśmy żyć, omawiała „warunki” z dyrektorem, podobnym do tłustego chińczyka, o twarzy i głosie w bliznach (na twarzy zostawiło je wycięcie licznych brodawek, na głosie różne akcenty, wynikłe z jego odległego pochodzenia i z kosmopolitycznego dzieciństwa) w smokingu światowca, z okiem psychologa biorącego zazwyczaj, za przybyciem „omnibusu”, wielkich panów za hołotę, a szczerów hotelowych za wielkich panów. Zapominając z pewnością, że on sam nie pobiera ani pięciuset franków miesięcznie, gardził głęboko osobami, dla których pięćset franków lub raczej (jak on mówił) „dwadzieścia pięć ludwików” jest „sumą” i uważał ich za pariasów, niebędących w Grand Hotelu na swoim miejscu.

Prawda, że w tym samym „Palace” byli ludzie, którzy płacili niezbyt drogo, zachowując mimo to pełny szacunek dyrektora, o ile był przeświadczony, że owe osoby liczą się z groszem nie przez ubóstwo, lecz przez skąpstwo. Skąpstwo nie mogłoby im w istocie

ując nic z uroku, ile że jest przywarą i może tym samym zdarzyć się w każdej sferze. „Sfera” to była jedyna rzecz, na którą dyrektor zwracał uwagę, sfera lub raczej oznaki zdające się wskazywać, że ta sfera jest wysoka, jak na przykład to, aby nie zdejmować kapelusza w hallu, nosić knickerbockery⁵, paltot do figury i wyjmować z wytłaczanego, safianowego etui cygaro przepasane purpurą i złotem (wszystko przewagi, których mnie, niestety, brakowało). Dyrektor okraszał swoje handlowe dysertacje zwrotami wyszukanyymi, ale użytymi opacznie.

Podczas gdy słyszał, jak babka, niezrażona tym, że dyrektor rozmawia z nią pogwizdując i w kapeluszu na głowie, pyta go sztucznym tonem: „Jakież są pańskie ceny?... Och! o wiele za wysokie jak na mój skromny budżet”, ja, czekając na ławeczce, chroniłem się w najdalszą głąb samego siebie, siliłem się wyemigrować w myśli wieczne, nie zostawić nic z siebie, nic żyjącego, na powierzchni mego ciała — znieczulonego jak ciało zwierząt, które przez zawieszenie życia udają martwe, kiedy je zranić. Siliłem się nie nazbyt cierpieć w tym miejscu, gdzie mój absolutny brak przyzwyczajenia stał mi się tym dotkliwszy przez równoczesny widok swobody eleganckiej damy, której dyrektor okazywał szacunek, pieszcząc się z jej pieskiem, lub młodego fircyka, który, z piórkiem u kapelusza, wchodził, pytając „czy są jakie listy” — wszystko ludzie, dla których przebywać stopnie imitujące marmur znaczyło wracać do domu — gdy równocześnie panowie, którzy, niezbyt może biegli w sztuce przyjmowania, nosili tytuł „szefów biura przyjęć”, obrzucali mnie surowym spojrzeniem Minosa, Eaka i Radamanta, spojrzeniem, w którym zanurzałem swoją obnażoną duszę jak w nieznanym żywiole, gdzie nic już nie miało jej chronić. Dalej, za szklaną ścianą, goście siedzieli w czytelni, dla której opisu trzeba by mi kolejno wybierać u Dantego barwy, jakich poeta użycza Niebu i Piekłu — wedle tego, czym myślał o szczęściu wybranych, mających prawo czytać tam z całym spokojem, czy o grozie, w jaką by mnie wtrąciła babka, gdyby, w swojej obojętności na tego rodzaju wzruszenia, kazała mi tam wejść.

Wrażenie samotności wzmoгло się we mnie jeszcze w chwilę później. Ponieważ znałem babkę, że się nie czuję dobrze i sądzę, iż będzie nam trzeba wracać do Paryża, bez protestu oznajmiła, że wychodzi po parę sprawunków, pożytecznych zarówno w razie powrotu, co w razie pozostania. (Dowiedziałem się potem, że wszystkie były dla mnie, gdyż Franciszka miała z sobą rzeczy, których bym mógł potrzebować). Czekając na babkę, poszedłem przejść się trochę po ulicach zapchanych tłumem, od którego było gorąco jak w mieszkaniu. Był jeszcze otwarty zakład fryzjerski oraz cukiernia, gdzie bywalcy jedli lody pod statua pana Duguay-Trouin. Statua ta sprawiła mi mniej więcej tyleż przyjemności, ile jej reprodukcja w jakiejś „ilustracji” może sprawić radości choremu przegłądającemu pisma w poczekalni chirurga. Dziwiłem się, że istnieją ludzie na tyle ode mnie różni, aby dyrektor mógł im poradzić tę przechadzkę po mieście jako rozrywkę, a także aby miejsce kaźni, jaką jest nowe mieszkanie, mogło się komuś wydawać „miejszem rozkoszy”, jak powiadał prospekt hotelu, który mógł przesadzać, ale który przecie zwracał się do całej klienteli, schlebiając jej gustom. Prawda, iż aby ściągnąć tę klientelę do Grand Hotelu w Balbec, powoływał się nie tylko na „znakomitą kuchnię” i na „feeryczny widok na ogrody kasyna”, ale także na „wyroki Jej Królewskiej Mości Mody, których nie można gwałcić bezkarnie, nie uchodząc za abderytę, na co żaden dobrze wychowany człowiek nie chciałby się narazić”.

Potrzeba ujrzenia babki rosła wraz z obawą, żem jej sprawił zawód. Musiała odczuwać smutek, widząc, iż skoro ja nie znoszę zmęczenia, w takim razie należy zwątpić o tym, aby jaka podróż wyszła mi kiedy na dobre. Zdecydowałem się wrócić i czekać na babkę; otworzył mi sam dyrektor, a nieznany mi jeszcze osobnik, którego zwano „lift” (a który, na owym najwyższym punkcie hotelu, gdzie znajdowały się latarka normandzkiego kościoła, siedział zainstalowany niby fotograf za swoim oszkleniem lub organista w swojej izdebce), jął zstępować ku mnie ze zwinnością oswojonej, przemyślnej i uwięzionej wieiórki. Następnie, ślizgając się ponownie wzdłuż filara, porwał mnie z sobą ku sklepieniu hotelowej nawy. Za każdym piętrem, po obu stronach służbowych schodów, rozwijały się wachlarze mrocznych korytarzy, przez które, niosąc pościel, przechodziła pokojowa.

⁵knickerbockery — bufiaste, półdługie spodnie z zapinanymi mankietami pod kolanem; element mody męskiej (jako część stroju sportowego a. podróznego) od poł. XIX w. [przypis edytorski]

Nakładałem na jej niezdecydowaną w mroku twarz maskę swoich najnamiętniejszych marzeń, ale w zwróconym ku mnie jej spojrzeniu czytałem wstręt do mojej nicości. Jednakże, aby rozprószyć w trakcie nieskończonej jazdy śmiertelny lęk, jakiegom doznawał, przebywając tak w milczeniu tajemnicę tego półmroku wyzutego z poezji, oświetlonego prostopadłym rzędem szyb, jakimi świecił na każdym piętrze jedyny waterklozet, odezwałem się do młodego organisty, twórcy mojej podróży i towarzysza mojej niewoli, który wciąż wyciągał rejestry i naciskał klawisze swego instrumentu. Przeprosiłem go, że zajmuję tyle miejsca, że mu sprawiam tyle kłopotu, i spytałem, czy go nie krępuję w wykonywaniu sztuki, wobec której — aby pochlebić wirtuozowi — objawiłem więcej niż ciekawość, wyznałem swój kult. Ale nie odpowiedział nic i nie dowiedziałem się, czy przyczyną tego było zdziwienie moimi słowami, pochłonięcie pracą, tyrania etykiety, tępy słuch, szacunek dla miejsca, obawa niebezpieczeństwa, gnuśność inteligencji lub zakaz dyrektora.

Nic może bardziej nie stwarza wrażenia rzeczywistości świata zewnętrznego niż zmiana stosunku do nas osoby nawet mało znaczącej, zanim ją poznaliśmy, a potem. Byłem ten sam, który wsiadł pod wieczór tego dnia w kolejkę do Balbec, nosiłem w sobie tę samą duszę. Ale w tej duszy, w strefie, gdzie o szóstej, wraz z niemożliwością wyobrażenia sobie dyrektora, hotelu, personelu, mieściło się mętne i trwożliwe oczekiwanie chwili przybycia, teraz znajdowały się brodawki wycięte z twarzy dyrektora-kosmopolity (w istocie naturalizowanego obywatela Monaco, mimo iż był — jak powiadał, lubując się w wyrażeniach, które mu się wydawały dystyngowane, bez poczucia, że są błędnie użyte — „prowidencji⁶ rumuńskiej”), jego gest kiedy dzwonił na „lifta”, sam „lift”, cały fryz marionetek, dobytých z owej puszkii Pandory, jaką był Grand Hotel, niezaprzeconych, niewzruszonych i — jak wszystko, co się zrealizowało — wyjąławiających.

Ale sama ta zmiana, w której nie brałem udziału, dowodziła mi choć, że zaszła jakaś rzecz — choćby najmniej interesująca — na zewnątrz mnie. Byłem niby podróżny, który, mając słońce przed sobą z początkiem drogi, stwierdza, iż upłynęło ileś tam godzin, gdy widzi je za sobą. Upadałem ze zmęczenia, miałem gorączkę; byłbym się chętnie położył, ale nie miałem potrzebnych rzeczy. Byłbym chciał bodaj wyciągnąć się chwilę na łóżku, ale na co, skoro nie mógłbym tam dać wypocząć owemu zespołowi wrażeń, który jest dla każdego z nas jego ciałem świadomym (jeżeli nie ciałem materialnym) i skoro nieznanne przedmioty otaczające owo ciało, zmuszając je, aby wciąż utrzymywało swoje percepcje na stopie czujnej ofensywy, utrwalałyby moje spojrzenia, słuch, wszystkie moje zmysły, skurczone w pozycji równie niewygodnej (nawet gdybym wyciągnął nogi) jak położenie kardynała La Balue w klatce, gdzie nie mógł ani stać, ani usiąść. To nasza uwaga wstawia przedmioty do naszego pokoju, a przyzwyczajenie usuwa je stamtąd i robi nam miejsce. Tego miejsca nie było dla mnie w moim pokoju w Balbec (*moim* jedynie z nazwy); pełen był rzeczy, które mnie nie znały, które odwzajemniały mi nieufne spojrzenia i nie licząc się w najbliższej mierze z moim istnieniem, świadczyły, że zakłócam ich codzienny obyczaj. W domu słyszałem zegar tylko przez kilka sekund w tygodniu, tylko wtedy, kiedy się budził z głębokiego zamyślenia; tutaj zegar, nie przerywając sobie ani na chwilę, mówił w nieznanym języku rzeczy najwyraźniej dla mnie niepocholebne, skoro wielkie fioletowe portiery słuchały go, nie odpowiadając, ale w postawie osób, które wzruszają ramionami, aby okazać, iż widok kogoś obcego je drażni. Portiery te dawały wysokiemu pokojowi niemal historyczny charakter, który mógłby go uczynić odpowiednim dla zamordowania księcia de Guise, a później dla wizyty turystów z ramienia agencji Cooka, ale zgoła nie dla mego snu. Dręczyła mnie obecność oszklonych szafek biegnących wzdłuż ścian; zwłaszcza wielkie tremo, które stanęło w poprzek pokoju: czułem, że przed jego odejściem nie zdołam odzyskać swobody. Podnosiłem co chwila oczy — troszczące się w moim paryskim pokoju o jego sprzęty równie mało co o własne źrenice, ile że sprzęty te były już tylko przynależnością moich organów, projekcją mnie samego — na wyniosły sufit tej położonej na szczycie hotelu gloriетки, którą babka wybrała dla mnie. W strefie bardziej wewnętrznej niż ta, w której widzimy i słyszymy, w owej strefie, gdzie odróżniamy gatunki zapachów, prawie wewnątrz mojego ja, zapach „bagna” zapuszczał w ostatnie moje szanse swoją ofensywę, której nie bez wysiłku przeciwstawiałem daremny i nieustanny

⁶prowidencja — opatrność; w tym kontekście chodzi o *proweniencje*: pochodzenie. [przypis edytorski]

odpór zaniepokojonego sapania. Nie mając już świata, pokoju, ciała, które by nie były zagrożone przez otaczających mnie wrogów, przenikniony do kości gorączką, byłem sam, miałem ochotę umrzeć. W tej chwili weszła babka i wybuchowi mojego zdławionego serca otwarły się natychmiast nieskończone przestrzenie.

Miała perkalowy szlafrok, który kładła w domu za każdym razem, kiedy ktoś z nas był chory (bo się w nim czuła wygodniej — powiadała, przypisując zawsze wszystkiemu, co robiła, egoistyczne pobudki) i który, kiedy nas pielęgnowała, kiedy czuwała nad nami, był dla niej fartuchem służącej i dozorczyńni, strojem siostry zakonnej. Ale gdy starania tych osób, ich dobroć, ich zasługa i nasza wdzięczność powiększają jeszcze wrażenie, że jesteśmy dla nich kimś obcym, że jesteśmy samotni, zmuszeni zachować dla siebie brzemień własnych myśli, własnej żądzy życia, przeciwnie, kiedy byłem z babką, wiedziałem, że choćbym miał w duszy największe zmartwienie, zawsze ono utuli się w jeszcze większym współczuciu; że wszystko, co jest moje, moje zgrzyoty, moja wola, spotka się u niej z pragnieniem zachowania i pomnożenia mego własnego życia o wiele silniejszym, niż było u mnie; i myśli moje wnikały w nią, nie ulegając skrzywieniu, bo przechodziły z mojej duszy w jej duszę, nie zmieniając środowiska, osoby. I — jak ktoś, kto chce zawiązać krawat przed lustrem, nie rozumiejąc, iż koniec, który widzi, nie znajduje się w stosunku do niego z tej strony, w którą kieruje rękę, lub jak pies, który ściga po ziemi tańczący cień owada — tak ja, oszukany pozorem ciała, jak zazwyczaj dzieje się z nami na tym świecie, gdzie nie poznajemy bezpośrednio dusz, rzuciłem się w ramiona babki i przytknąłem usta do jej twarzy, jakbym w ten sposób docierał do tego olbrzymiego serca, otwierającego się dla mnie. Kiedy miałem tak usta przyklepione do jej twarzy, czoła, czerpałem z nich coś tak dobroczynnego, odżywczego, że zachowywałem nieruchomość, powagę, spokojną łapczywość ssącego dziecka.

Patrzałem następnie nieznużenie na jej dużą twarz, wyciętą niby piękna chmura jarząca i spokojna, poza którą czuło się promieniującą tkliwość. I wszystko, co czerpało choćby w najśłabszej mierze coś z niej, wszystko, o czym można by powiedzieć, że jeszcze należy do niej, stawało się natychmiast tak uduchowione, uświęcone, że gładziłem dłońmi jej piękne, ledwie siwiejące włosy z taką czcią, z taką ostrożnością i słodyczą, co gdybym pieścił na nich jej dobroć. Znajdowała tyle radości we wszelkim trudzie, który mnie go oszczędzał, czuła coś tak rozkosznego w momencie bezruchu i odpoczynku moich zmęczonych członków, iż kiedy, spostrzegłszy, że ona chce mi pomóc położyć się i rozzuć, sprzeciwiłem się gestem i zacząłem się rozbierać sam, zatrzymała błagalnym spojrzeniem moje ręce, dotykające pierwszych guzików marynarki i bucików.

— Och, proszę cię — rzekła. — To taka radość dla twojej babci. A zwłaszcza nie zapomnij zapukać w ścianę, gdybyś potrzebował czego w nocy; moje łóżko przylega do twojego, przepierzenie jest bardzo cienkie. Za chwilę, kiedy się położysz, zapukaj na próbę, dla sprawdzenia, czy się dobrze rozumiemy.

I w istocie tego wieczora zapukałem trzy razy. W tydzień później, będąc niezdrów, powtarzałem to przez kilka dni co rano, bo babka chciała mi podać wcześniej mleko. Wówczas, kiedy mi się zdawało, że nie śpi — aby nie czekała i aby mogła zaraz potem zasnąć na nowo — ryzykowałem trzy lekkie pukania, nieśmiałe, słabe, a przecież wyraźne; o ile bowiem lękałem się przerwać jej sen, w razie gdybym się omylił i gdyby spała jeszcze, nie byłbym także chciał, aby, nie usłyszawszy od razu, czatowała na znak, którego nie śmiałybym ponowić. I ledwie zapukałem swoje trzy razy, zaraz odpowiadały mi trzy pukania, o innym akcencie, pełne spokojnej powagi, dwukrotnie powtórzone dla pewności i jakby mówiące: „Nie bój się, słyszałam, za chwilę będę przy tobie”; i wkrótce potem babka zjawiała się. Opowiadałem jej, jak się bałem, że mnie nie usłyszysz lub pomyśli, że to jaki sąsiad pukał; śmiała się:

— Pomylić pukanie mojego kotusia z jakimś innym, ależ pomiędzy tysiącem babcia by je poznała. Czy myślisz, że są na świecie inni, którzy by byli takie głupiątko, takie nerwusy, dręczący się obawą obudzenia mnie lub tym, że ich mogą nie zrozumieć! Ale gdyby nawet mała myszka poprzestała na skrobnięciu, zaraz by się ją poznało, zwłaszcza gdy jest taka jedyna i taka biedna jak moja. Słyszałam ją już od paru chwil, jak się waha, jak się kręci po łóżku, jak próbuje wszystkich sposobów.

Babka rozsuwała zasłony; na skrzydle hotelu słońce już się rozsiało na dachu, niby pobijacz, wcześniej zaczynający pracę i spełniający ją w milczeniu, aby nie budzić miasta,

które śpi jeszcze i którego bezwład tym bardziej uwydatnia jego czynność. Mówiła mi, która godzina, jaka pogoda i że nie warto się zrywać, że jest na morzu mgła i czy piekarnię już otwarto, i co to za powóz słychać; całe to nieznaczące uchylenie firanki, to błahe *introit* dnia pozbawione świadków, kawałeczek życia tylko między nami dwojgiem, życia, które wywołałbym chętnie w ciągu dnia wobec Franciszki lub wobec obcych, mówiąc o mgle dającej się krajać jak ser, jaka była o szóstej rano, z ostentacją nie nabytej wiedzy, ale dowodu czułości otrzymanego przeze mnie samego; słodka poranna chwila, rozpoczynająca się niby symfonia rytmicznym dialogiem moich trzech pukań, na które przesiąknięta czułością i weselem ścianka, nagle harmonijna, niematerialna, śpiewająca jak aniołowie, odpowiadała trzema innymi pukaniem, żarliwie oczekiwanymi, powtórzonymi dwukrotnie, przynosząc mi całkowitą duszę babki i obietnicę jej przyjścia, z radością zwiastowania i z wiernością muzyczną.

Ale owej pierwszej nocy po przybyciu, kiedy babka mnie opuściła, zacząłem cierpieć tak, jak już cierpiałem w Paryżu w chwili wyjazdu. Może to przerażenie — znane tyłu innym — jakim przejmował mnie fakt, że mam spać w nieznanym pokoju, może to przerażenie jest tylko najbardziej pokorną, tajemną, organiczną, prawie nieświadomą formą owego wielkiego, rozpaczliwego protestu, jaki przeciwstawiają rzeczy stanowiące najlepszą cząstkę naszego obecnego życia temu, abyśmy się godzili w myśli na formułę przyszłości, w której ich nie ma. Protest ten był w gruncie grozą, jaką we mnie tak często budziła myśl, że rodzice umrą kiedyś, że los mógłby mi kazać żyć z dala od Gilberty lub po prostu osiąść na stałe w jakimś kraju, gdzie nie ujrzałbym już nigdy swoich przyjaciół; protest stanowiący również istotę ciężkości, z jaką przychodziło mi myśleć o własnej śmierci lub o drugim życiu podobnym temu, jakie Bergotte obiecywał w swoich książkach: istnieniu, w które nie mógłbym zabrać swoich wspomnień, swoich wad, swojego charakteru, niegodzących się z myślą, że mogłyby już nie być, i niechcących dla mnie ani nicości, ani wieczności, w której by ich już nie było.

Kiedy Swann powiedział mi raz w Paryżu, w dniu, gdym był szczególnie cierpiący: „Powinien by pan jechać na rozkoszne wyspy Oceanii: zobaczy pan, że pan już stamtąd nie wróci”, byłbym chciał odpowiedzieć mu: „Ależ wówczas nie zobaczyłbym już pańskiej córki, żyłbym pośród rzeczy i ludzi, których ona nigdy nie widziała”. A przecie rozum powiadał mi: „Co ci to szkodzi, skorobys się tym nie zmartwił? Kiedy pan Swann powiada ci, że nie wrócisz, rozumie przez to, że nie chciałbyś wrócić; a skoro byś nie chciał, to znaczy, że tam będziesz szczęśliwy”. Bo rozum mój wiedział, że przyzwyczajenie — przyzwyczajenie, które miało obecnie kazać mi pokochać to nieznanne mieszkanie, zmienić miejsce lustra, odcień firanek, zatrzymać zegar — podejmuje się równie dobrze kazać nam pokochać towarzyszy nieprzyjemnych zrazu, dać inny kształt twarzom, usympatycznić dźwięk głosu, zmienić skłonności naszych serc. Z pewnością, te nowe przyjaźnie do miejsc i osób czerpią watek w zapomnieniu dawnych; ale właśnie mój rozsądek myślał, że mogę oglądać bez lęku perspektywę życia dzielącego mnie na zawsze od istot, których straciłbym pamięć, i jako pociechę ofiarowywał memu sercu nadzieję zapomnienia, wzmagającą, przeciwnie, jego rozpacz. To nie znaczy, aby nasze serce nie miało również doznać, skoro rozłąka się ziści, znieczulających skutków przyzwyczajenia; ale do tej pory będzie cierpiało. I obawa przyszłości, pozbawiającej nas widoku i rozmowy tych, których kochamy i z których czerpiemy dziś swą najdroższą radość, ta obawa, daleka od rozprószenia się, rośnie, jeżeli myślimy, że do bólu takich wyrzeczeń przybędzie coś, co się nam obecnie wydaje jeszcze okrutniejsze: nie czuć bólu tej straty, być na nią obojętnym. Bo wówczas nasze *ja* odmieniłoby się; już nie tylko urok rodziców, kochanki, przyjaciół, przestałby istnieć dokoła nas, ale nasze przywiązanie do nich; byłoby tak dokładnie wyrwane z naszego serca, którego stanowi obecnie znaczną część, że moglibyśmy sobie podobać w owym życiu oderwanym od nich, o którym myśl przejmuje nas dziś grozą; byłaby to więc prawdziwa śmierć nas samych, śmierć z następowym co prawda zmartwychwstaniem, ale w odmiennym *ja*, do którego miłości nie mogą się wznieść cząstki dawnego *ja*, skazanego na zamarcie. To one — nawet owe najwęższe, najciemniejsze przywiązania do wymiarów i do atmosfery pokoju — płoszą się i wzdrażliwiają, w buntach, w których trzeba widzieć tajemną, cząstkową, dotykálną i prawdziwą formę oporu wobec śmierci, długiego, rozpaczliwego i codziennego oporu wobec cząstkowej i kolejnej śmierci, takiej, jaka się wciska w całe trwanie naszego życia, odrywając

co chwila strzępy nas samych, na których zniweczeniu rozmnożą się nowe komórki. I dla natury nerwowej jak moja, to znaczy takiej, w której elementy przewodzące, nerwy, źle spełniają swoje funkcje — nie zatrzymując w drodze ku świadomości skargi najniższych składników mego *ja*, które mają zniknąć, lecz pozwalając, przeciwnie, dotrzeć tam owej skardze, wyraźnej, wyczerpującej, nieprzeliczonej i bolesnej — dla natury nerwowej jak moja, trwożliwy niepokój, jaki czułem pod tym nieznanym i za wysokim sufitem, był jedynie protestem żyjącej we mnie przyjaźni dla sufitu znajomego i niskiego. Bez wątplenia, przyjaźń ta miała zniknąć, skoro inna zajmie jej miejsce (wówczas śmierć, potem nowe życie, spełnią, pod mianem Przyzwyczajenia, swe podwójne dzieło); ale aż do swego unicestwienia, co wieczora miała cierpieć. I zwłaszcza pierwszego wieczora, znalazłszy się w obliczu przyszłości już ziszczonej, gdzie nie było dla niej miejsca, buntowała się, dręczyła mnie krzykiem swoich lamentów za każdym razem, kiedy moje spojrzenia, nie mogąc się odwrócić od tego, co je raniło, próbowały spocząć na niedostępnym suficie.

Ale nazajutrz rano! — skoro służący przyszedł mnie zbudzić i przynieść mi ciepłą wodę, podczas gdy się ubierałem i gdy daremnie próbowałem znaleźć potrzebne rzeczy w kufirze, skąd wydobywałem bezładnie inne, niemogące mi się zdać na nic, co za radość, myśląc już o przyjemności śniadania i spaceru, widzieć w oknie i we wszystkich szybach szafek na książki, niby w okienku kabiny okrętowej, morze nagie, bez chmur, a przecie tonące w cieniu połową swojej przestrzeni, którą wyznaczała cienka i ruchoma linia; bieć okiem za falami, rzucającymi się jedna za drugą niby skoczki z trampoliny! Co chwila, trzymając w ręku sztywny i nakrochmalony ręcznik z hotelową firmą, którym daremnie siliłem się osuszyć, wracałem do okna, aby rzucić jeszcze jedno spojrzenie na ten rozległy, olśniewający i górzysty krąg i na śnieżne szczyty jego fal. Wycięte ze szlifowanego miejscami i przejrzystego szmaragdu, ze spokojną gwałtownością i lwim zmarszczeniem dawały się przewalać wielkim płaszczynom, na których słońce kładło swój uśmiech bez twarzy. Okno, w którym miałem potem stawać co rano niby w szybie dylizansu po przespanej w nim nocy, aby sprawdzić, czy przez noc zbliżył się czy oddalił upragniony łańcuch — pagórki morza, które, nim wrócą do nas tańcząc, mogą cofnąć się tak daleko, że często dopiero poza długą piaszczystą równiną widziałem bardzo odległe ich pierwsze undulacje, w przezroczystej dali, mglistej i sianej jak owe lodowce, widniejące w głębi obrazu u toskańskich prymitywów. Innym razem słońce śmiało się tuż koło mnie na owych falach o zieleni tak delikatnej jak ta, którą zapewnia alpejskim łąkom (w górach, gdzie słońce kładzie się tu i ówdzie niby olbrzym schodzący wesoło, nierównymi skokami po zboczach) nie tyle wilgotny grunt, ile ruchliwa płynność światła. Zresztą, w szczybie jaką plaża i fale czynią w reszcie świata po to, aby tamtędy wpuścić i nagromadzić tam światło, to ono, światło — zależnie od kierunku, z którego pada i w którym biegnie nasze oko — przemieszcza i określa pagórkowatość morza. Rozmaitość oświetleń zmienia topografię danego miejsca, wznosi przed nami nowe cele, budząc w nas chęć ich osiągnięcia, nie gorzej, niż by to zrobił długi i istotnie przebyty szlak podróży. Kiedy rano słońce wychodziło zza hotelu, odsłaniając przede mną piaski oświetlone aż do pierwszych przypór morza, miałem wrażenie, że mi ukazuje inny stok i zachęca mnie, abym dalej, krętą drogą jego promieni, ciągnął nieruchomą i pełną wrażeń podróż przez najpiękniejsze miejsca kapryśnego krajobrazu godzin. I od tego pierwszego ranka słońce uśmiechniętym palcem wskazywało mi w oddali owe błękitne wierzchołki morza, niemające nazwy na żadnej mapie, aż, oszołomione swoją tryumfalną przechadzką po grzmiącej i chaotycznej powierzchni ich grzebieni i przepaści, schroniło się przed wiatrem w moim pokoju, barłóżąc się na nieposłanym łóżku, rozrzucając swoje bogactwa na mokrej umywalni, na otwartej walizce, gdzie, przez samą swoją świetność i przez swój niewczesny zbytek zwiększało jeszcze wrażenie nieładu. Niestety, w godzinę później, w wielkiej sali jadalnej — gdyśmy jedli śniadanie i kiedy ze skózanego bukłaka cytryny rozlewaliśmy parę złotych kropeł na dwie sole, które niebawem zostawiły na talerzach pióropusze swoich ości fryzowanych jak pióra i dźwięcznych jak cytra — babka martwiła się, że nie możemy czuć ożywczego tchu morza z powodu przezroczywej, lecz zamkniętej szyby, która na kształt witryny oddzielała nas od plaży, pozwalając nam ją oglądać w całej szerokości, przy czym niebo wnikało w tę witrynę tak całkowicie, iż lazur jego robił wrażenie, że jest kolorem szyb, a białe chmurki skazą na szkle.

Wmawiając w siebie że „siedzę na molo” lub w głębi „buduaru”, o którym mówi Baudelaire, pytałem sam siebie, czy jego „słońce prażące promieniami morze” — bardzo w tym odmienne od wieczornego blasku, skromnego i powierzchownego niby drżąca i złocista smuga — nie jest właśnie słońcem, które w tej chwili paliło morze na kształt topazu, burzyło je, czyniło je białym i mlecznym niby piwo, pieniącym się jak mleko, podczas gdy chwilami wałęsały się wielkie błękitne cienie, jak gdyby jakiś Bóg przemieszczał je dla zabawy, migając na niebie zwierciadłem.

Na nieszczęście, ta jadalnia w Balbec nie tylko swoim wyglądem różniła się od „sali” w Combray, wychodzącej na domy naprzeciwko. Była naga, wypełniona słońcem zielonym jak woda w pływalni, od której o kilka metrów przypyływ morza i jasny dzień wznosiły, niby przed niebieskim grodem, niezniszczalny i ruchomy szaniec ze szmaragdu i złota. W Combray, ponieważ nas wszyscy znali, nie troszczyłem się o nikogo. W kąpielisku zna się tylko najbliższych sąsiadów. Nie byłem jeszcze dość dorosły, a zostałem zbyt wrażliwy, aby się wyrzec chęci podobania się ludziom i zdobywania ich. Nie miałem owej szlachetniejszej obojętności, jaką zachowałby człowiek światowy wobec osób śniadających we wspólnej sali lub wobec młodych ludzi i panien spacerujących po promenadzie. Co do mnie, na ich widok cierpiałem, że nie będę mógł z nimi robić wycieczek; ale cierpiałbym jeszcze bardziej, gdyby babka, gardząca formami i troszcząca się tylko o moje zdrowie, zwróciła się do nich z upokarzającą dla mnie prośbą, aby mnie dopuścili do swoich spacerów.

Czy to gdy wracali do jakiejś nieznannej willi, czy kiedy szli z raketami na plac tenisowy lub dosiadali koni, których kopyta deptały mi serce, patrzałem na nich z namiętą ciekawością, w owym oślepiającym świetle plaży, gdzie proporcje socjalne tak się zmieniają. Śledziłem wszystkie ich ruchy poprzez przejrzystość wielkiej oszklonej ościeży, która przepuszczała tyle światła. Ale zatrzymywała wiatr; i to była wada, zdaniem mojej babki, która, nie znosząc myśli, iż mógłbym stracić godzinę powietrza, otwarła ukradkiem okno, zdmuchując za jednym zamachem karty restauracyjne, gazety, woalki i czapeczki osób jedzących właśnie śniadanie; przy czym ona sama, orzeźwiona niebiańskim tchem, pozostawała spokojna i uśmiechnięta jak święta Blandyna, pośród złorzeczeń, które, zwiększając we mnie wrażenie samotności i smutku, jednoczyły przeciw nam wzgardliwych, szczochnych i wściekłych turystów.

Zaludnienie tego rodzaju luksusowych hoteli bywa zazwyczaj banalnie bogate i kosmopolityczne; w Balbec mieszkańcy Grand Hotelu — co im dawało charakter bardziej regionalny — składali się po części z wybitnych osobistości departamentów tej części Francji; pierwszy prezydent sądu z Caen, dziekan palestry z Cherbourg, wzięty rejent z Le Mans, którzy w porze wakacji, wyruszając z punktów, gdzie przez cały rok byli rozsypani jak tyralierzy lub piaski w warcabach, skupiali się w tym hotelu. Zajmowali zawsze te same pokoje i, wraz z żonami mającymi pretensje do arystokracji, tworzyli grupę, do której przyłączyli się wielki adwokat i wielki lekarz paryski. Ci w dniu wyjazdu mówili do tamtych:

— A, prawda, państwo nie jedziecie tym samym pociągiem, szczęśliwi jesteście, będziecie w domu na śniadanie.

— Jak to, szczęśliwi! Pan mieszka w stolicy, w Paryżu, w wielkim mieście, gdy ja pleśnieję w prowincjonalnej dziurze o stu tysiącach mieszkańców! Prawda, że przy ostatnim spisie ludności było sto dwa tysiące, ale co to jest przy was, którzy liczycie dwa i pół miliona i którzy odnajdziecie asfalt i cały blask paryskiego świata.

Mówili to z chłopskim charczeniem litery „r”, bez goryczy, bo to byli luminarze swoich prowincji, którzy mogliby jak inni osiąść w Paryżu — niejedną raz ofiarowywano pierwszemu prezydentowi z Caen fotel w trybunale kasacyjnym — ale woleli zostać na miejscu przez miłość swojego miasta, przez skromność albo przez pychę, albo dlatego, że byli reakcyjniści i dla stosunków z okolicznym ziemiaństwem. Wielu z nich zresztą nie zaraz wracało do swojej powiatowej stolicy.

Bo zatoka Balbec była małym, osobnym światem pośród wielkiego, koszykiem pór roku, gdzie znajdowały się ułożone w krąg rozmaite dni i kolejne miesiące. Nie tylko w dniu, kiedy było widać Rivebelle, co było znakiem burzy, widziało się tam słońce na domach, gdy w Balbec było czarno; ale także kiedy w Balbec nastąpiła zima, miało się

pewność znalezienia na owym drugim brzegu dwóch lub trzech dodatkowych miesięcy ciepła. Toteż ci z mieszkańców Grand Hotelu, których wakacje zaczynały się późno lub trwały długo, kazali z nadejściem mgły i deszczów, za zbliżeniem jesieni, ładować swoje walizy na łódź i jechali odnaleźć lato w Rivebelle lub Costedor. Ta grupka gości Balbec patrzyła nieufnym wzrokiem na każdego przybysza; udając, że się nim nie interesują, wszyscy zasięgali o nim informacji u swojego przyjaciela, starszego kelnera. Bo ten Aimé wracał tam co roku na sezon i zatrzymywał im stałe stoliki; a ich panie małżonki, wiedząc, że żona Aimégo spodziewa się potomka, pracowały po obiedzie nad wyprawką, mierząc równocześnie przez lornetkę babkę i mnie, bo jedliśmy jajka na twardo z sałatą, co uchodziło za gminne i nie było przyjęte w wielkim świecie Alençon. Zachowywali pogardliwą ironię wobec pewnego Francuza, którego nazywano „Najjaśniejszym” i który w istocie sam się ogłosił królem wysepki na Oceanii, zaludnionej przez garstkę dzikich. Mieszkał w hotelu z ładną kochanką, przed którą, kiedy szła się kąpać, urwisy krzychały: „Niech żyje królowa!”, ponieważ rozrzuciła między nich drobną monetę. Pan prezydent i pan dziekan nie chcieli nawet okazać, że ją dostrzegają, kiedy zaś ktoś z ich przyjaciół patrzył na „królową”, uważali za właściwe ostrzec go, że to jest prosta midinetka.

— Ależ zaręczano mi, że oni w Ostendzie używali kabiny królewskiej.

— Oczywiście! Można mieć tę kabinę za dwadzieścia franków. Może ją pan wynająć, jeśli to panu robi przyjemność. I wiem pozytywnie, że prosił o audiencję u króla, który mu dał do zrozumienia, że nie życzy sobie znajomości z monarchą z operetki.

— Doprawdy! To ciekawe! W istocie, bywają ludzie!...

I z pewnością wszystko to była prawda, ale było w tym zarazem przykre poczucie, że dla tłumu oni są tylko pocziwymi mieszczuchami, nieznanymi tego króla i tej królowej, rozrzucających srebrniki. I dlatego rejent, prezydent, dziekan, spotykając tych, których nazywali „pajacami”, odczuwali taką niechęć i objawiali głośnie oburzenie. Świadom był tego zgorzienia ich przyjaciel, *maitre d'hotel*, który, zmuszony uśmiechać się mile do tych „panujących”, bardziej hojnych niż autentycznych, przyjmując ich zamówienie, mrugał znacząco w stronę starych klientów.

Może coś z tej samej irytacji, że przez nieświadomość tłum uważa ich za mniej eleganckich i że nie mogą wytłumaczyć, iż są, przeciwnie, „elegantsi”, wchodziło w wykrzyknik: „Ładny ananas!”, jakim filary Balbec określały młodego fircyka, gruźliczego i marnotrawnego syna wielkiego przemysłowca. Ten, co dzień w innej kurteczce, ze storczykiem w butonierce, pił szampana przy śniadaniu i szedł blady, niewzruszony, z obojętnym uśmiechem, rzucać w kasynie na stół bakaratowy ogromne sumy, „nie mając z czego przegrywać” — powiadał dobrze poinformowanym tonem rejent do prezydenta, którego żona „wiedziała z dobrego źródła”, że ów młody człowiek „*fin de siècle*” przyprawia o czarną zgryzotę rodziców.

Z drugiej strony dziekan i jego przyjaciele nie szczędzili sarkazmów pewnej starej damie, bogatej i utytułowanej, ponieważ nie ruszała się inaczej niż z całym dworem. Za każdym razem, kiedy pani rejentowa i pani prezydentowa widziały ją w jadalni w porze obiadu, lustrowały ją impertynencko lornetkami z tą bacznością i nieufną miną, co gdyby była jakimś daniem o pompatycznej nazwie, ale podejrzanym wyglądem, potrawą, którą po ujemnym wyniku metodycznej obserwacji odsuwa się niechętnie z grymasem niesmaku.

Bez wątplenia panie te chciały jedynie okazać, że jeżeli są pewne rzeczy, których im zbywa — w danym wypadku zbywało im pewnych prerogatyw starej damy i bliższych z nią stosunków — to nie dlatego, aby nie mogły, ale że nie chciały ich posiadać. Ale w końcu przekonały o tym same siebie; i to wyrzeczenie się wszelkich pragnień, ciekawości nieznanymi form życia, nadziei spodobania się nowym istotom, zastąpionych u tych kobiet udaną wzgardą, sztuczną swobodą, miało tę wadę, że kryło kwas pod etykietką zadowolenia i kazało im ustawicznie kłamać samym sobie — dwa powody, aby się czuć źle. Ale właściwie wszyscy w tym hotelu postępowali w ten sposób, mimo że pod różnymi formami, i poświęcali — jeżeli nie miłości własnej, to przynajmniej pewnym zasadom wychowania lub nawykom intelektualnym — rozkoszne emocje wmieszania się w nieznaną życie. Bez wątplenia, mikrokosmos, w którym izolowała się stara dama, nie był zatruty jadowitymi kwasami, jak grupa, gdzie podśmiechiwały się z wściekłości rejencina lub prezydentowa. Przeciwnie, woniał on delikatnym i staroświeckim zapachem, który

był nie mniej sztuczny. Bo w gruncie stara dama byłaby prawdopodobnie znalazła urok w tym, aby czarować, aby — odmieniając w tym celu samą siebie — zdobywać tajemniczą sympatię nowych istot; urok, z którego wyzuta jest przyjemność obcowania jedynie z osobami ze swego świata i pamiętania iż, wobec tego, że ów świat jest najlepszym z istniejących, prostacka wzgarda drugich jest bez znaczenia. Może stara dama czuła, że gdyby przybyła nieznaną do Grand Hotelu w Balbec, swoją czarną wełnianą suknią i niemodnym czepeczkiem ściągnęłaby uśmiech jakiegoś hulaki, który by ze swego „*rocking*” mruknął: „cóż za bieda z nędzą!”, lub zwłaszcza jakiegoś godnego człowieka, który, jak prezydent z Caen, zachował przy szpakowatych faworytach świeżą cerę i żywe oczy, takie jak ona lubiła, i który byłby natychmiast sygnalizował zbliżającej się soczewce małżeńskiej lornetki obecność tego niezwykłego zjawiska. I może przez nieświadomą obawę owej pierwszej minuty, o której wiemy, że jest krótka, ale która jest mimo to groźna — jak pierwsze zanurzenie się w wodzie — stara dama posyłała zawczasu lokaja, aby wtajemniczył hotel w jej personalia i jej obyczaje? I ignorując pokłony dyrektora, udawała się z pośpiechem, kryjącym więcej nieśmiałości niż dumy, do swego pokoju, gdzie jej prywatne firanki (w miejsce hotelowych), jej parawany, fotografie, wstawiały między nią a zewnętrzny świat, do którego trzeba by się dostosować, ściankę jej przyzwyczajzeń, tak że to raczej jej światek, w którego łonie pozostała, podróżował, niż ona sama...

Odtąd, pomieściwszy między sobą a personelem hotelowym i magazynami swoją służbę, która zamiast niej wchodziła w styczność z tą nową ludzkością i utrzymywała dokoła swej pani zwyczajną jej atmosferę; wstawiwszy między siebie a letników swoje przesady, nie troszcząc się o niechęć ludzi, których jej przyjaciółki nie wpuściłyby do domów, stara dama żyła dalej w swoim świecie przez korespondencję, przez wspomnienia, przez sekretną świadomość swojej sytuacji, swoich manier, swojej towarzyskiej kompetencji. I codziennie, kiedy schodziła, aby odbyć przejażdżkę własnym powozem, pokojówka niosąca za panią jej rzeczy, lokaj kroczący przed nią, wyglądali jak owe szyldwachy, które u bram ambasady strojnej flagami własnego kraju gwarantują jej na cudzoziemskim terenie przywilej eksterytorialności. W dniu naszego przybycia dama nie wyszła z pokoju aż dobrze popołudniu; toteż nie ujrzeliśmy jej w jadalni, dokąd dyrektor towarzyszył nam opiekuńczo jako nowo przybyłym w porze śniadania, niby „szarża” prowadząca rekrutów do wojskowego krawca. W zamian za to, ujrzeliśmy tam po chwili jakiegoś obywatela z córką, z mało znanej, lecz bardzo starej rodziny bretońskiej, pana i pannę de Stermaria, których stół nam oddano, myśląc, że wrócą aż wieczór. Przybywszy do Balbec jedynie po to, aby odwiedzać swoich znajomych właścicieli ziemskich w okolicy, państwo de Stermaria spędzali w jadalni jedynie czas ściśle konieczny, między wizytami w sąsiedztwie. Pycha chroniła ich od wszelkiej ludzkiej sympatii, od wszelkiego zainteresowania się osobami siedzącymi dokoła, wśród których pan de Stermaria zachowywał minę lodowatą, spieszącą się, odległą, szorstką, drażliwą i wrogą, jaką się ma w bufecie kolejowym wśród podróżnych, których się nigdy nie widziało i nigdy nie zobaczy, nie pojmując innych z nimi stosunków prócz tego, aby bronić swego zimnego kurczaka i kąta w wagonie.

Ledwie zaczęliśmy śniadanie, kazano nam wstać na żądanie pana de Stermaria, który właśnie przybył i który, bez najmniejszych ceremonii, bez uprzejmego gestu pod naszym adresem, poprosił głośno starszego kelnera, aby się podobna omyłka nie powtórzyła; jest mu bardzo nieprzyjemnie, aby „ludzie, których nie zna” zajmowali jego stół.

I z pewnością także nie żadna niechęć wchodziła w uczucie popychające pewną aktorkę (bardziej znaną zresztą ze swojej elegancji, dowcipu, pięknej kolekcji niemieckiej porcelany niż z paru ról w „Odeonie”), jej kochanka, bardzo bogatego człowieka, dla którego ona się ucywilizowała, oraz dwóch głośnych arystokratów, aby żyć swoim dworem, podróżować tylko z sobą, śniadać w Balbec bardzo późno, kiedy już wszyscy skończyli, i pędzić dni w swoim salonie przy karcianym stoliku. Pobudką tego był jedynie nawyk żartobliwej rozmowy, wyrafinowań kulinarnych, każący im znajdować przyjemność w tym, aby żyć i jadać tylko z sobą, i czyniący im czymś nieznośnym wspólne życie z „niewtajemniczonymi”. Nawet w obliczu nakrytego stołu lub przy stoliku karcianym, potrzebowali czuć, że w sąsiedzie lub partnerze spoczywa pewna choćby niezatrudniona w danej chwili wiedza, pozwalająca rozpoznać tandetę, którą tyle mieszkań paryskich stroi się jako „autentycznym średniowieczem” lub „renesanssem”; że mają w każdej rzeczy wspólne kryteria dobrego i złego. Bez wątpienia, odrębna egzystencja, w jakiej grupa ta

wszędzie chciała pozostać zanurzona, objawiała się w owych momentach już tylko jakimś rzadkim dowcipem rzuconym przy stole czy przy kartach lub uroczą i nową suknią, jaką młoda aktorka włożyła do śniadania lub do partyjki pokera. Ale, spowijając ich tak w przyzwyczajenia znane im do gruntu, egzystencja ta wystarczała, aby ich chronić przed tajemnicą otaczającego życia. Przez długie popołudnia morze wisiało na wprost nich jedynie jako miłe w kolorze płótno, przybite do ściany w zamożnej garsonierze; co najwyżej w przerwach między rozdaniem kart któryś z graczy, nie mając nic lepszego do roboty, zwracał ku niemu oczy, aby sprawdzić pogodę lub godzinę i przypomnieć innym, że podwieczorek czeka. A wieczorem nie jedli obiadu w hotelu, gdzie elektryczne źródła łały strumienie światła w wielką jadalnię, zmienioną w ogromne i cudowne akwarium, przed którego szklaną ścianą robotnicza ludność Balbec, rybacy, a także rodziny drobnych mieszczan, cisnęli się za szybą, niewidzialni w cieniu, aby oglądać, wolno kołysane w złotych wirach, zbytkowne życie bogaczy, równie nadzwyczajne dla tej biedoty, co życie osobliwych ryb i mięczaków. (Wielka kwestia socjalna, to pytanie, czy szklana ściana zawsze będzie chroniła ucztę cudownych zwierząt i czy szarzy ludzie, patrzący chciwie z ciemności, nie przyjdą ich wyłowić w tym akwarium i zjeść). Na razie wśród ciżby stojącej i zgubionej w mroku, był może jaki literat, jaki miłośnik ludzkiej ichtiologii, który, patrząc na szczęki starych żeńskich potworów zamykające się na kawale pochłoniętej strawy, bawił się klasyfikowaniem ich wedle rasy, wedle cech wrodzonych, a także owych cech nabytych, które sprawiają, iż stara dama serbska, o typowej paszczy wielkiej ryby morskiej, je sałatę — ile że od dzieciństwa żyła w słodkich wodach Faubourg Saint-Germain — jak urodzona La Rochefoucauld.

O tej porze widywało się trzech mężczyzn w smokingach czekających na zapóźnioną towarzyszkę, która niebawem, w sukni prawie za każdym razem nowej i w szarfach dobranych wedle specjalnych gustów jej kochanka, zadzwoniwszy ze swego piętra na „lifta”, wychodziła z windy niby z pudełka z zabawkami. I wszyscy czworo, uważając, że międzynarodowy styl „Palace”, zaszczipiony w Balbec, raczej rozwinął tam zbytek niż dobrą kuchnię, pakowali się do powozu i jechali na obiad o pół mili stąd do renomowanej jadłodajni, gdzie odbywali z kucharzem nieskończone narady co do porządku menu i doboru dań. W czasie tej przeprawy, obsadzona jabłonią droga z Balbec mała się dla nich różniła w ciemnościach nocy od przestrzeni między ich paryskimi mieszkaniami a Café Anglais lub Tour d'Argent. Była dla nich jedynie odległością, którą trzeba było przebyć, zanim dotarli do wykwintnej knajpki, gdzie, podczas gdy przyjaciele bogatego młodzieńca zazdrościli mu dobrze ubranej kochanki, szarfy jej tworzyły dla małej gromadki niby zasłonę pachnącą i wiotką, ale odcinającą ich od świata.

Nieszczęściem dla mego spokoju, daleki byłem od natury wszystkich tych ludzi. Dbalem o opinię wielu z nich; byłbym pragnął nie być nicością dla mężczyzny o spleśzczonym czole, o spojrzaniu uciekającym między skórzanymi okularami jego przesądów i wychowania. Ów okoliczny magnat był nie kim innym jak szwagrem naszego pana Legrandin. Przybywał czasem z jakąś wizytą do Balbec, w niedzielę zaś cotygodniowe *garden party*, jakie wyprawiali oboje z żoną, wyludniało hotel z części jego mieszkańców, ponieważ paru z nich miało zaproszenie na tę fetę, inni zaś, aby się nie zdradzić, że ich nie proszono, obierali ten dzień na jakąś daleką wycieczkę. Pierwszego dnia zresztą spotkał się pan de Cambremer z bardzo lichym przyjęciem w hotelu, gdy świeżo przybyły z Jasnego Brzegu personel nie wiedział jeszcze, kim on jest. Nie tylko nie był ubrany w białą flanelę, ale, przez stary francuski obyczaj, pan de Cambremer, nieświadomy stylu „Palace”, wchodząc do hallu, gdzie były kobiety, zdjął od drzwi kapelusz, co sprawiło, iż dyrektor nawet nie dotknął swojego, aby mu oddać ukłon, oceniając, że to musi być ktoś najniższego pochodzenia, to co nazywał człowiekiem „wyrastającym z gminu”. Jedynie żona reagenta uczuła sympatię do nowo przybyłego, trącającego nadętą pospolitością ludzi dobrze urodzonych. Oznajmiła z nieomylną roztropnością oraz z bezapelacyjnym aurytetem osoby, dla której śmietanka miasta Mans nie ma tajemnic, że się w nim czuje człowieka wysoce dystyngowanego, doskonale wychowanego i odbijającego od całego towarzystwa w Balbec, które uważała za „niemożliwe” — o ile ona z nim nie żyła. Ten korzystny sąd, jaki rejentowa wydała o szwagrze pana Legrandin, wynikł może z szarego

wyglądu człowieka, który niczym nie onieśmielał, a może stąd, że w tym ziemianinie o wzięciu zakrystiana poznała masonskie znaki własnego klerykalizmu.

Na próżno dowiedziałem się, że młodzi ludzie jeżdżący co dnia konno są synami właściciela galanteryjnego sklepu, człowieka o wątpliwej reputacji, z którym mój ojciec nigdy nie zgodziłby się wejść w stosunki; „życie kąpielowe” zmieniało ich w moich oczach w konne posągi półbogów. Najwięcej, czegom się mógł spodziewać, to że nigdy nie zniżą swoich spojrzeń do mnie, biednego chłopca, który opuszczał jadalnię jedynie po to, aby usiąść na piasku. Byłbym chciał zdobyć sympatię nawet awanturnika władającego na bezludnej wysepce Oceanii, nawet młodego gruzlika; wierzyłem, że pod pozorami arogancji kryje on duszę nieśmiałą i tkliwą, która znalazłaby może dla mnie jednego skarby uczuć. Zresztą (na wspak temu, co się mówi zazwyczaj o znajomościach z podróży), jak pewne znajomości mogą nam użyć na plaży (dokąd wraca się czasem) prestiżu bez odpowiednika w prawdziwym życiu światowym, tak nie ma nic, co by się pielęgnowało równie troskliwie w Paryżu jak przyjaźnie z kąpielisk. Dbałem o opinię, jaką mogły mieć o mnie wszystkie te chwilowe lub lokalne znakomitości, które skłonność moja do wcielania się w innych ludzi i odtwarzania sobie ich stanu ducha kazała mi sytuować nie wedle ich prawdziwej rangi (tej, którą zajmowałyby na przykład w Paryżu i która byłaby bardzo niska), ale wedle tej, którą musieli sobie przypisywać i którą zajmowali istotnie w Balbec, gdzie brak wspólnej miary dawał im rodzaj względnej wyższości i swoistego uroku.

Niestety, wzgarda żadnej z tych osób nie była mi równie dotkliwa, co wzgarda pana de Stermaria. Zauważyłem bowiem, od pierwszego zjawienia się, jego córkę, jej ładną, bladą, błękitną prawie twarzyczkę, coś odrębnego w jej wysmukłej postawie, w chodzie, co mi słusznie przywodziło na myśl jej rasę, jej arystokratyczne wychowanie, tym wyraźniej, iż znałem jej nazwisko. Tak owe poematy muzyczne, wynalazek genialnych muzyków, wspaniale malują migotanie ognia, szum rzeki, ciszę wiejską — słuchaczowi, który, przejrawszy zawczasu komentarz przy programie, skierował swoją wyobraźnię we właściwym kierunku. Przydając wdziękom panny de Stermaria całą ideologię, „rasa” czyniła je czymś zrozumialszym i doskonalszym; czyniła je też czymś bardziej upragnionym, oznajmiając, że są trudno dostępne — jak wysoka cena przydaje wartości przedmiotowi, który się nam spodobał. I drzewo genealogiczne dawało tej cerze, będącej produktem wybranych soków, smak egzotycznego owocu lub słynnego gatunku wina.

Otóż przypadek dał nagle babce i mnie sposób zyskania w oczach mieszkańców hotelu bezpośredniego uroku. W istocie bowiem, pierwszego dnia, w chwili gdy stara dama wychodziła od siebie, urzekając oczy i dusze dzięki poprzedzającemu ją lokajowi, dzięki pannie służącej biegnącej za nią z zapomnianą książką i pledem, budząc ciekawość i szacunek (od których najoczywiściej mniej niż ktokolwiek wolny był pan de Stermaria), dyrektor pochylił się ku babce i przez uprzejmość (tak jak się pokazuje szacha perskiego lub królową Ranavallo szaremu człowiekowi, który nie może mieć oczywiście żadnych stosunków z potężnym monarchą, ale może być rad, że go oglądał z bliska) wsączył jej do ucha: „Margrabina de Villeparisis”, gdy równocześnie dama ta, widząc babkę, nie mogła powstrzymać wyrazu radosnej niespodzianki.

Można sobie wyobrazić, iż nagłe zjawienie się, pod postacią drobnej staruszki, najpotężniejszej z wrózek, nie byłoby mi sprawiło więcej przyjemności — mnie, ogołoconemu z wszelkiego sposobu zbliżenia się do panny de Stermaria, w miejscowości, gdzie nie znał nikogo. Rozumiem „nikogo” z praktycznego punktu widzenia. Biorąc estetycznie, ilość typów ludzkich jest zbyt ograniczona, aby się nie miało bardzo często, w jakimkolwiek miejscu, radości oglądania ludzi znajomych, nawet nie szukając ich na obrazach starych mistrzów, jak to czynił Swann. I tak w pierwszych dniach pobytu zdarzyło mi się spotkać Legrandina, odźwiernego Swannów, oraz samą panią Swann — pierwszego pod postacią kelnera z kawiarni, drugiego w sylwetce jakiegoś przejeźdnego, któremu już nie ujrzał, a trzecią w osobie kąpielowego. I jakiś magnetyzm przyciąga i sprzęga pewne fizyczne i duchowe cechy tak nierozdzielnie, że kiedy natura wprowadza w ten sposób jakąś osobę w nowe ciało, nie okalecza jej zbyt. Legrandin, zmieniony w kelnera, zachował bez uszczerbku swoją postawę, profil i część podbródka; pani Swann, w osobniku płci męskiej i w profesji kąpielowego, ocaliła nie tylko swoją fizjonomię, ale poniekąd i sposób mówienia. Tylko że, przewiązana czerwonym pasem i wznosząca przy lada burz-

liwszym morzu chorągiew wzbraniającą kąpeli (bo kąpielowi są ostrożni, rzadko umiejąc pływać), nie więcej mogłaby mi być użyteczna niż na fresku z *Życia Mojżesza*, gdzie Swann poznał ją niegdyś w rysach córki Jethra. Ta margrabina de Villeparisis natomiast była całkiem prawdziwa; nie była ofiarą czarów, które ją odarły z potęgi, ale, przeciwnie, mogła oddać te czary na usługi mojej władzy, mnożąc ją stokrotnie, dzięki czemu, jak gdyby niesiony na skrzydłach bajecznego ptaka, miałem przebyć w parę chwil nieskończone — przynajmniej w Balbec — odległości socjalne, dzielące mnie od panny de Stermaria.

Nieszczęściem, jeżeli była istota bardziej od kogokolwiek zamknięta we własnym świecie, to była nią moja babka. Nie gardziła mną nawet, wprost nie byłaby mnie zrozumiała, gdyby wiedziała, że ja przywiązuję wagę do opinii, że się interesuję osobami, których istnienia ona nawet nie spostrzegęła i których nazwiska nie miała spamiętać, opuszczając Balbec. Nie śmiałem jej wyznać, że gdyby ci sami ludzie widzieli ją rozmawiającą z panią de Villeparisis, sprawiłoby mi to wielką przyjemność, bom czuł, że margrabina ma mir w hotelu i że jej przyjaźń postawiłaby nas w oczach pana de Stermaria. Nie aby przyjaciółka mojej babki wyobrażała dla mnie bodaj trochę osobę z arystokracji; nazbyt przywykłem do jej nazwiska, z którym oswoiły się moje uszy, zanim umysł się nad nim zastanowił, kiedy w dzieciństwie słyszałem, jak je wymawiano w domu; a tytuł jej przydawał nazwisku jedynie dziwaczną osobliwość, coś niby mało używany przedimek, jak się dzieje z nazwami ulic: w ulicy Lorda Byrona, w tak popularnej i pospolitej ulicy Rochecouarta lub w ulicy de Gramonta nie widzimy nic szlachetniejszego niż w ulicach Léonce-Reynaud lub Hipolyte'a Lebas. Pani de Villeparisis nie bardziej budziła we mnie wyobrażenie osoby ze specjalnego świata niż kuzyn jej Mac-Mahon, którego nie odróżniałem zbyt od pana Carnot, prezydenta Republiki jak i on, i od Raspaila, którego fotografię Franciszka kupiła razem z fotografią Piusa IX.

Babka wyznawała zasadę, że w podróży nie powinno się zawierać stosunków, że nie po to się jedzie nad morze, aby widywać ludzi, że na to jest dość okazji w Paryżu, że na grzeczności i banalności strwoniloby się szacowny czas, który trzeba całkowicie spędzić na powietrzu, nad wodą. Uważając za wygodniejsze przypuszczać, że cały świat dzieli ten pogląd, uprawniający między starymi przyjaciółmi, których przypadek sprowadził do jednego hotelu, fikcją wzajemnego incognita, na dźwięk nazwiska, które jej wymienił dyrektor hotelu, poprzestała na odwróceniu oczu i udawała że nie widzi pani de Villeparisis, która rozumiejąc, iż babka nie ma ochoty odnawiać znajomości, puściła również wzrok w przestrzeń. Oddaliła się, a ja zostałem w swoim odosobnieniu, niby rozbitek, do którego zdawał się zbliżać statek, aby następnie zniknąć, nie zatrzymawszy się.

Margrabina jadła także we wspólnej sali, ale na drugim końcu. Nie знаła nikogo z osób mieszkających w hotelu lub zjawiających się z wizytą, nawet pana de Cambremer; w istocie, ujrzałem, że on się jej nie kłania, gdy pewnego dnia przybył z żoną na śniadanie na zaprosiny dziekana. Ten, pijany szczęściem, że ma tak dobrze urodzonego gościa, unikał swoich codziennych przyjaciół i poprzestawał na mrugnięciu do nich z daleka, czyniąc do tego historycznego wydarzenia aluzję na tyle dyskretną, aby jej nie można było sobie tłumaczyć jako zachętę do zbliżenia się.

— No i co, widzę, że pan sobie nie żałuje, pływa pan w elegancji — rzekła wieczorem do dziekana żona prezydenta.

— W elegancji, czemu? — spytał dziekan, ukrywając swoją radość pod przesadnym zdziwieniem — z powodu moich gości? — rzekł, czując, że niezdolny jest udawać dłużej. — Cóż w tym za elegancja, zjeść śniadanie z przyjaciółmi? Muszą przecież gdzieś zjeść.

— Ależ tak, to wielki świat! To są państwo de Cambremer, prawda? Zaraz ich poznałam. To margrabina. I autentyczna. Nie kąpielowa.

— Och, to kobieta bardzo prosta, urocza, nie sposób mniej robić z sobą ceremonii. Myślałem, że państwo się przysiadziecie, dawałem znaki... byłbym państwa przedstawił! — rzekł, poprawiając lekką ironią niesłychaność tej propozycji, jak Ahaswrus, kiedy powiada do Estery: „Mamże ci stanów swoich ustąpić połowę?”

— Nie, nie, nie, nie, my wolimy zostać w ukryciu jak skromny fiołek.

— Ależ źle państwo robicie, ręczę wam — odparł dziekan śmiejąc się teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło. — Nie zjedliby was. No i co, zrobimy małego bezika?

— Bardzo chętnie, nie śmieliśmy panu proponować, teraz kiedy pan podejmuje margrabiny!

— Och, daj pani pokój, nie ma w nich nic tak nadzwyczajnego. Ot, mam tam być na obiedzie jutro. Chcecie państwo iść zamiast mnie? Mówię to z całego serca. Szczerze powiadam, najchętniej pozostałbym tutaj.

— Nie, nie!... spensjonowanoby mnie jako reakcjonistę — wykrzyknął prezydent, śmiejąc się do łez ze swego konceptu. — Ale pan też bywa w Féterne — dodał, zwracając się do rejenta.

— Och, bywam tam w niedziele, wchodzi się jednymi drzwiami, wychodzi się drugimi. Ale nie bywają u mnie na śniadaniu, jak u naszego dziekana.

Pana de Stermaria nie było tego dnia w Balbec, ku wielkiemu żalowi dziekana, który rzekł podstępnie do starszego kelnera:

— Aimé, mógłbyś powiedzieć panu de Stermaria, że nie jest jedynym „dobrze urodzonym” w tej sali. Widziałeś tego pana, który jadł ze mną śniadanie dziś rano? He? Ten mały wąsik, mina wojskowa? I co ty powiesz, to jest margrabia de Cambremer.

— Doprawdy? A, to mnie nie dziwi!

— Niech się pan de Stermaria dowie, że nie on jeden ma tytuł. Pójdzie mu po nosie. Nieźle jest dać małego prztyczka tym pansom. Aimé, nie mów mu nic, jeśli wolisz, ja nie mówię tego dla siebie; zresztą on go zna dobrze.

I nazajutrz pan de Stermaria, który wiedział, że dziekan bronił sprawy jednego z jego przyjaciół, podszedł, aby mu się przedstawić.

— Nasi wspólni przyjaciele de Cambremer chcieli właśnie nas spiknąć, dni się jakoś nie schodziły, sam już nie wiem co — rzekł dziekan, który, jak wielu kłamców, wyobrażał sobie, że nikt nie będzie się starał wyświecić nieznaczącego szczegółu, który wszelako wystarcza (jeżeli przypadek da wam w rękę skromną rzeczywistość, będącą z nim w sprzeczności), aby zdemaskować człowieka i obudzić wieczną doń nieufność.

Jak zawsze, patrzałem na pannę de Stermaria, ale swobodniej niż zwykle, podczas gdy jej ojciec odszedł, aby rozmawiać z dziekanem. Śmiała i zawsze piękna oryginalność jej póż — kiedy na przykład z łokciami na stole podnosiła kieliszek, oschłość szybko znużonego spojrzenia, jakaś rodowa twardość, która raziła moją babkę, a którą czuło się, ledwie zamaskowaną indywidualnymi akcentami, w jej głosie; jakiś atawistyczny hamulec działający w chwili, gdy spojrzeniem lub intonacją zdradziła własną myśl — wszystko to sprowadzało myśl tego, co na nią patrzył, do rasy, która jej przekazała tę oschłość, te luki wrażliwości — jak gdyby skąpstwo materii, niedostającej co chwilę. Ale na tak szybko wysychającym tle jej źrenic błyskały chwilami spojrzenia, w których czuło się ową niemal pokorną słodycz, jaką dominująca zmysłowość daje nawet najdumniejszej, każąc jej niebawem uznawać już tylko jeden urok. Ten urok ma w jej oczach wszelka istota zdolna jej dostarczyć pewnych wzruszeń, choćby to był aktor lub linoskoczek, dla którego rzuci może kiedyś męża. Z pewnego odcienia zmysłowej i żywej różowości, która rozkwitała na jej bladych licach, podobna tej, co barwiła swoim karminem serce lilii wodnych na Vivonne, miałem uczucie, że ona łatwo by pozwoliła, abym poszukał w niej smaku owego tak poetycznego życia, jakie wiodła w Bretanii, życia, którego czy to przez zbytnie z nim oswojenie, czy przez wrodzoną dystynkcję, czy przez wstręt do ubóstwa lub skąpstwa swojej rodziny, nie zdawała się zbytnio cenić, ale którym ciałem jej było jakby nasiąknięte. W skromnym zasobie odziedziczonej woli, który dawał wyrazowi jej twarzy coś tchórzliwego, nie znalazłaby może energii oporu. I szary filcowy kapelusz, jaki zawsze miała przy stole, strojny niemodnym trochę i pretensjonalnym piórem, czynił mi ją słodsza nie dlatego, że harmonizował z jej srebrną i różową cerą, ale że zbliżał do mnie ją samą, pozwalając mi wnosić, że jest uboga.

Zmuszona obecnością ojca do zachowywania konwenansów, ale już odmiennie szacując i klasyfikując oglądane osoby, panna de Stermaria widziała może we mnie nie nikłą pozycję, lecz pleć i wiek. Gdyby któregoś dnia ojciec zostawił ją samą, gdyby zwłaszcza pani de Villeparisis, przysiadłszy się do naszego stołu, dała jej o nas opinię zdolną ośmielić mnie do zbliżenia się, może udałoby się nam wymienić kilka słów, umówić się na kiedyś, zapoznać się bliżej. I pewnego miesiąca, kiedy by ona została sama bez rodziców w swoim romantycznym dworzyszczu, udałoby się nam może przechadzać wieczór sam na sam o zmierzchu, w którym czerwone wrzosi łagodniej błyszcząłyby nad ściemniałą wodą, pod dębami trącanymi pluskiem fal. Razem przebiegalibyśmy wyspę, nasyconą

dla mnie takim czarem przez to, że zamykała zwyczajne życie panny de Stermaria i że spoczywała w pamięci jej oczu. Bo wydawało mi się, że mógłbym ją naprawdę posiadać tylko tam, przebywszy miejsca spowijające ją w tyle wspomnień. Była to niby zasłona, którą pragnienie moje chciało zerwać, z rodzaju tych, jakie natura mieści między kobietą a pewnymi osobnikami, iżby, omamieni złudą pełniejszego posiadania tej kobiety, musieli wprzód przyswoić sobie krajobrazy, w których ona żyje i które, owocniejsze dla ich wyobraźni od rozkoszy zmysłowych, nie wystarczyłyby jednak bez tej rozkoszy, aby ich przyciągnąć. W podobnej intencji natura pomieściła dla wszystkich ludzi akt płodzenia między nimi a najwyższą rozkoszą lub dla owadów umieszcza przed nektarem pyłek, który mają przenieść.

Ale musiałem odwrócić oczy od panny de Stermaria. Uważając zapewne, że znajomość z wybitną osobistością jest to akt interesujący i krótki, który wystarcza sam sobie i który, dla rozwinięcia całej zawartej w nim treści wymaga jedynie uścisku dłoni i bystrego rzutu oka bez następstwa rozmowy i późniejszych stosunków, ojciec jej pożegnał się z dziekanem i usiadł z powrotem na wprost córki, zacierając ręce jak człowiek, który zrobił cenny nabytek. Co się tyczy dziekana, skoro pierwsze wzruszenie tą znajomością minęło, słyszeliśmy go czasem, jak w inne dni, mówiącego do starszego kelnera:

— Ależ ja nie jestem królem, Aimé, idźże do króla; słuchaj pan, prezydencie, to bardzo apetycznie wygląda, te małe pstrągi, musimy o nie poprosić naszego Aimé. Aimé, to mi się wydaje bardzo godne polecenia, te rybki, które tam masz; przyniesiesz nam ich, Aimé, a obficie.

Powtarzał co chwilę imię „Aimé”, co sprawiało, że kiedy miał kogoś na obiedzie, gość powiadał: „Widzę, że pan jest tutaj całkiem zadomowiony”, i uważał także za swój obowiązek powtarzać wciąż „Aimé” wskutek tego stanu ducha — mającego coś z nieśmiałości, pospolitości i głupstwa zarazem — jaki niektórym osobom każe sobie wyobrażać, że niewolnicze naśladowanie ludzi, z którymi się przebywa, jest dowodem dowcipu i elegancji. Powtarzał to bez ustanku, ale z uśmiechem, bo chciał zarazem okazać swoje dobre stosunki z kelnerami i swoją nad nimi wyższość. A kelner, za każdym powtórzeniem swego imienia, również uśmiechał się z rozczuleniem i dumą, okazując, że czuje zaszczyt i rozumie żart.

Jeżeli posiłki w tej wielkiej restauracji hotelowej, zazwyczaj pełnej, onieśmiały mnie zawsze, potęgowało się to jeszcze, kiedy przybywał na kilka dni właściciel (lub generalny dyrektor, wybrany przez akcjonariuszy, sam nie wiem) nie tylko tego hotelu, ale siedmiu czy ośmiu innych, położonych w czterech stronach Francji. Wędrując tak z hotelu do hotelu, spędzał periodycznie w każdym z nich jakiś tydzień. Wówczas, gdy już miano podawać do obiadu, zjawiał się co wieczór u wejścia do jadalni ten mały siwy człowieczek z czerwonym nosem, niewzruszony i poprawny do ostatnich granic, znany, jak się zdaje, równie dobrze w Londynie jak w Monte Carlo jako jeden z pierwszych hotelarzy w Europie. Raz, kiedy wyszedł na chwilę z początkiem obiadu i wracając przechodziłem koło niego, oddał mi chłodny ukłon, z którego nie mogłem zgadnąć, czy przyczyną tego chłodu jest godność człowieka niezapominającego, czym jest, czy pogarda dla podrzędnego klienta. Innym, wartościowszym, generalny dyrektor kłaniał się równie chłodno, ale głębiej, z powiekami spuszczoneymi z odcieniem wstydliwego szacunku, tak jakby miał przed sobą ojca nieboszczki na pogrzebie, albo Przenajświętszy Sakrament. Poza tymi lodowatymi i rzadkimi ukłonami, nie czynił najlżejszego ruchu, jakby dla okazania, że jego błyszczące oczy, zdające się wychodzić z twarzy, widzą wszystko, kierują wszystkim, zapewniając „obiadowi w Grand Hotelu” zarówno wykończenie szczegółów jak harmonię całości. Czuł się wyraźnie czymś więcej niż reżyserem, niż kapelmistrzem, czuł się prawdziwym generalissimusem. Uznawszy, iż kontemplacja doprowadzona do szczytu skupienia, wystarczy mu dla upewnienia się, że wszystko jest gotowe i bezbłędne, i dla wzięcia wreszcie odpowiedzialności, wstrzymywał się nie tylko od wszelkiego gestu, ale nawet od drgnienia oczu skamieniałą uwagą, oczu ogarniających całokształt czynności i kierujących nimi. Czułem, że nawet ruchy mojej łyżki nie uchodzą bacności generalnego dyrektora, i choćby znikł zaraz po zupie, ta jego rewia odbierała mi apetyt na cały obiad. On sam miał apetyt doskonały, jak można było stwierdzić przy śniadaniu, które spożywał jak zwykły gość, przy takim samym stoliku jak wszyscy, w jadalni. Jego stół miał tylko tę właściwość, że gdy on jadł, drugi dyrektor, ów codzienny, stał cały czas,

zabawiając zwierzchnika rozmową. Bo, będąc podwładnym generalnego dyrektora, starał się mu schlebiać i bał się go bardzo. Co do mnie, mniej się go bałem w czasie tych śniadań, wmieszany bowiem między klientów, miał tę dyskrecję, aby nie okazywać, że się nimi zajmuje, niby generał siedzący w restauracji, gdzie są i zwykli żołnierze. Mimo to, kiedy portier, otoczony swymi „strzelcami” oznajmiał mi: „Stary jedzie jutro do Dinard, stamtąd do Biarritz, a potem do Cannes”, oddychałem swobodniej.

Życie moje w hotelu było nie tylko smutne, bo nie miałem znajomości, ale niewygodne, bo Franciszka zawiązała ich mnóstwo. Zdawałoby się, że powinny by nam ułatwić wiele rzeczy. Wręcz przeciwnie. O ile proletariusze mieli pewną trudność w dostąpieniu tego, aby Franciszka uznała ich za znajomych i mogli to osiągnąć jedynie za cenę szczególnej uprzejmości, o tyle, skoro raz to uzyskali, byli jedynymi ludźmi, którzy się liczyli dla niej. Jej *savoir vivre* uczył Franciszkę, że nie jest do niczego zobowiązana wobec przyjaciół swoich państwa; że może, o ile się jej spieszy, splawić damę, która przyszła z wizytą do babki. Ale w stosunku do jej własnych znajomych, to znaczy rzadkich osób z ludu dopuszczonych do jej niełatwej przyjaźni, postępki jej regulował najsztubtelniejszy i najbezwzględniejszy ceremoniał. I tak Franciszka, zapoznawszy się z kawiarnikiem i z pokojówką sporządzającą suknie dla pewnej belgijskiej damy, nie przychodziła oczyścić rzeczy babki zaraz po śniadaniu, ale aż w godzinę później, bo kawiarnik zaprosił ją na kawę albo na kwiat lipowy do kawiarni, a pokojówka prosiła ją, aby jej asystowała przy szyciu. Odmówić im byłoby rzeczą niemożliwą, rzeczą, której się nie robi! Zresztą, należały się szczególne względy pokojówce, która była sierotą, wychowaną u obcych, gdzie spędzała niekiedy kilka dni. Los ten budził litość Franciszki, jak również jej życzliwe lekceważenie. Ona, która miała rodzinę, domek po rodzicach, gdzie jej brat chował kilka krów, nie mogła takiej przybłądy uważać za równą sobie. Że zaś dziewczyna ta zamierzała 15 sierpnia odwiedzić swoich dobroczyńców, Franciszka powtarzała cały czas:

— To doprawdy śmiechu warte. Powiada: „Wybieram się do domu na 15 sierpnia”. Do domu, ona powiada! To nawet nie są jej strony, to tylko ludzie, które ją przygarnęły, i ta powiada: „u siebie”, tak jakby naprawdę była u siebie. Biedna dziewczyna! Cóż to za nędzne życie. Żeby nawet nie wiedzieć, co jest dom!

Ale gdyby jeszcze Franciszka przyjaźniła się tylko z prywatnymi pokojówkami, które jadały z nią w „kredensie” i które, wnosząc z jej pięknego koronkowego czepek i szlachetnego profilu, brały ją może za jakąś dystygowaną osobę, zmuszoną wskutek nieszczęść lub skłonioną przez przywiązanie do tego, aby służyć za damę do towarzystwa mojej babce, słowem gdyby Franciszka знаła jedynie ludzi nienależących do hotelu, nie byłoby w tym zbyt wielkiego nieszczęścia. Nie mogłaby nas pozbawiać ich usług, z tej prostej przyczyny, że w żadnym wypadku, nawet gdyby ich nie znała, nie zdaliby się nam na nic. Ale ona się zaprzyjaźniła również z szafarzem, z kuchcikiem i z pokojówką z hotelu. W dniu swego przybycia, kiedy Franciszka nie znała jeszcze nikogo, dzwoniła na wszystkie strony o najmniejszą rzecz, w godzinach, w których babka i ja nie odważylibyśmy się tego uczynić, a jeżeliśmy jej zrobili jaką uwagę, odpowiadała: „Dosyć drogo płaci się za to”, tak jakby to ona płaciła. Ale teraz, od czasu jak się zaprzyjaźniła z personelem (co nam się zdawało dobrą wróżbą dla naszej obsługi), kiedy babce lub mnie było zimno w nogi, Franciszka, choćby to była godzina zupełnie normalna, nie śmiała zadzwonić: upewniała, że to byłoby źle widziane, bo trzeba by na nowo palić w piecu lub zakłóciłoby obiad służby, budząc w kredensie niezadowolenie. I kończyła zwrotem, który mimo niepewnego sposobu, w jaki go wymawiała, niemniej był dosyć jasny i stanowczo rozstrzygał rzecz na naszą niekorzyść: „Faktycznie...”. Nie nalegaliśmy z obawy, aby się nie narwać na inny zwrot, o wiele poważniejszy: „To niewidziane rzeczy...”. Tak iż w rezultacie nie mogliśmy już mieć gorącej wody, dlatego że Franciszka zaprzyjaźniła się z osobą, która ją grzała.

W końcu i my zawiązaliśmy znajomość, przez babkę, choć mimo jej woli, kiedy obie z panią de Villeparisis wpadły na siebie w drzwiach i musiały się przywitać nie bez uprzedniej wymiany gestów zdumienia, wahania, cofań się, powątpiewań i w końcu okrzyków uprzejmości i radości, jak w niektórych sztukach Moliera, gdy dwaj aktorzy, monologujący długo każdy w swoją stronę, o kilka kroków od siebie, niby to nie widzą się wzajem i nagle spostrzegają się, nie wierząc swoim oczom, wpadają sobie w słowo, w końcu mówią obaj naraz — niby chór po dialogu — i rzucają się sobie w objęcia. Przez delikatność pani de Villeparisis chciała po chwili pożegnać babkę, która, przeciwnie, starała się ją

zatrzymać aż do śniadania, pragnąc się dowiedzieć, jak ona robi, aby mieć pocztę wcześniej od nas i dobre pieczyście. (Pani de Villeparisis, wielka smakoszka, niezbyt gustowała w kuchni hotelowej, gdzie nam zastawiano biesiady, które babka, zawsze cytując panią de Sévigné, określała jako „tak wspaniałe, że można było umrzeć z głodu”). I margrabina przywykła podchodzić do nas co dzień, zanim jej podadzą, siadać na chwilę koło nas w jadalni, nie pozwalając, abyśmy wstawali i krępowali się w czymkolwiek dla niej. Co najwyżej, zostawaliśmy dłużej, gawędząc z nią po śniadaniu, w owym niechlujnym momencie, gdy noże walają się na obrusie obok pomiętych serwet.

Co do mnie, aby zachować — dla miłości Balbec — myśl, że jestem na krańcu ziemi, siliłem się patrzeć dalej, widzieć tylko morze, szukać na nim efektów opisanych przez Baudelaire’a. Jeżeli zniżał spojrzenia na nasz stół, to chyba w dniu, gdy zjawiała się na nim jakaś wielka ryba, potwór morski, który, na przekór nożom i widelcom, współczesny był pierwotnym epokom, kiedy życie zaczynało się roić w oceanie, w czasach Cymeryjczyków, i którego ciało o niezliczonych kręgach, unerwione błękitno i różowo, stworzone było przez naturę, ale z architektonicznym planem, niby polichromowana katedra morza.

Jak fryzjer, widząc, iż oficer obsługiwany szczególnie troskliwie, poznaje jakiegoś wchodzącego klienta i zawiązuje z nim rozmowę, cieszy się, zgadując, że ci dwaj goście są z jednego świata, i idąc po miseczkę z mydłem, nie może się wstrzymać od uśmiechu, świadom, iż w jego zakładzie do pospolitych funkcji salonu fryzjerskiego dołączają się przyjemności towarzyskie, ba, arystokratyczne, tak Aimé, widząc, iż pani de Villeparisis odnalazła w nas dawnych znajomych, szedł po nasze płukanki z tym samym dumnie skromnym i świadomie dyskretnym uśmiechem gospodyni domu, umiejącej się usunąć w porę. Można by także rzec: szczęśliwy i rozczulony ojciec, który, nie mącąc swobody, czuwa nad szczęściem zaręczyn nawiązanych przy jego stole. Zresztą wystarczyło wymówić nazwisko osoby utytułowanej, aby Aimé wydawał się szczęśliwy, w przeciwieństwie do Franciszki, wobec której nie można było powiedzieć „hrabia taki a taki”, aby jej twarz nie zachmurzyła się, a mowa nie stała się sucha i urywana, co oznaczało, iż kocha szlachtę nie mniej niż Aimé, lecz więcej. Bo Franciszka miała przymiot, który uważała u innych za największą wadę: była dumna. Nie była z łatwej i dobrodusznej rasy, do której należał Aimé. Tacy odczuwają i objawiają żywą przyjemność, kiedy im opowiadać fakt, mniej lub więcej zabawny, ale nieznan, którego nie ma w dzienniku. Franciszka nie lubiła mieć miny zdziwionej. Można by powiedzieć przy niej, że arcyksiążę Rudolf, którego istnienia nigdy nie podejrzewała, nie umarł — jak to uchodziło za fakt — ale żyje, a byłaby odpowiedziała: „No pewnie”, tak jakby o tym wiedziała od dawna. Można zresztą przypuszczać, że skoro nawet z naszych ust, od nas, których nazywała tak pokornie „swoim państwem” i którzyśmy ją ujarzмили niemal zupełnie, nie mogła słyszeć bez odruchu irytacji szlacheckiego nazwiska, musiała widać jej rodzina zajmować w swojej wiosce dostatnią i niezależną pozycję, może zagrożoną w szacunku ludzkim jedynie przez tę właśnie szlachtę. Taki Aimé, przeciwnie, służył od dziecka w pańskim domu jako lokaj, o ile nie chował się w nim z litości. Wobec Franciszki tedy pani de Villeparisis musiała okupić to że jest szlachcianką. Ale, we Francji przynajmniej, to właśnie stanowi talent — i jedyne zatrudnienie — wielkich panów i wielkich dam. Franciszka, ulegając zwykłej skłonności służby, która zbiera bez ustanku co do stosunków swoich państwa z innymi osobami cząstkowe spostrzeżenia, wyciągając z nich niekiedy mylne wnioski, jak czynią ludzie co do życia zwierząt, uważała co chwila, że ktoś nam „uchylił”; konkluzja, do której zresztą łatwo ją doprowadzała zarówno jej nadmierna miłość do nas, co przyjemność, jaką znajdowała w tym, aby nam powiedzieć coś przykrego. Ale stwierdziwszy ponad wszelką wątpliwość tysiąc względów, jakimi otaczała nas i ją samą pani de Villeparisis, Franciszka wybaczyła jej, że jest margrabiną; że zaś nigdy nie przestała jej szanować za to, że nią jest, wyróżniła ją wśród wszystkich naszych znajomych. Bo też nikt nie silił się być wciąż tak uprzejmy. Za każdym razem, kiedy babka zwróciła uwagę na książkę, którą pani de Villeparisis czytała, kiedy pochwaliła owoce przysłane margrabinie przez przyjaciółkę, w godzinę potem wchodził lokaj, doręczając nam książkę lub owoce. I później, kiedyśmy się spotkali, w odpowiedzi na nasze podziękowania, pani de Villeparisis mówiła po prostu tak, jakby szukała uzasadnienia swego daru w jakiejś jego specjalnej użyteczności: „To nie jest arcydzieło, ale dzienniki przychodzą tak późno, że trzeba coś mieć do czytania”. Albo: „Zawsze bezpieczniej jest nad morzem mieć owoce, których się jest pewnym”.

— Ale mnie się zdaje, że państwo nigdy nie jadacie ostryg — rzekła pani de Villeparisis (pomnażając wrażenie wstrętu, jakie miałem do nich w owej epoce, bo żywe ciało ostryg brzydziło mnie jeszcze bardziej niż oślizgłość meduz kalala mi plażę Balbec) — wyborne są na tym wybrzeżu! A, powiem pokojowej, aby zabierała pani listy równocześnie z moimi. Jak to, córka pisze do pani co dzień? Ale co panie możecie sobie mieć do powiedzenia?

Babka zamilkła, ale można przypuszczać, że to uczyniła przez wzgardę, ona, która powtarzała — stosując je do mamy — słowa pani de Sévigné: „Skoro dostanę list, chciałabym natychmiast mieć drugi, żyję tylko tym. Mało kto godny jest zrozumieć to, co ja czuję”. I bałam się, aby nie zastosowała do pani de Villeparisis konkluzji: „Szukam osób będących z tej niewielkiej liczby, unikam innych”. Babka odmieniła rozmowę, dziękując po prostu za owoce, które pani de Villeparisis przysłała nam poprzedniego dnia. Były w istocie tak piękne, że dyrektor, mimo iż zawistny o swoje wzgardzone kłosze z owocami, rzekł: „Ja jestem jak państwo, bardziej jestem łaskawy na owoce niż na wszelkie inne wety”. Babka oświadczyła przyjaciółce, że oceniła dar tym bardziej, iż owoce podawane w hotelu były przeważnie okropne.

— Nie mogę — dodała — rzec jak pani de Sévigné, że gdyby nam przyszedł kaprys na lichy owoc, musielibyśmy go sprowadzać z Paryża.

— A, kochana pani czyta panią de Sévigné. Widzę panią od pierwszego dnia z jej listami w ręku. — (Margrabina zapomniała, że jakoby nie widziała babki w hotelu przed owym spotkaniem w drzwiach). — Czy pani nie uważa, że jest trochę przesady w tej ciąglej trosce o córkę; za wiele o tym mówi, aby to mogło być szczere. Brak jej naturalności.

Babka uznała dyskusję za bezcelową i aby uniknąć mówienia o rzeczach drogich sobie z osobą niezdolną ich zrozumieć, ukryła pod torebką *Pamiętniki pani de Beausegent*.

Kiedy pani de Villeparisis spotkała Franciszkę w momencie (Franciszka nazywała go „południem”), kiedy, wystrojona w piękny czepek i otoczona powszechnym szacunkiem, schodziła na śniadanie do „kredensu”, margrabina zatrzymywała ją, aby spytać o nas. Franciszka, przekazując nam jej zlecenie: „Powiedziała: proszę im pięknie życzyć dobrego południa”, udawała głos pani de Villeparisis, myśląc, że powtarza wiernie jej słowa, które zniekształcała nie mniej niż Platon Sokratesa lub święty Jan słowa Jezusa. Franciszka była głęboko wzruszona względami margrabiny. Co najwyżej nie dowierzała i myślała, że babka kłamie przez solidarność klasową (ludzie bogaci popierają się między sobą), upewniając, iż pani de Villeparisis była niegdyś prześliczna. Prawda, że z tego zostały bardzo nikłe resztki, z których aby odtworzyć zniweczoną piękność trzeba by być większym artystą niż Franciszka. Bo aby zrozumieć, jak bardzo stara kobieta mogła być ładna, trzeba nie tylko patrzeć, ale tłumaczyć każdy rys.

— Muszę się jej spytać kiedy, czy ja się mylę lub czy jest jakieś pokrewieństwo między nią a Guermantami — rzekła babka, budząc tym moje zgorzienie. Jak mógłbym wierzyć we wspólność pochodzenia między dwoma nazwiskami, z których jedno wniknęło we mnie niską i wstydliwą bramą doświadczenia, a drugie złotą bramą wyobraźni?

Od kilku dni widywało się często przejeżdżającą we wspaniałym ekwipażu wielką, rudą, piękną panią o dość wydatnym nosie. Była to księżna de Luxembourg; przybyła na kilka tygodni w te strony na wilegiaturę. Powóz zatrzymał się przed hotelem, lokaj zszedł, aby pomówić z dyrektorem, wrócił do powozu i wyniósł cudowne owoce, kojarzące w jednym koszyku, jak sama zatoka, różne pory roku. Do owoców dołączono bilet: „Księżna de Luxembourg”, z kilkoma słowami skreślonymi ołówkiem. Dla jakiego dostojnego gościa bawiącego tu incognito mogły być przeznaczone te śliwki, granatowe, lśniące i sferyczne tak jak sferyczna była w tej chwili krągłość morza, te przezroczyste winogrona wiszące na wyschłej lodydze niby jasny dzień jesienny, gruszki barwiące się niebiańską ultramaryną? Bo przecież nie przyjaciółce babki księżna chciała złożyć wizytę. A jednak nazajutrz wieczór pani de Villeparisis przesała nam winne grono świeże i złociste oraz śliwki i gruszki, które poznaliśmy również, mimo że śliwki przeszły, jak morze w godzinie obiadu, w kolor lila, a ultramarynę gruszek zmaciło swoim zarysem parę różowych chmurek. W kilka dni potem spotkaliśmy panią de Villeparisis wychodzącą z symfonicznego koncertu, który odbywał się rano na plaży. Przekonany, że dzieła, które tam słyszałem (preludium z *Lohengrina*, uwertura z *Tannhäusera* itd.) wyrażają najwyższe

prawdy, starałem się wznieść do nich, ile było w mej mocy; aby je zrozumieć, dobywałem z siebie i oddawałem im wszystko, co kryłem wówczas w sobie najlepszego, najgłębszego.

Otóż, wyszedłszy z koncertu i wracając do domu, zatrzymaliśmy się chwilę, aby wymienić kilka słów z panią de Villeparisis, która oznajmiła babce i mnie, że zamówiła dla nas w hotelu *croque monsieur* i jajka ze śmietaną. W tej chwili ujrzałem z dala zbliżającą się ku nam księżnę de Luxembourg, wspierającą się na parasolce, tak iż lekkim pochylemieniem dużego i wspaniałego ciała kresliła ów arabesk tak drogi pięknościom z epoki Cesarstwa, które umiały, opuszczając ramiona, ściągając plecy, wciągając biodro i napi-nając nogę, dać swemu ciału bujać miękko niby fular dokoła niewidzialnego i skośnie przesywającego je pręta. Wychodziła co rano przejść się po plaży mniej więcej w chwili, gdy wszyscy po kąpieli wracali na śniadanie, że zaś ona sama jadła aż o wpół do drugiej, wracała do swojej willi w momencie, gdy letnicy od dawna już opuścili pustą i rozpala-ną promenadę. Pani de Villeparisis przedstawiła babkę, chciała przedstawić i mnie, ale musiała mnie spytać o nazwisko, bo go sobie nie mogła przypomnieć. Może go nigdy nie знаła lub bodaj zapomniała od dawna za kogo babka wydała córkę. Miałem wrażenie, że to nazwisko zrobiło na pani de Villeparisis żywe wrażenie. Księżna de Luxembourg podała nam rękę i od czasu do czasu, rozmawiając z margrabiną, odwracała się, aby ob-jąć łagodnym spojrzeniem mnie i babkę, z owym zarysem pocałunku, jakim ktoś stroi uśmiech, zwracając go do niemowlęcia z nianią. A nawet, nie chcąc, aby się zdawało, że przebywa w sferze wyższej od nas, księżna musiała widocznie źle obliczyć odległość, przez błąd akomodacji bowiem spojrzenia jej przepoiły się taką dobrocią, że czekałem chwili, gdy nas pogłaszczę, niby dwa sympatyczne zwierzęta, które by wysunęły do niej głowę przez kratę w zoologicznym ogrodzie. Niebawem zresztą ten obraz zwierząt i La-sku Bulońskiego stał mi się jeszcze realniejszy. Była to godzina, gdy promenada roi się od wędrownych i krzykliwych przekupniów, sprzedających ciastka, cukierki, bułeczki. Nie wiedząc, co zrobić, aby nam okazać życzliwość, jej wysokość zatrzymała pierwsze-go z brzegu: miał tylko bułkę żytniego chleba, jaki się rzuca kaczkom. Księżna wzięła ten bocheneczek i rzekła do mnie: „To dla pańskiej babci”. Ale wręczyła go mnie, mó-wiąc z subtelnym uśmiechem: „Sam go pan babci ofiaruje”, myśląc, że ten bezpośredni kontakt ze zwierzętami uczyni moją przyjemność pełniejszą. Podeszli inni przekupnie, księżna wpakowała mi do kieszeni wszystko, co mieli: pączki, obarzanki, ciastka, cu-kier lodowaty. Powiedziała: „Proszę jeść i także poczęstować babcię”, polecając zapłacić małemu Murzynkowi w czerwonym atlasowym ubraniu, który chodził za nią wszędzie, budząc na plaży zachwyt. Potem pożegnała panią de Villeparisis i podała nam rękę z in-tencją traktowania nas tak samo jak swoją przyjaciółkę, jak swoich bliskich, zstępując do naszego poziomu. Ale tym razem księżna ustaliła widocznie nasz poziom nieco wyżej na drabinie stworzeń, bo równość swoją z nami stwierdziła w stosunku do babki owym tkliwym i macierzyńskim uśmiechem, jaki się zwraca do malca, żegnając się z nim jak z dorosłą osobą. Dzięki cudownemu procesowi ewolucji, babka nie była już kaczką ani antylo-pą, ale tym, co pani Swann nazwałaby „baby”. Opuściwszy nas wreszcie, księżna spacerowała dalej po promenadzie zalanej słońcem, gnąc swoją wspaniałą talię, która, niby wąż dokoła laseczki, oplatała się dokoła białej umbrelki z niebieskim wzorem, słu-żącej pani de Luxembourg za oparcie. Była to moja pierwsza królewska wysokość, bo księżniczka Matylda co do form nie była wcale „wysokością”. Druga, jak się okaże póź-niej, również miała mnie zdumieć dobrotliwością. Formę uprzejmości wielkich panów, dobrowolnych pośredników między panującymi a mieszczaństwem, poznałem nazajutrz, kiedy pani de Villeparisis oświadczyła nam:

— Zachwycona jest państwem. To kobieta wielkiego rozumu, wielkiego serca. Inna jest niż wiele panujących lub księżniczek krwi. To osoba rzetelnej wartości.

I pani de Villeparisis dodała z przekonaniem, uszczęśliwiona, że nam to może powie-dzieć:

— Sądzę, że byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby mogła państwa spotkać jeszcze.

Ale tego samego rana, rozstawszy się z panią de Luxembourg, pani de Villeparisis powiedziała mi coś, co mnie bardziej uderzyło i co nie trąciło zdawkową uprzejmością:

— Czy pan jest synem dyrektora departamentu w ministerstwie, spytała. A! zdaje się, że pański ojciec to przemily człowiek. Odbywa bardzo piękną podróż w tej chwili.

Kilka dni przedtem dowiedzieliśmy się z listu mamy, że ojciec i jego towarzysz, pan de Norpois, zgubili bagaże.

— Znalazły się lub raczej nie zginęły, oto co się stało — rzekła pani de Villeparisis, która (nie wiedzieliśmy jak) robiła wrażenie, że jest o wiele lepiej od nas poinformowana o szczegółach podróży. — Sądzę, że pański ojciec przyspieszy swój powrót i że wróci w przyszłym tygodniu, bo najpewniej wyrzeknie się podróży do Algeciras. Ale ma ochotę poświęcić jeden dzień więcej na Toledo, bo jest wielkim miłośnikiem pewnego ucznia Tycjana, nazwiska nie pamiętam, którego można oglądać tylko tam.

I zastanawiałem się, jakim cudem w obojętnej lunecie, przez którą pani de Villeparisis oglądała z dość daleka zewnętrzną, mikroskopijną i mętną krzątaninę tłumu, ludzi, których znała, znalazł się, w miejscu gdzie oglądała mego ojca, wprawiony kawałek szkła zdumiewająco powiększającego, który sprawiał, iż tak plastycznie i z największymi szczegółami widziała jego sympatyczność, okoliczności zmuszające go do powrotu, jego kłopoty na cle, jego kult dla El Greco, i, zmieniając dla niej skalę widzenia, ukazywał jej tego jedyne go człowieka tak wielkim pośród innych małych, niby owego Jowisza, któremu Gustave Moreau dał, malując go obok wątlej śmiertelniczki, postawę więcej niż ludzką.

Babka pożegnała się z panią de Villeparisis, aby odetchnąć nieco powietrzem przed hotelem, zanim dadzą przez szybę znak, że już podano do stołu. Rozległ się zgiełk. Była to młoda kochanka króla dzikich, która właśnie wzięła kąpiel i wracała na śniadanie.

— Doprawdy to plaga, to można wyemigrować z Francji! — wykrzyknął z wściekłością dziekan, przechodzący w tej chwili. Tymczasem żona reagenta wytrzeszczała oczy na quasi-monarchinię.

— Nie umiem panu powiedzieć, do jakiego stopnia pani Blandais mnie drażni, gapiąc się na tych ludzi. Chętnie bym jej dał za to po papie. W ten sposób daje się ważność tej hołocie, która oczywiście tylko tego pragnie, aby się nią zajmować. Niechże pan powie panu Blandais, że to jest śmieszne; ja się już z nimi nie pokażę nigdzie, jeżeli będą tak zwracali uwagę na pajaców.

Zjawienie się księżnej de Luxembourg, której powóz zatrzymał się przed hotelem owego dnia, kiedy przywiozła owoce, nie uszło uwagi rejency, dziekanowej i prezydentowej, już od pewnego czasu pałających żądzą dowiedzenia się, czy ta pani de Villeparisis, traktowana — oby niezasłużenie, w marzeniu tych pań — z takim szacunkiem, jest prawdziwą markizą, a nie awanturnicą. Kiedy pani de Villeparisis przechodziła przez hall, prezydentowa, która wszędzie wietrzyła „ładacznice”, podnosiła nos sponad robótki i patrzyła na nią w sposób rozśmieszający do łez jej przyjaciółki.

— Och, ja, wiecie moje panie — mówiła z dumą — ja zawsze zaczynam od przypuszczenia tego, co najgorsze. Wierzę, iż kobieta jest naprawdę zamężna dopiero wtedy, kiedy mi pokażą metryki i akt rejentalny. Zresztą nie bójcie się, już ja przeprowadzę swoje śledztwo.

I każdego dnia te panie przybiegały, śmiejąc się:

— Przychodzimy po nowiny.

Ale w dniu wizyty księżnej de Luxembourg, prezydentowa położyła palec na ustach:

— Są nowości.

— Och! nadzwyczajna jest ta pani Poncin! Mówże pani, co takiego?

— To takiego, że kobieta z żółtymi włosami, uszminkowana na cał grubo, w powozie na miłą pachnącym utrzymanką, takim, jak mają tylko te panny, była tu przed chwilą z wizytą do rzekomej markizy.

— Ojoj! Ładna historia! ależ o tej damulce, którą spotkaliśmy, przypomina sobie dziekan, od razuśmy sobie powiedzieli, że wygląda bardzo podejrzanie; ale nie wiedzieliśmy, że ona jechała do markizy. Kobieta z Murzynem, prawda?

— Właśnie, właśnie.

— Och! Tum cię czekał! Nie znacie panie jej nazwiska?

— Owszem, udało mi się, że się pomyliła, wzięłam jej bilet; przeważała się „księżna de Luxembourg”. Czy nie miałam racji podejrzewać! To przyjemne stykać się z czymś w rodzaju baronowej d’Ange z *Półświatka*.

Tu dziekan zacytował prezydentowi Mathurina Régnier i *Macette*.

Nie trzeba zresztą przypuszczać, aby to nieporozumienie było chwilowe, na kształt tych, które się piętrzą w drugim akcie farsy, aby się rozproszyć w trzecim. Pani de Luxembourg, siostrzenica króla angielskiego i cesarza austriackiego, oraz pani de Villeparisis uchodziły stale, kiedy jechały powozem księżnej na spacer, za dwie hultajki z rodzaju tych, od których najtrudniej się uchronić w miejscach kąpielowych. Trzy czwarte mężczyzn z Faubourg Saint-Germain uchodzi w oczach znacznej części mieszczaństwa za plugawych golców (czym zresztą bywają czasem indywidualnie), za ludzi nieprzyjmowanych nigdzie. Mieszczaństwo ma o tym pojęcie zbyt dobroduszne, bo skazy tych panów nie przeszkodziłyby im bynajmniej znajdować najlepszego przyjęcia tam, gdzie zacny mieszczanin nie dostanie się nigdy. A oni tak dalece wyobrażają sobie, iż mieszczaństwo o tym wie, że silą się w tym, co się ich tyczy, na prostotę, szkalując równocześnie swoich szczególnie skrachowanych przyjaciół, co dopełnia miary nieporozumienia. Wielki pan jest, dajmy na to, w stosunkach z drobnym mieszczaństwem, ponieważ, będąc bardzo bogaty, piastuje przypadkowo prezesurę wielkich towarzystw akcyjnych. Burżuazja, widząc wreszcie arystokratę godnego być wielkim mieszczaninem, przysięgłaby, że on nie przestaje z pewnym margrabią, graczem i bankrutem, którego mieszczanin uważa za tym bardziej pozbawionego stosunków, im jest grzeczniejszy. I nie może ochłonąć, kiedy książę pan, prezes rady nadzorczej kolosalnego interesu, żeni syna z córką owego margrabię, gracza, ale człowieka o najstarszym we Francji nazwisku; tak samo jak panujący raczej żeni syna z córką zdetronizowanego króla niż z córką funkcjonującego prezydenta republiki. Znaczy to, że owe dwa światy mają o sobie wzajem pojęcia równie chimeryczne, jak je mają mieszkańcy plaży na jednym krańcu zatoki Balbec o plaży znajdującej się na drugim krańcu; z Rivebelle widać trochę Marcouville l'Orgueilleuse; ale właśnie to myli, bo przypuszczamy, że nas widać z Marcouville, skąd, przeciwnie, splendory Rivebelle są przeważnie niedostrzegalne.

Lekarz z Balbec, wezwany do mnie z powodu ataku gorączki, uznał, że nie powinien pozostawać cały dzień nad morzem w pełnym słońcu w największy upał. Nakreślił dla mnie parę recept; babka wzięła je z pozornym szacunkiem, w którym poznałem natychmiast niezłomne postanowienie nieużycia żadnej, ale uwzględniła zalecenia lekarza z zakresu higieny i przyjęła propozycję pani de Villeparisis, która ofiarowała się brać nas na spacer powozem. Aż do śniadania chodziłem tam i z powrotem od siebie do pokoju babki. Jej pokój nie wychodził wprost na morze jak mój, ale miał okna na trzy różne strony; na plażę, na dziedziniec i na pole. Umieblowany też był inaczej: miał wielkie fotele haftowane metalowym filigranem w różowe kwiaty, zdające się wydzielać miłą i świeżą woń, którą czuło się wchodząc. I o tej godzinie, kiedy promienie, pochodzące z różnych oświetleń i jakby z różnych godzin, łamały kąty ścian i obok odbłasku plaży wznosiły na komodzie ołtarzyk pstry jak kwiaty na ścieżce, wieszały na ścianie zwinięte, drżące i ciepłe skrzydła jasności gotowej znów wzlecieć, grzały jak kąpiel kwadrat dywanika przed oknem od dziedzińca, które słońce stroiło niby liściem wina, przydawały czaru i różnaitości meblom, cieniuąc kwiecisty jedwab foteli i rzeźbiąc ich pasmanterie, ten pokój, do którego wstępowałem na chwilę, zanim się przebrałem na spacer, robił wrażenie pryzmatu rozkładającego światło, wrażenie ula, gdzie soki czekającego mnie dnia były rozpuszczone, rozproszone, upajające i widzialne — ogrodu nadziei, roztopionego w drganiu srebrnych promieni i płatków róży. Ale przede wszystkim rozsunałem firanki z żądzą sprawdzenia, jakie jest Morze igrające tego ranka na brzegu niby nereida. Bo żadne z owych Mórz nie trwało dłużej niż jeden dzień. Nazajutrz było już inne, czasem podobne do tamtego. Ale nie było nigdy dwa razy jednakie.

Bywały morza o piękności tak rzadkiej, że na ich widok radość moja rosła jeszcze od niespodzianki. Mocą jakiego przywileju, raczej w ten ranek niż w inny, uchylone okno odsłaniało moim zachwyconym oczom nimfę Glaukonomene, której leniwa i miękko oddychająca uroda miała przejrzystość mglistego szmaragdu, pozwalającego oku oglądać przypływ ważkich elementów, które go barwiły? Niby owe boginie, które rzeźbiarz wylania z bloku, nie racząc go ociosać, pozwalała z omdlałym uśmiechem igrać słońcu w niewidzialnej mgłę, będącej jedynie pustą przestrzenią dokoła jej przejrzystej powierzchni, bardziej przez to zgęszczonej i przejmującej. Tak, w swoim jedynym kolorze, morze zapraszało nas na przejażdżkę po owych pospolitych i ziemnych drogach, skąd, siedząc

w powozie pani de Villeparisis, widzieliśmy przez cały dzień, i nigdy go nie dosięgając, chłód jego miękkiego pulsowania.

Pani de Villeparisis polecała zaprzęgać wcześniej, iżbyśmy mieli czas dotrzeć bądź do Saint-Mars-le-Vêtu, bądź do skał Quetteholme, lub do jakiegoś innego celu, który przy dosyć powolnej jeździe był nader odległy i wymagał całego dnia. Uszczęśliwiony długim spacerem, jaki mieliśmy przed sobą, nuciłem świeżo zasłyszaną melodyjkę i wałęsałem się przed hotelem, czekając, aż pani de Villeparisis będzie gotowa. Jeżeli to była niedziela, nie sam powóz margrabiny stał przed hotelem; kilka wynajętych fiaków czekało nie tylko na osoby zaproszone na wieś do pani de Cambremer, ale na te, które (nie chcąc wyglądać jak dzieci za karę zostawione w domu) oznajmiały, że niedziela to jest w Balbec dzień bardzo nudny i jechały zaraz po śniadaniu skryć się na sąsiedniej plaży lub zwiedzić jakieś okolice. Często nawet, kiedy się ktoś spytał pani Blandais, czy była u Cambremerów, odpowiadała: „Nie, byliśmy u wodospadów Bec”, jak gdyby to był jedyny powód, dla którego nie spędziła dnia w Fêterne. I dziekan powiadał miłosiernie:

— Zazdroszczę państwu, byłbym się chętnie z wami zamienił, to grubo bardziej interesujące.

Przed bramą, gdzie czekałem, tkwił obok powozów, niby rzadkiego gatunku krzew, młody „strzelec”, zwracający uwagę osobliwą harmonią swoich barwnych włosów, jak również swoją roślinną cerą. Wewnątrz, w hallu będącym niby *narteks* lub *kościół katechumenów* w kościołach romańskich i pozwalającym przejścia osobom niemieszkającym w hotelu, koledzy owego grooma stojącego przed bramą pracowali nie o wiele więcej, ale wykonywali bodaj jakieś ruchy. Prawdopodobne jest, iż rano pomagali sprzątać. Ale popołudniu znajdowali się tam jedynie niby chórzyci, którzy nawet w chwilach, gdy nie służą do niczego, zostają na scenie, aby pomnożyć liczbę statystów. Generalny dyrektor, ten, który mnie tak straszyl, spodziewał się pomnożyć znacznie ich liczbę na przyszły rok, wszystko bowiem widział na wielką skalę. I ta jego decyzja bardzo martwiła dyrektora hotelu, uważającego, że wszystkie te chłopaki „robią tylko destrukcję”, rozumiejąc przez to, że zatarasowują przejście, a nie służą do niczego. Ale między śniadaniem a obiadem, między wyjściem a powrotem klientów wypełniali bodaj luki akcji; jak owe wychowanki pani de Maintenon, które w kostiumach młodych Izraelitek wypełniają scenę, ilekroć Estera lub Joad się oddała. Ale sterczący na dworze „strzelec” o subtelnych tonach, o smukłej i wątlej postaci, opodal którego oczekiwałem przybycia margrabiny, zachowywał nieruchomość, z którą kojarzyła się melancholia, bo jego starsi bracia porzucili hotel dla świetniejszych losów, a on czuł się samotny na tej obcej ziemi.

Wreszcie zjawiała się pani de Villeparisis. Zająć się jej powozem i wsadzić ją do niego wchodziłoby może w funkcje „strzelca”. Ale on wiedział, że osoba, która przywozi ze sobą własny personel i daje się obsługiwać swoim ludziom, mało zazwyczaj zostawia napiwków w hotelu; i że wysoka arystokracja postępuje tak samo. Pani de Villeparisis należała równocześnie do obu kategorii. Roślinny strzelec wyciągnął stąd wniosek, że nie ma się czego spodziewać; zaczem, zostawiając zarządzającemu oraz prywatnej pokojówce margrabiny troskę o usadowienie jej wraz z rzeczami, dumal smutno o szczęsnej doli braci i trwał w bezruchu swojej wegetacji.

Ruszaaliśmy; niebawem, okrążywszy stację kolejową, wjeżdżaliśmy na drogę wiejską, która wkrótce stała mi się równie znajoma jak drogi w Combray, od zakrętu, gdzie się wikłała w uroczę zagrody, aż do miejsca, gdzieśmy ją opuszczali i gdzie rozciągały się po obu stronach uprawne pola. Wśród tych pól widziało się tu i ówdzie jabłoni, pozbawioną co prawda kwiatów i dźwigającą już tylko bukiety słupków, ale wystarczającą, aby mnie oczarować, poznawałem bowiem owe nieporównane liście, których szeroka powierzchnia, niby dywan na estradzie po skończonej już uczcie weselnej, była świeżo zamieciona białym atlasowym trenem rumieniących się kwiatów.

Ileż razy w Paryżu, w maju następnego roku, zdarzyło mi się kupić w kwiaciarni gałąź jabłoni i spędzić potem noc, patrząc na te kwiaty, gdzie błyszczła ta sama kremowa esencja, pudrująca jeszcze swoją pianą zawiązki liści! Rzekłoby się, iż to kwaciarz, przez uprzejmość dla mnie, przez pomysłowość także i dla efektownego kontrastu, pomieścił między ich białymi płatkami z każdej strony ładny różowy pączek; patrzyłem na nie, ustawiałem je pod lampą, tak długo, że często trwałem tak jeszcze, kiedy jutrzienka przydawała im tej samej czerwieni, jaką musiała rodzić o tym czasie w Balbec. I sililem

się przenieść je wyobraźnią na tę drogę w Balbec, mnożyć je, rozmieścić w przygotowanej ramie, na gotowym już płótnie owych zagród, których rysunek umiałem na pamięć i które tak byłbym pragnął ujrzeć — które pewnego dnia miałem ujrzeć — w chwili gdy z czarującą werwą geniuszu wiosna pokrywa ich kanwę swymi kolorami.

Zanim wsiedliśmy do powozu, skomponowałem sobie obraz morza, którego miałem szukać, które spodziewałem się oglądać wraz z „promiennym słońcem”. Widziałem je w Balbec jedynie pokawałkowane wśród tyłu pospolitych wycinków, nieuznawanych przez moje marzenie: letnicy, kabiny, spacerowe jachty. Ale kiedy powóz pani de Villeparisis przybywał na szczyt zbocza i kiedym oglądał morze poprzez liście drzew, wówczas z daleka zniknęły niechybnie owe współczesne szczegóły, mieszczące je jak gdyby poza naturą i historią; i daremnie, patrząc na fale, siliłem się pamiętać, że to są te same, które Leconte de Lisle maluje nam w *Orestei*, kiedy, „niby drapieżnych ptaków lot w jutrzeńki blasku”, długowłosi woje bohaterskiej Hellady „stu tysiącami wiosł bili dźwięczną falę”. Ale w zamian nie byłem już dość blisko morza, które nie wydawało mi się żyjące, ale skrzepłe; nie czułem już potęgi pod tymi farbami rozpostartymi niby na obrazie między liśćmi, gdzie morze ukazywało się równie niestałe jak niebo i tylko od niego ciemniejsze.

Widząc, że Kocham kościoły, pani de Villeparisis przyrzekła mi, że pojedziemy kiedyś obejrzeć jeden, to znów kiedy indziej drugi, zwłaszcza kościół w Carqueville, „cały schowany pod starym bluszczem”, mówiła margrabina, jak gdyby gestem wdzięcznie spowijając urojoną fasadę w niewidzialne i delikatne listowie. Pani de Villeparisis znajdowała często, wraz z tym lekkim ilustrującym gestem, trafne słowa dla określenia uroku i odrębności jakiejś budowli, unikając zawsze terminów technicznych, ale nie mogąc ukryć, iż bardzo dobrze zna się na tym, o czym mówi. Usprawiedliwiała się jak gdyby tym, że jeden z zamków jej ojca, gdzie się chowała, znajdował się w okolicy posiadającej kościoły tego samego stylu co dokoła Balbec; byłby tedy wstyd, gdyby nie nabrała pasji do architektury, ile że sam ów zamek był zresztą wspaniałym okazem renesansowego budownictwa. Ale że był on zarazem prawdziwym muzeum — grywali tam Chopin i Liszt, mówił tam wiersze Lamartine, wszyscy znani artyści całej epoki wpisywali tam w rodzinne album myśli, melodie, szkice — pani de Villeparisis przez wdzięk, przez dobre wychowanie, przez istotną skromność lub przez brak filozoficznego zmysłu, przytaczała jedynie owo czysto materialne źródło swojego znanstwa we wszystkich sztukach, tak iż w końcu robiło to wrażenie, że uważa malarstwo, muzykę, literaturę i filozofię za wiano młodej panny, najarystokratyczniej wychowanej w skatalogowanym i sławnym zabytku. Można by rzec, że nie istnieją dla niej inne obrazy prócz tych, które się odziedziczyło. Rada była, że babce podoba się naszyjnik wyglądający jej zza stanika. Znajdował się na portrecie jakiejś prababki, pędzla Tycjana, portrecie, który nigdy nie wyszedł z rodziny. W ten sposób miało się pewność, że jest prawdziwy. Nie chciała słyszeć o obrazach kupionych nie wiadomo jak przez jakiegoś krezusa; była z góry przekonana, że są fałszywe i nie miała żadnej ochoty ich oglądać. Wiedzieliśmy, że sama margrabina maluje kwiaty akwarelą; babka, która słyszała pochlebne rzeczy o jej sztuce, wspomniała o tym. Pani de Villeparisis odmieniła rozmowę przez skromność, ale nie okazując więcej zdziwienia i przyjemności niż mogłaby ich okazać znana artystka, której komplementy nie mówią nic nowego. Powiedziała tylko, że to jest rozkoszne spędzenie czasu, bo jeżeli kwiaty zrodzone z pędzla nie są nadzwyczajne, to przynajmniej malując je, żyje się w towarzystwie kwiatów naturalnych, których pięknnością — zwłaszcza gdy je trzeba oglądać z bliska, aby je naśladować — nie podobna się znużyć. Ale w Balbec pani de Villeparisis używała sobie urlopu, aby dać odpocząć oczom.

Byliśmy z babką zdziwieni, widząc, o ile margrabina jest bardziej „liberalna”, niż bywa nawet przeważna część mieszczaństwa. Dziwiła się, że się ktoś gorszy wypędzeniem jezuitów; powiadała, że to się zawsze praktykowało, nawet za monarchii, nawet w Hiszpanii. Broniła republiki, której wyrzucała antyklerykalizm jedynie w tej mierze: „Uważałabym za równie nieznośne, gdyby mi zabraniano iść na mszę, o ile mam ochotę, co gdyby mnie zmuszano do tego, jeżeli nie chcę”. Puszczala się nawet na powiedzenia w tym rodzaju: „Och, dzisiaj szlachectwo, cóż to znaczy!”, „Dla mnie, człowiek, który nie pracuje, to jest nic”; może jedynie dlatego, że czuła, ile takie powiedzenia nabierają pikanterii, smaku, charakteru właśnie w jej ustach. Słyszając owe tak szczerze wyrażane postępowe poglądy — niesięgające jednak aż do socjalizmu, prawdziwej zmory pani de Villeparisis — wy-

głaszane właśnie przez jedną z owych osób, które, narzucając nam szacunek dla swojej inteligencji, nie pozwalają naszej skrupulatnej i tchórzliwej bezstronności potępić hasła konserwatystów, skłonni byliśmy z babką niemal wierzyć, że w naszej milej towarzysze znajduje się miara i wzór wszelkiej prawdy. Wierzyliśmy na słowo margrabinie, gdy wydawała sądy o swoich Tycjanach, o kolumnadzie w swoim zamku, o dowcipie konwersacji Ludwika Filipa. Bywają erudyci, którzy olśniewają nas, kiedy ich naprowadzić na malarstwo egipskie lub napisy etruskie, natomiast o współczesnych dziełach mówią w sposób tak banalny, iż zapytujemy sami siebie, czyśmy nie przecenili wartości nauk, w których są biegli, skoro nie ujawnia się w nich ta sama tępota, jaką musieli przecie w nie wnieść, równie dobrze jak w swoje płaskie studium o Baudelaire. Podobnie pani de Villeparisis, pytana przeze mnie o Chateaubrianda, o Balzaka, o Wiktora Hugo, bywających niegdyś u jej rodziców i znanych jej osobiście, śmiała się z mojego podziwu, opowiadała o nich dowcipne historyjki, jak je dopiero co opowiadała o wielkich panach lub o mężach stanu, i surowo sądziła tych pisarzy, właśnie dlatego, że im brakło owej skromności, owego usuwania się w cień, owego umiaru, który się zadowala jednym rysem i nie podkreśla, unikając ponad wszystko śmieszności frazeologii; owej przytomności umysłu, trafności sądu, prostoty, do których (jak ją uczono) wznoszą się umysły prawdziwie wartościowe. Widać było, że margrabina bez wahania przekłada ludzi, którym może w istocie zalety te dawały przewagę nad takim Balzakiem, nad Wiktorem Hugo, Alfredem de Vigny, w salonie, w Akademii, na radzie ministrów — ludzi jak Molé, Fontanes, Vitrolles, Bersot, Pasquier, Lebrun, Salvandy lub Daru.

— To tak jak powieści Stendhala, które, jak widzę, ceni pan tak wysoko. Byłby go pan bardzo zdziwił, mówiąc do niego w tym tonie. Ojciec mój, który go widywał u pana Mérimée (to był przynajmniej człowiek z talentem!) często mówił mi, że Beyle (tak się nazywał) był straszliwy ordynus, ale nie bez dowcipu przy stole, i że nie przywiązywał zbytnej wagi do swoich książek. Zresztą musiał pan zauważyć, jakim wzruszeniem ramion przyjął przesadne pochwały pana de Balzac. W tym przynajmniej okazał się człowiekiem dobrego towarzystwa.

Margrabina miała autografy wszystkich tych wielkich ludzi i podkreślając osobiste stosunki, jakie rodzina jej utrzymywała z nimi, zdawała się przeświadczona, że jej sąd trafniejszy jest niż sąd młodych ludzi, którzy, jak ja, nie mogli ich znać.

— Mogę chyba o nich mówić, bo bywali u mego ojca; i jak powiadał pan Sainte-Beuve, człowiek bardzo inteligentny, trzeba w tym względzie wierzyć osobom, które ich widywały z bliska i mogły ściśle osądzić, co byli warci.

Czasami, gdy powóz wspinał się pod górę między uprawnymi polami, kilka niepewnych bławatków, przypominających mi Combray, biegło za nami, czyniąc pola czymś bardziej realnym, przydając im znamię autentyczności, niby ów szacowny kwiatek, jakim niektórzy dawni mistrze sygnowali swoje obrazy. Niebawem konie wyprzedzały je, ale po kilku krokach spostrzegaliśmy jakiś inny, który, czekając na nas, zatknął przed nami w trawie swoją niebieską gwiazdę; niektóre ośmielały się do tego stopnia, że przystawały na skraju drogi: była to istna mgławica, tworząca się z moich dalekich wspomnień i z oswojonych kwiatów.

Zjeżdżaliśmy w dół; wówczas mijaliśmy jakąś ludzką istotę, wstępującą na zбочce pieszo, na bicyklu, w kariołce lub powozem, dziewczynę wiejską pędzącą krowę lub wół leżącą na wózku, córkę sklepiarza zażywającą przechadzki, wykwinną pannę siedzącą na przedzie landa na wprost rodziców — kwiaty pogodnego dnia, ale niepodobne kwiatom polnym, bo każdy z nich kryje coś, czego nie ma w tamtych i co nie pozwoli nam znaleźć w innych, podobnych mu, zadowolenia pragnień, jakie w nas zrodził... Niewątpliwie, Bloch otworzył mi nową erę i zmienił dla mnie wartość życia w dniu, gdy mnie pouczył, iż marzenia, które nosiłem samotnie w stronę Méséglise, kiedy pragnąłem zjawienia się wieśniaczki, aby ją wziąć w ramiona, nie są chimerą pozbawioną wszelkiej realności poza mną, ale że wszystkie spotykane dziewczyny, wieśniaczki czy panny z miasta, gotowe są tych pragnień wysłuchać. I choćbym miał — teraz, kiedy byłem cierpiący i nie wychodziłem sam — nigdy nie zakosztować ich miłości, i tak czułem się szczęśliwy niby dziecko urodzone w więzieniu lub w szpitalu, które, długo wierząc, że organizm ludzki może strawić jedynie suchy chleb lub lekarstwa, dowiedziało się nagle, że brzoskwinie, morele, winogrona, nie są jedynie ornamentem pejzażu, ale rozkosznym i strawnym po-

żywieniem. Nawet jeżeli dozorca lub pielęgniarka nie pozwolą mu zrywać tych pięknych owoców, świat widzi mu się już lepszy, a istnienie znośniejsze. Bo pragnienie wydaje się nam piękniejsze, opieramy się na nim z większą ufnością, kiedy wiemy, że poza nami rzeczywistość odpowiada mu, nawet jeżeli dla nas jest ono niepodobne do ziszczenia. I myślimy z większą radością o życiu, w którym możemy sobie wyobrazić siebie sycących nasze pragnienia pod warunkiem, żebyśmy usunęli na chwilę z naszej myśli przypadkową i specjalną małą przeszkodę, broniącą nam uczynić to osobiście. Od dnia, kiedy się dowiedział, że policzki spotykanych dziewcząt można całować, stałem się ciekaw ich duszy. I wszechświat wydał mi się bardziej interesujący.

Powóz pani de Villeparisis jechał szybko. Ledwie miał czas przyjrzeć się dziewczęciu idącemu w naszym kierunku. Piękność ludzka nie jest jak uroda rzeczy; czujemy, że jest pięknością istoty jedynej, świadomej i obdarzonej wolą. Toteż z chwilą, gdy osobowość tej dziewczyny, jej nieuchwytna dusza, nieznana mi wola, wyraziła się małym, cudownie zmniejszonym, ale pełnym obrazem w jej nieuważnym spojrzeniu, już — niby tajemnicza kopia pyłków przeznaczonych dla słupka — czułem, iż we mnie drży równie nieokreślony, równie maleńki embriion żądzy, aby nie dać przejść tej dziewczynie, zmusić jej myśl, by przyjęła do świadomości moją osobę, zabronić jej pragnieniom biec do kogokolwiek innego, wcisnąć się w jej marzenia i ovladnąć jej sercem. Tymczasem powóz oddalał się, piękna dziewczyna była już za nami, że zaś nie posiadała o mnie żadnego z pojęć tworzących osobowość, oczy jej, które zaledwie mnie widziały, już zapomniały o mnie. Czy dlatego, że ją ujrzał ledwie w przelocie, wydała mi się tak piękna? Może. Niepodobieństwo zatrzymania się przy kobiecie, ryzyko, że się jej nie odnajdzie innego dnia, dają jej nagle i od razu ten sam urok, jaki obcemu krajowi daje choroba czy ubóstwo niepozwalające go nam zwiedzić lub jaki bezbarwnym dniom, pozostałym nam do życia, daje walka, w której zapewne padniemy. Tak iż gdyby nie przyzwyczajenie, życie musiałoby się wydać rozkoszne istotom zagrożonym w każdej godzinie śmiercią — to znaczy wszystkim ludziom. Następnie, o ile wyobraźnię porywa żądza tego, czego nie możemy posiadać, rozpędu jej nie ogranicza dokładnie doznana rzeczywistość w owych spotkaniach, w których wdzięki mijanej osoby są zazwyczaj w prostym stosunku do szybkości mijania jej. Niech tylko zapadnie zmrok, a powóz niech jedzie szybko, na wsi czy w mieście, a każdy tors kobiecy, uszkodzony niby starożytny marmur przez szybkość, która nas porywa, i zmierzch, który go roztopia, będzie miotał w nasze serce, na każdym zakręcie drogi, z głębi każdego sklepu, strzały Piękności. I mielibyśmy czasem chęć zapytać, czy piękność jest w tym świecie czym innym niż dopełnieniem, jakie nasza podniecona żalem wyobraźnia przydaje fragmentarycznym i ulotnym kształtom mijanej osoby.

Gdybym mógł zejść porozmawiać z dziewczyną, którąśmijaliśmy, może by mnie rozczarowała jakaś skaza jej skóry, niezauważona z powozu? (I wówczas wszelki wysiłek dla wnikięcia w jej życie wydałby mi się nagle niemożliwy. Bo piękność jest ciągiem hipotez, które zwęża brzydota, zamykając drogę już się otwierającą w nieznanne). Może jedno słowo tej dziewczyny, jeden uśmiech, dostarczyłyby mi nieoczekiwanego klucza, szyfru, dla odczytania wyrazu jej twarzy i jej chodu, które natychmiast stałyby się banalne. Możliwe, bo nigdy nie spotkałem w życiu równie ponętnych dziewczyn jak w dniu, gdy towarzyszył jakiejś poważnej osobie, której, mimo tysiąca wyszukiwanych pozorów, nie mogłem opuścić. W kilka lat po moim pierwszym pobycie w Balbec, jadąc w Paryżu powozem z przyjacielem ojca i spostrzegłszy kobietę idącą szybko w ciemności, pomyślałem, że byłoby szaleństwem stracić dla konwenansu swoją część szczęścia w jedynym życiu, jakie zapewne istnieje; jakoż, wyskoczywszy z powozu bez usprawiedliwienia się, pobiegłem za nieznaną, straciłem ją na zbiegu dwóch ulic, dopadłem ją w trzeciej i znalazłem się wreszcie, bez tchu, pod latarnią, na wprost starej Verdurin, której unikałem wszędzie i która, szczęśliwa i zdziwiona, wykrzyknęła: „Och! jak to uprzejmie z pana strony tak biec po to, żeby się ze mną przywitać?”

Tego roku w Balbec, w chwili takich spotkań, upewniałem babkę i panią de Villeparisis, że mnie rozboleła głowa i że dobrze mi zrobi wrócić pieszo. Nie pozwalały mi wysiąść. I dołączałem ładną dziewczynę (o wiele trudniejszą do odnalezienia niż jakiś zabytek, bo była bezimienna i ruchoma) do kolekcji wszystkich tych, które sobie przyrzekłem ujrzeć z bliska. Jedna tylko zjawiła mi się ponownie w okolicznościach takich, że myślałem, iż mógłbym ją poznać, jak pragnąłem. Była to mleczarka, przynosiła ze

Piękno

wsi śmietankę do hotelu. Myślałem, że i ona mnie poznała; w istocie patrzała na mnie z uwagą, jaką wywołało może jedynie zdziwienie, że ja się jej tak przyglądam. Otóż nazajutrz, w dniu, kiedy leżałem całe rano, Franciszka, przyszedłszy rozsunać koło południa firanki, oddała mi list, zostawiony dla mnie w hotelu. Nie znałem nikogo w Balbec. Nie wątpiłem, że list jest od mlecarki. Niestety, był od pana Bergotte, który w przejeździe próbował się ze mną zobaczyć, ale dowiedziawszy się, że śpię, zostawił mi przemyślnie kilka słów. Chłopiec od windy włożył jego bilet w kopertę z adresem, który wziąłem za pismo mlecarki. Uczułem straszliwy zawód; myślałem, że trudniej i pochlebniej jest mieć list od Bergotte'a, nie pocieszała mnie zgoła w tym, że to nie był list od mlecarki. I owej dziewczyny również nie odnalazłem, tak samo jak tych, którym widziałem jedynie z powozu pani de Villeparisis. Widok i utrata ich wszystkich wzmagały stan podniecenia, w jakim żyłem; zaczynałem rozumieć mądrość filozofów, zalecających nam ograniczyć nasze pragnienia (o ile, rozumie się, mają na myśli pragnienie jakiejś istoty, jedyne zdolne zrodzić w nas niepokój, jako mające za cel Nieznane Świadome. Przypuścić, iż filozofia mówi o pragnieniu bogactw, byłoby zbyt niedorzeczne). Mimo to, byłem skłonny uważać tę mądrość za niepełną, powiadałem sobie bowiem, iż spotkania te każą mi znajdować jeszcze piękniejszym świat, gdzie tak po wszystkich wiejskich drogach rosną kwiaty osobliwe i pospolite zarazem, ulotne skarby dnia, gratki spaceru, dające nowy smak życiu, z których jedynie przypadkowe warunki (a te może nie będą się powtarzały zawsze) przeszkodziły mi skorzystać.

Ale może, spodziewając się, iż któregoś dnia, swobodniejszy, mógłbym spotkać na innych drogach podobne dziewczyny, zacząłem już fałszować to, co jest wyłącznie indywidualnego w pragnieniu życia obok kobiety, która się nam wydała ładna; i przez fakt, że dopuszczałem możliwość wywołania go sztucznie, uznawałem tym samym jego złudność.

Jednego dnia pani de Villeparisis zawiozła nas do Carqueville, gdzie się znajduje ów obrosły bluszczem kościół, o którym wspominała. Zbudowany na pagórku, góruje nad wsią, nad rzeką przepływającą przez wieś, gdzie zachował się jakiś średniowieczny mostek. Babka, myśląc, że rad będę zostać sam, aby się przyjrzeć kościołowi, zaproponowała przyjaciółce podwieczorek w cukierni na rynku, który widać było wyraźnie i który, w swojej złocistej patynie, stanowił niby inną część jakiegoś starożytnego przedmiotu. Umówiliśmy się, że się tam spotkamy. Aby rozpoznać kościół w bloku zieloności, przed którym mnie zostawiono, trzeba było uczynić wysiłek, dający mi głębiej wniknąć w ideę kościoła. W istocie, jak zdarza się uczniom, pełniej ogarniającym sens zdania, kiedy się im każe dla ćwiczenia rozebrać je z form, do jakich przywykli, musiałem sobie wciąż tutaj uprzytomniać ideę kościoła, której zazwyczaj prawie nie potrzebowałem wobec wież rysujących się wyraźnie; musiałem odwoływać się do niej, aby nie zapomnieć tu, że wierzchołek tego bluszczowego gąszczu jest sklepieniem gotyckiego okna, ówdzie, że wykusz liści wynika z wypukłości gzymsu. Ale wówczas zrywał się lekki wiatr, wstrząsał ruchomą kruchną, którą przebiegały dreszcze przeciągłe i drżące jak światło, liście trącały się o siebie wzajem, i roślinna fasada, cała drżąca, pociągała z sobą płynne, puszczone i chwiejące się filary.

Kiedy opuszczałem kościół, ujrzałem koło starego mostu dziewczęta wiejskie, które, z pewnością dlatego, że to była niedziela, stały wystrojone, nawołując przechodzących chłopaków. Była wśród nich roślina dziewczyna o poważnej i energicznej twarzy, mniej strojna od innych, ale jak gdyby górująca czymś nad nimi, bo ledwie odpowiadała na to, co do niej mówiły. Wpół siedząc ze zwieszonymi nogami na poręczy mostu, miała przed sobą garnek pełen ryb, które zapewne dopiero co złowiła. Miała smagłą cerę, oczy łagodne, ale o spojrzeniu jakby wzdorczym dla tego, co ją otaczało, kształtny i uroczy nosek. Spojrzenia moje kładły się na jej skórze, a wargi moje mogły ostatecznie wierzyć, że towarzyszyły moim spojrzeniom. Ale nie tylko jej ciało byłbym chciał dotknąć; także osobę, która w nim żyła i której można dotknąć tylko w jeden sposób, to znaczy ściągając jej uwagę, a wniknąć w nią jedynie budząc w niej myśl.

I ta wewnętrzna istota pięknej rybaczki zdawała mi się jeszcze zamknięta; powątpiewałem, czym w nią się wdarł, nawet kiedy ujrzałem własny obraz odbijający się ukradkiem w zwierciadle jej spojrzenia, wedle prawideł refrakcji, równie mi nieznanym, co gdybym się znalazł w polu widzenia łani. Ale tak samo jak nie byłoby mi wystarczyło, aby wargi moje wzięły rozkosz z jej warg, lecz byłbym chciał, aby ją dały i jej, tak samo chciałbym,

aby pojęcie *mnie*, wchodząc w tę istotę, zajął się w niej, ściągnęło na mnie nie tylko jej uwagę, ale i podziw, i pragnienie, i aby ją zmusiło do zachowania mego wspomnienia aż do dnia, gdy mógłbym ją odnaleźć. Tymczasem widziałem o kilka kroków miejsce, gdzie mnie miał oczekiwać powóz pani de Villeparisis. Miałem tylko jedną chwilę; już czułem, że dziewczęta zaczynają chichotać z tego, że tak przystanął. Miałem pięć franków w kieszeni. Wyjąłem je i zanim wytłumaczyłem pięknej dziewczynie swoje zlecenie, pragnąc mieć więcej szans, że mnie posłucha, trzymałem przez chwilę pieniądź przed jej oczami:

— Mam wrażenie, że pani jest tutejsza — rzekłem do rybaczki — czy byłaby pani tak dobra załatwić dla mnie pewien drobiazg? Trzeba by przejść do cukierni, znajdującej się podobno na rynku, ale nie wiem ściśle gdzie; tam czeka na mnie powóz. Niech pani czeka!... Dla uniknięcia pomyłki, zapyta pani, czy to jest powóz margrabiny de Villeparisis. Zresztą pozna go pani, jest dwukonny.

To chciałem, żeby wiedziała, aby zyskała o mnie wysokie pojęcie. I kiedym wymówił słowa „margrabina” i „dwukonny”, nagle doznałem wielkiego ukojenia. Uczułem, że rybaczka zapamięta mnie, i wraz z lękiem, że jej nie zdołam odszukać, rozproszyła się w znacznej mierze i żądza odszukania jej. Miałem uczucie, że dotknął niewidzialnymi wargami jej osoby i że się jej spodobałem. I to wzięcie jej duszy przemocą, to niematerialne posiadanie, odjęło dziewczynie tyleż tajemnicy, ile mogłoby odjąć posiadanie fizyczne.

Jechaliśmy w dół ku Hudimesnil; naraz wypełniło mnie owo głębokie szczęście, które nieczęsto odczuwałem od czasu Combray; szczęście analogiczne z tym, jakie mi dały, między innymi, wieże w Martinville. Ale tym razem pozostało ono niepełne. Spostrzegłem poniżej kabłąku wysklepionej drogi, którąśmy jechali, trzy drzewa, znaczące wjazd do zacienionej alei i tworzące rysunek, oglądany przeze mnie jakby nie po raz pierwszy. Nie umiałem rozpoznać miejsca, skąd je jak gdyby wyrwano, ale czułem, że było mi ono niegdyś dobrze znane; i gdy mój duch wahał się tak między jakimś odległym rokiem a chwilą obecną, okolice Balbec zachwiały się i spytałem sam siebie, czy cały ten spacer nie jest fikcją, Balbec miejscem, gdzie był jedynie w wyobraźni, pani de Villeparisis figurą z powieści, a trzy stare drzewa rzeczywistością, którą odnajdujemy, podnosząc oczy znad czytanej właśnie książki, co nam opisywała jakieś miejsce, dając nam wreszcie uwierzyć w naszą w nim obecność.

Patrzałem na trzy drzewa; widziałem je dobrze, ale duch mój czuł, że pokrywają coś, co się umyka jego władzy, niby zbyt daleko pomieszczone przedmioty, których nasze wyciągnięte palce ledwo chwilami dotykają, niezdolne ich pochwycić. Wówczas odpoczywamy chwilę, aby próbować sięgnąć dalej silniejszym rzutem ramienia. Ale, iżby mój duch mógł się tak skupić, wziąć rozmach, na to musiałbym być sam. Jakże byłbym chciał móc się oddalić, jak to czyniłem w czasie spacerów w stronę Guermantes, kiedym się odłączał od rodziców. Zdawało mi się nawet, że powinien bym to uczynić. Poznawałem ów rodzaj przyjemności, który wymaga niewątpliwie pewnej pracy myśli, ale wobec której słodczy lenistwa każącego się nam wyrzec tej pracy wydają się bardzo mierne. Rzadko jedynie doznawałem tej przyjemności, której przedmiot zaledwie przeczuwałem, którą musiałem sam stworzyć, ale za każdym razem miałem uczucie, iż rzeczy dziejące się w przerwach są prawie bez znaczenia i że mógłbym wreszcie rozpocząć prawdziwe życie, czepiając się jego jedynej rzeczywistości.

Zasłoniłem na chwilę oczy, aby moc je zamknąć tak, by pani de Villeparisis tego nie spostrzegła. Trwałem w ten sposób, nie myśląc o niczym, po czym z mojej skupionej, mocniej uchwyconej myśli, skoczyłem dalej w kierunku drzew lub raczej w tym wewnętrznym kierunku, na którego końcu widziałem je w sobie samym. Znów czułem za nimi ten sam przedmiot znany, ale mglisty, którego nie mogłem ściągnąć do siebie. Jednakże, w miarę jak powóz się posuwał, widziałem, jak wszystkie trzy zbliżają się. Gdzie ja już patrzył na nie? Nie było w okolicach Combray żadnego miejsca, gdzie by się aleja otwierała w ten sposób. Nie było również nic podobnego w miejscowości w Niemczech, gdzie był pewnego roku z babką u wód. Miałem przypuszczać, iż pochodzą z tak już odległych lat mojego życia, że otaczający je krajobraz zatracił się całkowicie w mojej pamięci i że, niby stronicie nagle odnalezione ze wzruszeniem w jakimś dziele, o którym sądziliśmy, żeśmy go nigdy nie czytali, wypływały same z zapomnianej książki mego nie-

Drzewo

mowlęctwa? Czy też, przeciwnie, należały do owych krajobrazów oglądanych we śnie, zawsze tych samych, przynajmniej dla mnie, a ich dziwny wygląd był dla mnie jedynie spełnioną we śnie obiektywizacją wysiłku, jaki czyniłem na jawie, czy aby osiągnąć tajemnicę w miejscu, poza którego pozorem przeczuwałem ją, jak mi się to tak często zdarzało w *stronie Guermantes*, czy aby próbować przywrócić tę tajemnicę miejscu, którym pragnął poznać, a które od dnia, gdy je poznałem, wydało mi się całkowicie fikcyjne⁷, jak Balbec? Czy były jedynie obrazem całkiem świeżym, wyrwanym ze snów wczorajszej nocy, ale tak już zatartym, że zdawał mi się znacznie dawniejszy? Lub może nie widziałem tych drzew nigdy i może kryły za sobą, jak jakieś drzewa i trawy widziane w *stronie Guermantes*, sens równie tajemniczy, równie trudny do pochwycenia jak odległa przeszłość; tak iż wzywany przez nie do zgłębienia myśli, sądziłem, że mam rozpoznać wspomnienie? A może nie kryły nawet myśli; może to po prostu znużenie mojej wizji ukazywało mi je podwójnie w czasie, jak się czasem widzi podwójnie w przestrzeni? Nie wiedziałem. Tymczasem one szły ku mnie; może zjawisko mistyczne, ront czarownic lub wiedźm, częstujący mnie swymi wróżbami. Sądziłem raczej, że to są widma przeszłości, drodzy towarzysze mego dzieciństwa, zgubieni przyjaciele, przywołujący nasze wspólne wspomnienia. Niby cienie, zdawały się prosić mnie, abym je wziął z sobą, abym je wrócił życiu. W ich naiwnej i namiętnej gestykulacji rozpoznawałem bezsilny żal istoty kochanej, która straciwszy mowę, czuje, że nie będzie nam mogła wyrazić, czego chce, a czego nie umiemy odgadnąć. Niebawem na skrzyżowaniu dróg powóz opuścił te drzewa. Unosił mnie — podobny w tym do mojego życia — daleko od tego, com uważał za jedynie prawdziwe, od tego, co by mnie uczyniło naprawdę szczęśliwym.

Widziałem, jak drzewa oddalają się, poruszając rozpaczliwie rękami, zdając się mówić do mnie: „Czego się nie dowiesz od nas dzisiaj, nie dowiesz się nigdy. Jeżeli nam pozwolisz opaść na dno tej drogi, skąd sililiśmy się wspiąć do ciebie, ten sekret o tobie, któryśmy ci przynosiły, osunie się na zawsze w nicość”. W istocie, o ile później odnajdywałem rodzaj przyjemności i niepokoju, jakie odczułem w tej chwili jeszcze raz, i jeżeli pewnego wieczora — za późno, ale na zawsze — przywiązałem się do nich, w zamian za to nie dowiedziałem się nigdy, co mi chciały przynieść te drzewa, ani gdzie je widział. I kiedy powóz skręcił, kiedy się obróciłem do nich plecami i przestał je widzieć, gdy pani de Villeparisis pytała mnie, czemum się zamyślił, byłem smutny tak, jak gdybym stracił przyjaciela, jak gdybym sam umarł, zaparł się umarłego lub wyrzekł się Boga.

Trzeba było myśleć o powrocie. Pani de Villeparisis, która miała niejakić poczucie przyrody, chłodniejsze niż babka, ale zdolne rozpoznać, nawet poza muzeami i arystokratycznymi rezydencjami, proste i majestatyczne piękno pewnych dawnych rzeczy, mówiła stangretowi, aby wracał do Balbec starą drogą, mało uczęszczaną, ale obsadzoną wspinałymi starymi wiazami.

Skorośmy już dobrze poznali tę starą drogę, wówczas dla odmiany wracaliśmy (o ileśmy nie jechali tamtędy z domu) inną, wiodącą przez lasy Chantereine i Canteloup. Niewidzialność bezliku ptaków, które nawoływały się tuż obok nas w drzewach, dawała to samo wrażenie spoczynku, jakie się ma z zamkniętymi oczami. Przykuty do przedniej ławeczki jak Prometeusz do skały, słuchałem swoich oceanid. I kiedy przypadkiem spostrzegłem ptaka przelatującego z jednego liścia na drugi, tak mało widoczny był węzeł między nim a tymi śpiewami, że nie odczuwałem ich źródła w podskakującym ciała, zdziwionym i pozbawionym spojrzenia.

Ta droga przypominała wiele innych we Francji; szła pod górę dosyć bystro, potem zniżala się na długiej przestrzeni. W danej chwili nie znajdowałem w niej zbyt uroku; byłem tylko rad, że wracam. Ale stała się ona dla mnie później przyczyną radości, pozostając w mojej pamięci niby haczyk, na który wszystkie podobne drogi, jakie miałem przebywać w ciągu spacerów lub podróży, chwytaly się natychmiast bez przerwy ciągłości i mogły dzięki niemu zetknąć się bezpośrednio z moim sercem. Z chwilą bowiem gdy powóz lub samochód zapuściły się w jedną z owych dróg, będących niby dalszym ciągiem tej, którą przebywałem z panią de Villeparisis, odnajdywałem (gubiąc wszystkie pośrednie lata) wrażenia owych schyłków dnia, spacerów robionych w okolice Balbec, kiedy liście pachniały, kiedy podnosiła się mgła i kiedy za najbliższą wioską widziało się

⁷fikcyjne — w innym wydaniu, w tym samym tłumaczeniu: nieciekawe. [przypis edytorski]

poprzez drzewa zachód słońca niby jakąś dalszą miejscowość leśną, odległą, dokąd nie dotrze się tego wieczora. I moja doraźna świadomość wspierała się natychmiast na tym, jak na najświeższej przeszłości. Owe wrażenia, wiążące się z wrażeniami, jakich doznawałem teraz w innych stronach, na podobnej drodze, spowite we wszystkie uboczne a wspólne im uczucia swobodnego oddechu, ciekawości, lenistwa, apetytu, wesela — wrażenia te, tłumiąc wszystkie inne, krzepiły się, zagęszczały w swoisty typ przyjemności, niemal ramę istnienia, które rzadko zresztą miałem sposobność odnaleźć, ale w którym zbudzone wspomnienia w materialną percepcję rzeczywistości wnosili część rzeczywistości wywołanej, wyśnionej, niepochwytnej, wystarczającą, aby wśród okolic, jakimi przejeżdżałem, wzbudzić we mnie — ponad wszelkie wrażenia estetyczne — ulotną lecz namiętą chęć pozostania tam na zawsze. Ileż razy, przez to jedynie, żem poczuł zapach liści, siedzieć na ławeczce na wprost pani de Villeparisis, minąć księżnę de Luxembourg kiwającą nam dłonią ze swego powozu, wracać na obiad do Grand Hotelu, objawiło mi się jako jedno z owych niewysłowionych szczęść, jakich nie może nam wrócić ani obecność, ani przyszłość, jakich kosztuje się tylko raz w życiu.

Często, zanim wróciliśmy, zapadł już zmrok. Pokazując pani de Villeparisis księżyc, cytowałem nieśmiało jakieś piękne wyrażenie Chateaubrianda, Alfreda de Vigny lub Wiktora Hugo: „Księżyc rozlewał odwieczną tajemnicę melancholii” albo: „płacząca niby Diana na źródlanym brzegu”, albo: „Zapadał cień weselny, dostojny, wspaniały”.

— I panu się to wydaje piękne? — pytała. — „Genialne”, jak pan powiada! Powiem panu, iż zawsze się dziwię, widząc, jak się teraz bierze na serio rzeczy, z których przyjaciele tych panów, mimo iż oddając pełną sprawiedliwość ich talentom, pierwsi sobie żartowali. Nie rozdawało się tak tytułu geniuszów jak dziś. Dziś, kiedy pan powie po prostu komu, że ma talent, pisarz bierze to za obrazę. Cytuje mi pan apostrofę pana de Chateaubriand o księżycu. Zobacz pan, że mam swoje racje, aby nie dzielić pańskiego entuzjazmu. Pan de Chateaubriand bywał często u mojego ojca. Był zresztą miły, kiedy był sam, wówczas był prosty i dowcipny; ale skoro tylko było więcej osób, zaczynał pozować i robił się śmieszny; opowiadał na przykład przy ojcu, jak rzucił w twarz królowi swoją dymisję i jak urabiał w Rzymie konklawe, zapominając że ojciec na jego prośbę chodził do króla, błagając, aby go król wziął z powrotem; toż samo ojciec słyszał pana de Chateaubriand stawiającego co do wyboru papieża najniedorzeczniejsze horoskopy. Trzeba było słyszeć, co o tym sławnym konklawe mówił pan de Blacas, człowiek innego pokroju niż pan de Chateaubriand! Co się tyczy jego frazesów księżycowych, te stały się u nas w domu po prostu ulubioną zabawą. Za każdym razem, kiedy świecił księżyc koło pałacu, jeżeli był jakiś nowy gość, radzono mu, aby wyciągnął pana de Chateaubriand trochę do ogrodu po obiedzie. Kiedy wracali, ojciec zawsze brał gościa na bok. „Pan de Chateaubriand był bardzo wymowny?” — „Och, tak!” — „Mówił panu o blasku księżyca?” — „Tak, skąd pan wie?” — „Zaczekaj pan, czy nie powiedział panu...” (i ojciec cytował frazes). — „Owszem, ale jakim cudem...” — „I mówił panu także o księżycu nad Campagna Romana?” — „Ależ pan jest czarownik”. Ojciec nie był czarownik, ale pan de Chateaubriand miał zwyczaj stale częstować wszystkich tym samym gotowym kawalkiem.

Nazwisko Alfreda de Vigny pobudziło margrabinę do śmiechu.

— Ten który mówił: „Jestem hrabia Alfred de Vigny”. Jest się hrabią, albo się nie jest hrabią, to nie ma najmniejszego znaczenia.

Ale może uważała, że to jednak ma trochę znaczenia, bo dodawała:

— Zresztą nie jestem pewna, czy on był hrabią; w każdym razie był z bardzo skromnej rodziny, ten jegomość, który mówił w wierszach o swoim „rycerskim pióropuszu”... Jakże to pełne smaku i jakie zajmujące dla czytelnika! To tak jak Musset, zwykły mieszczanin paryski, powiadał z emfazą: „Ten złoty jastrząb, co szyszak mój zdobi”. Nigdy prawdziwy wielki pan nie mówi podobnych rzeczy. Przynajmniej Musset jako poeta miał talent. Ale pana de Vigny, poza jego *Cinq-Marsem*, nie mogłam nigdy czytać; z nudów wypada mi książka z ręki. Pan Molé, który miał tyle dowcipu i taktu, ile ich nie dostawało panu de Vigny, ładnie go urządził, przyjmując go w Akademii. Jak to, nie zna pan jego przemówienia? To arcydzieło złośliwości i impertynencji!

Balzakowi zarzucała pani de Villeparisis — dziwiąc się uwielbieniu swoich siostrzeńców dla tego pisarza — że miał pretensje malować towarzystwo, „gdzie go nie przyjmowano” i o którym opowiadał tysiąc nieprawdopodobieństw. Co do Wiktora Hugo,

powiadała, że ojciec jej, pan de Bouillon, który miał przyjaciół wśród młodych romantyków, dostał się dzięki nim na premierę *Hernaniego*, ale nie mógł wytrwać do końca, tak mu się wydawały pocieszne wiersze tego pisarza, zdolnego, ale przesadnego, który otrzymał tytuł wielkiego poety jedynie na zasadzie dobitego targu, w nagrodę swojej interesownej pobłażliwości dla niebezpiecznych bredni socjalistów.

Widzieliśmy już hotel, jego światła, tak mi wrogie w dniu naszego przybycia pierwszego wieczora, teraz opiekuńcze i słodkie, zwiastunki domowego ogniska. I kiedy powóz zajechał przed bramę, odźwierny, groomy, „lift”, skwapliwi, naiwni, lekko zaniepokojeni naszym zapóźnieniem się, skupieni na schodach w oczekiwaniu, stali się nam bliscy, stali się kimś z rzędu owych istot, które zmieniają się tyle razy w ciągu naszego życia, jak my zmieniamy się sami, ale w których wiernym i przyjacielskim odbiciu znajdujemy słodczyń w chwili, gdy są czasowym zwierciadłem naszych przyzwyczajęń. Wolimy ich od niewidzianych od dawna przyjaciół, bo zawierają więcej tego, czym jesteśmy w danej chwili. Jedynie młodego „strzelca”, wystawionego na słońce w ciągu dnia, schowano do domu, chroniąc go przed wieczornym chłodem, zakutanego w wełny, które, w połączeniu z pomarańczowym zapłakaniem jego włosów oraz z oryginalnie różowym kwiatem jego policzków, rodziły, w ramie oszklonego hallu, myśl o jakiejś cieplarnianej roślinie, chronionej od zimna. Wysiadaliśmy z powozu, wspomagani przez znacznie większą ilość domowników, niż to było potrzebne; ale wszyscy oni czuli ważność sceny i poczuli się do grania w niej roli. Byłem zgłodniały. Toteż często, aby nie opóźnić chwili obiadu, nie szedłem do pokoju (który stał się w końcu tak rzeczywiście *moim*, że widzieć wielkie fioletowe portiere i niskie szafy z książkami znaczyło znaleźć się sam na sam z owym *ja*, którego obraz nastęrczały mi tak rzeczy jak ludzie), ale czekaliśmy wszyscy razem w hallu, aż zarządzający oznajmi nam, że dano do stołu. Dawało to nam jeszcze sposobność posłuchania pani de Villeparisis.

— Nadużywamy pani — mówiła babka.

— Ale skądże, jestem zachwycona, niezmiernie mi miło — odpowiadała z czarującym uśmiechem, wokalizując słowa melodyjnym tonem, stanowiącym kontrast z jej zwykłą prostotą

Bo też w istocie w tych chwilach nie była naturalna; pamiętała o swoim wychowaniu, o arystokratycznych fasonach, jakimi wielka dama powinna ludziom „nieurodzonym” okazywać, że jej jest miło przebywać z nimi, że nie jest dumna. I jedyną skazą jej prawdziwej grzeczności był nadmiar grzeczności; czuło się w tym zawodową rutynę damy z Faubourg Saint-Germain, która, przeczuwając stale w ludziach z innej sfery rozgorzyczenie, o jakie będzie ich musiała przyprawić któregoś dnia, korzysta skwapliwie ze wszystkich okazji, aby w księdze handlowej własnej dla nich uprzejmości wzmocnić swoje konto pozycją, pozwalającą jej niebawem wpisać w rubryce *debet* obiad lub raut, na który ich nie zaprosi. W ten sposób geniusz kasty, urobiwszy margrabinę raz na zawsze i nie wiedząc, że obecnie warunki są odmienne, osoby inne i że w Paryżu pragnęłyby nas widzieć u siebie często, skłaniał ją z gorączkową skwapliwością — tak jakby czas użyczony na uprzejmość wobec nas był krótki — do tego, aby póki jesteśmy w Balbec, mnożyła przesyłki róż, melonów i książek, spaceru powozem i wylewy przyjaźni. I dzięki temu — w tej samej mierze co ośniewająca słoneczność plaży, co wielobarwne, promienne i podoceaniczne blaski pokoiów, co nawet lekcje konnej jazdy, które synów kupca przebóstwiły dla mnie w Aleksandra Macedońskiego — codzienne grzeczności pani de Villeparisis oraz przejściowa, sezonowa łątwość, z jaką babka je przyjmowała, zostały w *moim* wspomnieniu jako charakterystyczne dla życia w kąpielach morskich.

— Oddajcież płaszcz, niech je zaniosą na górę.

Babka oddawała rzeczy dyrektorowi, ja zaś, z przyczyny jego uprzejmości dla mnie, byłem zmartwiony tym brakiem względów, od którego dyrektor zdawał się cierpieć.

— Zdaje się, że ten pan jest urażony — rzekła margrabina. — Uważa się prawdopodobnie za nazbyt wielkiego pana, aby wziąć wasze szale. Przypominam sobie, kiedy byłem jeszcze bardzo mała, księcia de Nemours, jak wszedł do ojca, który mieszkał na najwyższym piętrze pałacu Rouillon, z wielką paczką listów i dzienników. Zdaje mi się, że widzę księcia w niebieskim fraku, stojącego w naszych drzwiach, miały takie ładne boazerie, zdaje mi się, że to Bagard robił, wiecie, te kwiaty, te delikatne gałązki takie gibkie, że snyczer czasami zakręcał je w małe kokardki, niby wstążki wiążące bukiet. „Masz, Cy-

rusie — rzekł książę de Nemours do ojca — odźwierny dał mi to dla ciebie. Powiedział: »Skoro pan idzie do pana hrabiego, nie warto mi się drapać po schodach; tylko niech pan uważa, żeby się nie rozsypało«. Teraz, kiedyście oddali swoje rzeczy, siadajcie, ot, niech kochana pani siada tu — rzekła do babki, biorąc ją za rękę.

— Och, jeżeli to pani nie robi różnicy, nie na tym fotelu! Za mały jest na dwoje, ale za duży dla mnie samej, źle bym się czuła na nim.

— Przypomina mi pani (bo to był zupełnie taki sam) jeden fotel, który długo był u mnie, ale którego w końcu nie miałam serca zachować, bo go dała mojej matce ta niešťczęśliwa księżna de Praslin. Matka moja, osoba najprostsza w świecie, ale z pojęciami innej epoki, których ja już nie bardzo rozumiałam, nie chciała z początku dać się przedstawić pani de Praslin, która była z domu tylko panna Sebastiani; tamta znowuż, niby że księżna, uważała, że nie może się przedstawić pierwsza. I w istocie — dodała pani de Villeparisis, zapominając, że nie rozumie tego rodzaju odcieni — gdyby była bodaj panią de Choiseul, można by usprawiedliwić jej pretensje. Choiseul to jest nie byle co, wiodą się od siostry Ludwika Otylego, to byli prawdziwi monarchowie w Bassigny. Uznaję, że my ich przewyższamy parantelami i znakomitością, ale starożytność jest prawie równa. Z tej kwestii pierwszeństwa wynikły komiczne zdarzenia, na przykład śniadanie spóźnione o dobrą godzinę, którą strawiono na tym, aby jedną z tych pań nakłonić do prezentacji. Mimo to zaprzyjaźniły się później serdecznie. Księżna dała matce ów fotel w rodzaju tego tutaj, w którym, tak jak kochana pani teraz, nikt nie chciał usiąść. Pewnego dnia matka słyszy powóz w dziedzińcu. Pyta lokajczyka, kto to taki. „To księżna de la Rochefoucauld, pani hrabino”. „A, dobrze, prosić”. Po kwadransie nie ma nikogo. „I cóż księżna de la Rochefoucauld, gdzie ona jest?”. „Na schodach, sapie, pani hrabino”, odparł lokajczyk, od niedawna przybyły ze wsi, skąd matka zazwyczaj ich brała. Często była świadkiem ich urodzenia. W ten sposób ma się w domu znacznych ludzi, a to jest najpierwszy zbytek. W istocie księżna de La Rochefoucauld z trudem wchodziła na schody, była olbrzymia, tak olbrzymia, że kiedy weszła, matka była przez chwilę niespokojna, myśląc, gdzie by ją posadzić. Naraz nasunął się jej oczom mebel ofiarowany przez panią de Praslin: „Niechże pani zechce usiąść”, rzekła matka, podsuwając fotel. I księżna wypełniła go po brzegi. Mimo tych rozmiarów, została dosyć ponętna. „Jeszcze robi pewien efekt, kiedy wchodzi”, mówił jeden z naszych przyjaciół. „Zwłaszcza kiedy wychodzi”, odparła matka, która była swobodniejsza w słowach, niżby to było dopuszczalne dzisiaj. Nawet przy pani de La Rochefoucauld nie krępowano się, żartując z jej potężnych wymiarów, z czego się ona śmiała pierwsza. „Jak to, książę jest sam?”, spytała raz pana de La Rochefoucauld moja matka, gdy, przyszedłszy z wizytą do księżnej i witana w drzwiach przez jej męża, nie zauważyła żony siedzącej w głębi. „Czy pani de la Rochefoucauld nie ma? Nie widzę jej”. „Jaka pani uprzejma!”, odparł książę, najbardziej pomyłona głowa jaką znałam, ale niepozabawiony pewnego dowcipu.

Po obiedzie, kiedyśmy poszli do siebie, mówiłem babce, że przymioty, jakie nas zachwycają w pani de Villeparisis, takt, subtelność, dyskrecja, umiar, nie są może zbyt cenne, skoro ludźmi posiadającymi je w najwyższym stopniu byli jedynie panowie Molé i Loménie. Jeżeli brak tych zalet (mówiłem) może być przykry na co dzień, bądź co bądź, brak ten nie przeszkodził zostać Chateaubriandem, Vignym, Wiktorem Hugo, Balzakiem pyszałkom, którzy nie mieli zdrowego sądu o rzeczach i z których łatwo było drwić jak z Blocha...

Ale na nazwisko Blocha babka okrzyknęła się. I zaczęła wychwalać panią de Villeparisis. Tak jak w miłości upodobaniami naszymi kieruje podobno geniusz gatunku, który, iżby dziecko było ukształtowane najnormalniej, każe mężczyznom tłustym poszukiwać kobiet chudych, a chudym tłustych, tak samo wymagania mego szczęścia, zagrożonego neurastenią, chorobliwą skłonnością do smutku i samotności, kazały podświadomie babce przyznawać pierwsze miejsce nocie zrównoważenia i rozsądku. Zalety te były właściwe nie tylko pani de Villeparisis, ale towarzystwu, gdzie mógłbym znaleźć rozrywkę, ukojenie, gdzie rozkwitał duch takiego Doudana lub Rémusata, aby nie rzecz Jouberta lub jakiejś Beausergent i Sévigné; duch dający w życiu więcej godności i szczęścia niż wyrafinowania wiodące jakiegoś Baudelaire’a, Poego, Verlaine’a, Rimbauda do cierpień lub hańby, których babka nie chciała dla wnuka. Przerwałem, aby ją uściskać, i spytałem, czy zauważyła jakieś powiedzenie pani de Villeparisis, którym zdradziła się jako osoba więcej

przywiązująca wagi do urodzenia, niż się do tego przyznaje. W ten sposób przedkładałem babce swoje wrażenia, wiedząc dopiero wówczas, jak mam kogoś oceniać, gdy ona mi to wskazała. Co wieczór przynosiłem jej wzorki, zdjęte w ciągu dnia ze wszystkich tych nieistniejących istot, niebędących nią. Raz powiedziałem jej:

— Bez ciebie nie mógłbym żyć

— Ależ nie, nie trzeba — rzekła wzruszona. — Trzeba starać się mieć twardsze serce. Inaczej co by się z tobą stało, gdybym wyjechała w podróż. Przeciwnie, mam nadzieję, że będziesz bardzo rozsądny i bardzo szczęśliwy.

— Potrafiłbym być rozsądny, gdybyś wyjechała na kilka dni, ale liczyłbym godziny.

— Ale gdybym wyjechała na miesiące... — (Na samą tę myśl serce mi się ścisnęło) — na lata... na...

Zamilkliśmy oboje. Nie śmieliśmy na siebie popatrzeć. Ale bardziej cierpiałem od jej niepokoju niż od własnego. Toteż zbliżyłem się do okna i wyraźnie powiedziałem, odwracając oczy:

— Ty wiesz, jak ja podlegam przyzwyczajeniu. W pierwszych dniach po rozstaniu się z osobami, które kocham najbardziej, czuję się nieszczęśliwy. Ale potem, wciąż kochając je tak samo, przyzwyczajam się jednak, życie płynie mi spokojnie i mile; mógłbym żyć bez nich miesiące, lata...

Musiałem zamilknąć, całkiem odwróciłem się do okna. Babka wyszła na chwilę z pokoju. Ale nazajutrz zacząłem mówić o filozofii; i najobjętniejszym tonem, ale tak, aby ściągnąć uwagę babki na swoje słowa, powiedziałem, że ciekawe jest, iż, wedle ostatnich odkryć wiedzy materializm jak gdyby zbankrutował, i że jeszcze najprawdopodobniejsza jest wieczność dusz i ich przyszłe połączenie.

Pani de Villeparisis uprzedziła nas, że niebawem przyjdzie jej widywać nas mniej często. Siostrzeniec jej, młody człowiek gotujący się do egzaminu w Saumur, a obecnie pełniący służbę wojskową w pobliskim Doncieres, miał przyjechać, aby z nią spędzić parotygodniowy urlop, tak iż będzie mu poświęcała dużo czasu. W ciągu spaceru bardzo nam chwaliła jego niezwykłą inteligencję, zwłaszcza jego dobre serce; już sobie wyobrażałem, że on nabierze sympatii do mnie, że się stanę jego najbliższym przyjacielem; kiedy zaś przed jego przyjazdem pani de Villeparisis dała babce do zrozumienia, że na nieszczęście, ten młody człowiek dostał się w szpony niegodziwej kobiety, za którą szaleje i która go nie wypuści, wówczas, przekonany, iż tego rodzaju miłość kończy się nieuchronnie obłędem, zbrodnią i samobójstwem, myśląc o tym, jak krótki czas przeznaczony jest naszej przyjaźni, już tak wielkiej w moim sercu, zanim go jeszcze ujrzałem, płakałem nad tą przyjaźnią i nad nieszczęściami, jakie ją czekają, niby nad drogą istotą, o której dowiadujemy się, że jest poważnie chora i że jej dni są policzone.

W pewne upalne popołudnie znajdowałem się w jadalni, którą zostawiono na wpół w mroku, aby ją chronić od słońca, zasuwając firanki, żółte od blasku i przepuszczające miejscami migotliwy błękit morza, kiedy na ścieżce wiodącej od plaży do drogi ujrzałem wysokiego młodego człowieka, szczupłego, z giętką szyją, z dumnie podniesioną głową, o bystrym spojrzeniu. Skóra jego była tak jasna, a włosy tak złote, jak gdyby wchłonęły wszystkie promienie słońca. Szedł szybko, odziany w miękką i jasną materię (nigdy nie byłbym sądził, aby mężczyzna ośmielił się włożyć coś podobnego), której lekkość uzmysławiała — nie mniej niż chłód jadalni — upał i pogodę na dworze. Oczy jego (z jednego wciąż wypadła monokl) były koloru morza. Każdy przyglądał mu się z ciekawością; wiadano, że ten młody margrabia de Saint-Loup-en-Bray sławny jest z elegancji. Wszystkie dzienniki opisały strój, w jakim świeżo służył za świadka w pojedynku młodemu księciu d'Uzès. Zdawało się, że tak osobliwe właściwości włosów, oczu, skóry, postawy, które byłyby go wyróżniły w tłumie niby szacowną żyłę mieniącego się i lśniącego opalu uwięzioną w pospolitej materii, muszą odpowiadać życiu różnemu od egzystencji innych ludzi. I kiedy, przed stosunkiem, nad którym bolała pani de Villeparisis, wydzierały go sobie najpiękniejsze damy wielkiego świata, obecność jego, na plaży na przykład, obok renomowanej piękności, do której się zalecał, nie tylko wysuwała tę osobę na pierwszy plan, ale ściągała uwagę tyleż na niego co na nią. Z powodu jego „szyku”, jego impertynencji młodego „lwa”, zwłaszcza z powodu jego nadzwyczajnej urody, niektórzy dopatrywali się w nim czegoś zniewieściałego, ale nie w formie zarzutu, wiadano bowiem, jak bardzo jest męski i jak namiętnie kocha kobiety.

Był to ów siostrzeniec pani de Villeparisis, o którym nam mówiła. Byłem oczarowany myślą, że będę z nim obcował przez kilka tygodni; pewien byłem, że mnie pokocha. Przeszedł szybko aleję wiodącą wzdłuż hotelu, zdając się ścigać monokl, który bujał przed nim jak motyl. Wracał z plaży, a morze, sięgające do połowy oszklenia hallu, stwarzało mu tło, na którym odcinał się cały, jak na pewnych portretach, gdzie malarz — nie zbaczając od najściślejszej obserwacji współczesnego życia, ale wybierając dla swego modelu właściwą ramę — teren polo lub golfa, pole wyścigowe, pokład jachtu — pragnie dać nowoczesny ekwiwalent owych płócien, na których prymitywi wyobrażali ludzką twarz na tle krajobrazu. Dwukonny powóz czekał nań przed bramą; i podczas gdy monokl podejmował swoje igraszki na zalanej słońcem drodze, siostrzeniec pani de Villeparisis, z elegancją i mistrzostwem, jakie wielki pianista umie rozwinąć w najprostszym szczególe, na pozór niedającym pola do wykazania swej wyższości, ujął lejce z rąk stangreta, usiadł koło niego i otwierając równocześnie list, który mu oddał dyrektor hotelu, ruszył.

Jakiegoż zawodu doznałem w następne dni, kiedy, za każdym razem gdy mnie mijiał na plaży lub w hotelu — z podniesioną głową, wciąż zestrzajając swoje ruchy z uciekającym i tańczącym monoklem, który zdawał się ich środkiem ciężkości — mogłem sobie zdać sprawę, że on nie stara się zbliżyć do nas. Nie kłaniał się nam nawet, mimo iż musiał wiedzieć, że jesteśmy w przyjaźni z jego ciotką! I, przypominając sobie uprzejmość pani de Villeparisis, a przedtem pana de Norpois, myślałem, że może oni są takim sobie państwem „na niby” i że tajemny artykuł kodeksu rządzącego arystokracją pozwala może kobietom i pewnym dyplomatom w ich stosunkach z mieszczaństwem i dla nieznaney mi przyczyny porzucić sztywność, jakiej winien natomiast bezlitośnie przestrzegać młody margrabia. Inteligencja moja powinna mi była mówić coś wręcz przeciwnego. Ale właściwością głupiego wieku, jaki przechodziłem — wieku bynajmniej nie niewdzięcznego, raczej bardzo płodnego — jest to, że się wówczas człowiek w niczym nie radzi inteligencji i że najblahsze cechy danych istot zdają się niepodzielnie kojarzyć z ich osobowością. Otoczony samymi potworami i bogami, człowiek nie zna wówczas spokoju. Nie ma bodaj ani jednego gestu z owej doby, którego byśmy później nie chcieli unicestwić. Ale powinni byśmy raczej żałować, że już nie posiadamy bezpośredniości, która kazała nam spełniać te gesty. Później widzimy rzeczy praktyczniej, w zupełnej zgodzie z resztą społeczeństwa; ale młodość to jedyny czas, kiedy się człowiek czegoś nauczył.

Ta arogancja, jaką odgadywałem w młodym Saint-Loup, i cała wrodzona twardość, której była dowodem, znalazła potwierdzenie w jego wzięciu za każdym razem, kiedy przechodził koło nas, z ciałem wyprostowanym, z wciąż podniesioną głową, ze spojrzeniem niewzruszonym — więcej jeszcze: nieubłagany, wyzuty z owego zdawkowego szacunku, jaki się ma dla praw innych istot, nawet gdy nie znają naszej ciotki; z owego szacunku, który sprawiał, iż starsza dama nie była dla mnie zupełnie tym samym, co na przykład płomyk gazu. Ten lodowaty chłód był równie daleki od uroczych listów, jakie — w mojej wyobraźni — pisał do mnie jeszcze przed kilku dniami, aby mi wyrazić swoją sympatię, jak dalekim jest od entuzjazmu sali sejmowej pokątny marzyciel bez talentu, który — również we własnej wyobraźni — porywa lud swoim niezapomnianym przemówieniem, i pomarzywszy tak samotnie i głośno o sobie samym, skoro raz zamilkną urojone oklaski, zostaje ciemięgą jak wprzód.

Pani de Villeparisis — zapewne, aby zatrzeć złe wrażenie, jakie na nas zrobiły te pozory, zdradzające naturę próżną i twardą — znów zaczęła mówić o niewyczerpanej dobroci swego ciotecznego wnuka (był synem jej siostrzenicy, nieco starszy ode mnie). Podziwiałem, jak w wielkim świecie, z podeptaniem wszelkiej prawdy, używa się przymiotów serca ludziom mającym serce tak oschłe, choćby poza tym byli uprzejmi dla wytwornych osób z ich własnego świata. Pani de Villeparisis przyczyniła się nawet sama — mimo że nie wprost — do potwierdzenia zasadniczych (i niewątpliwych już dla mnie) rysów swego siostrzeńca w dniu, gdym ich spotkał oboje na ścieżce tak wąskiej, że nie pozostawało jej nic, jak przedstawić mnie młodemu człowiekowi. Robił wrażenie, że po prostu nie słyszy; żaden mięsień jego twarzy nie drgnął; oczy, w których nie zabłysnął najlżejszy ślad ludzkiego uczucia, jedynie w pustce i obojętności spojrzenia objawiły przesadę, bez której nic by ich nie różniło od martwego zwierciadła. Następnie, wlepiając we mnie te twarde oczy tak, jakby chciał o mnie zebrać informacje, zanim mi odda ukłon, nagłym rzutem wyglądającym raczej na odruch mięśni niż na akt woli, wprowadzając możliwie

największą przestrzeń między mnie a siebie, wyciągnął ramię na całą długość i podał mi na dystans rękę. Kiedy nazajutrz przesłał mi swój bilet wizytowy, sądziłem, że chodzi co najmniej o pojedynek. Ale w czasie wizyty mówił wyłącznie o literaturze i po długiej gawędzie oświadczył, że bardzo chciałby mnie widywać codziennie po kilka godzin. W czasie tej wizyty nie tylko złożył dowody żywych zainteresowań intelektualnych, ale okazał mi sympatię, nie bardzo godzącą się z wczorajszym ukłonem. Widząc, iż powtarza ten ukłon za każdym razem, kiedy mu kogoś przedstawiano, zrozumiałem, że to jest prosty nawyk światowy, właściwy większości jego rodziny. Matka, dbając o to, aby syn był doskonale wychowany, wdroyła jego ciało do tego rodzaju gestów; wykonywał je tak samo, nie myśląc o tym, jak o swoich pięknych ubraniach i pięknych włosach; była to rzecz pozbawiona duchowego znaczenia, jakie jej zrazu przypisywałem; rzecz wyłącznie nauczona, jak ów inny jego nawyk: natychmiast kazać się przedstawiać krewnym poznanej osoby. To również stało się u niego tak instynktowne, że, widząc mnie nazajutrz po naszym spotkaniu, rzucił się na mnie i nie witając się, poprosił, abym go przedstawił babce, stojącej obok; i to tak gorączkowo, jak gdyby to niecierpiące zwłoki żądanie płynęło z jakiegoś instynktu samoobrony, coś jak zasłonięcie się przed ciosem lub zamknięcie oczu wobec strumienia wrzącej wody, pod grozą niebezpieczeństwa.

Jak złośliwa wróżka zrzuca swój dawny kształt i obleka się w czarodziejskie wdzięki, tak samo, po dopełnieniu pierwszych egzorcyzmów, ten wzgardliwy młodzieniec okazał się najmiłszym, najuprzejmiejszym chłopcem, jakiego kiedykolwiek znałem. „Ba! — powiedziałem sobie — już raz się co do niego pomyliłem, padłem ofiarą złudy; ale rozstałem się z pierwszym złudzeniem po to, aby popaść w drugie, bo to jest wielki pan, pokrywający swoją pańską dumę”. Otóż całe urocze wychowanie, cała uprzejmość młodego Saint-Loup miały mi w istocie po pewnym czasie ukazać innego człowieka, ale bardzo odmiennego od tego, któremu się domyślał.

Ten młody człowiek, mający minę arystokraty i znudzonego sportsmena, miał cześć i zainteresowanie wyłącznie dla rzeczy intelektualnych, zwłaszcza dla owych „modernizmów” literatury i sztuki, które się tak śmieszne zdawały jego ciotce; z drugiej strony nasycony był tym, co ona zwała socjalistyczną frazeologią, a przejęty najgłębszą wzgardą dla swojej kasty. Godziny całe spędzał na zgłębianiu Nietzschego i Proudihona. Był to jeden z owych „intelektualistów”, skorych do podziwu, żyjących książką, pochłoniętych wyłącznie myślą. I nawet wyraz tej jego tendencji, wielce abstrakcyjnej i tak oddalającej go od zwykłych moich zainteresowań, wydawał mi się wzruszający, ale mnie nudził trochę. Mogę rzec, iż, kiedy już dobrze wiedział, kim był jego ojciec, w dniu, w które czytałem pamiętniki pełne anegdot o owym sławnym hrabi de Marsantes, streszczającym tak specjalną elegancję odległej już epoki, wówczas z duszą pełną rojeń, żądny dokładnie poznać życie, jakie pędził pan de Marsantes, wściekałem się, że Robert de Saint-Loup, zamiast być po prostu synem swego ojca, zamiast móc służyć mi za przewodnika po owym niemodnym romansie, jakim była egzystencja hrabiego, wznosił się aż do kultu Nietzschego i Proudihona. Ojciec jego nie byłby podzielił moich żalów. On sam był człowiekiem inteligentnym, wychodzącym poza ramy światowca. Nie bardzo miał czas poznać syna, ale pragnął, aby był więcej wart od niego. I sądzę, że, na wspak reszcie rodziny, byłby go podziwiał, byłby rad, że syn porzucił dla surowych medytacji to, co stanowiło jego mizerne rozrywki, i nie zdradzając się z tym, w swojej skromności inteligentnego wielkiego pana, byłby czytał w sekrecie ulubionych autorów syna, aby ocenić, o ile Robert go przerasta.

Dosyć smutne było, że o ile pan de Marsantes byłby z taką szerokością spojrzenia ocenił syna tak różnego od siebie, Robert de Saint-Loup, będąc z tych, co wierzą, iż wartość człowieka wiąże się z pewnymi formami sztuki i życia, zachował tkliwą, ale cokolwiek lekceważącą pamięć ojca, przez całe życie pochłoniętego polowaniem i wyścigami, ziewającego na Wagnerze, a przepadającego za Offenbachem. Saint-Loup nie był dość inteligentny na to, aby zrozumieć, że wartość intelektualna nie ma nic wspólnego z wyznawaniem jakiejś formuły estetycznej; stąd miał dla intelektu pana de Marsantes po trosze ten sam rodzaj wzgardy, jaki mogliby mieć dla Boieldieu lub dla Labiche’a młody Boieldieu lub syn Labiche’a, będąc adeptami najbardziej symbolicznej literatury i najskomplikowańszej muzyki. „Bardzo mało znałem ojca — powiadał Robert. — Zdaje się, że to był uroczy człowiek. Jego nieszczęściem była żalosna epoka, w jakiej żył. Urodzić się w Faubourg Saint-Germain i żyć w epoce *Pięknej Heleny*, to istna katastrofa! Jako drob-

nomieszczanin rozkochany w *Ringu* stałby się może całkiem czymś innym. Mówiono mi nawet, że on kochał literaturę. Ale nie można wiedzieć, bo to, co on rozumiał pod literaturą, składa się z rzeczy nieistniejących”. I o ile mnie wydawał się Saint-Loup trochę za poważny, on znów nie pojmował, że ja nie jestem poważniejszy. Sądząc każdą rzecz jedynie wedle jej zawartości intelektualnej, nie pojmując uroków wyobraźni, kryjących się dla mnie w pewnych rzeczach, dla niego błahych, dziwił się, że ja — ja, od którego mniemał się o tyle niższym — mogę się nimi interesować.

Od pierwszych dni Saint-Loup zdobył sobie moją babkę, nie tylko nieustanną dobrocią, jaką rozwijał dla nas obojga, ale naturalnością, jaką wkładał w to — jak we wszystko. Otóż naturalność — z pewnością dlatego, że pod sztuką człowieka daje czuć naturę — była przymiotem, który babka ceniła nad wszystko; zarówno w ogrodach nie lubiła klombów zbyt regularnych — jak w Combray — w kuchni nie cierpiała owych kunsztownych dań, w których ledwie można rozpoznać pierwotne produkty; w technice pianisty nie lubiła zbytniego wymuskania, wylizania, mając nawet szczególną pobłażliwość dla zahaczeń i fałszów Rubinsteina. Naturalność tę ceniła nawet w stroju młodego Saint-Loup, swobodnie wykwiutnym, bez cienia „szykowca” lub „goga”, bez śladu jakiegokolwiek sztuczności i krochmalu. Bardziej jeszcze ceniła tego bogatego chłopca za niedbałą swobodę jego zbytku, nie „cuchnącego pieniędzmi”, pozbawionego pretensji; wdzięk tej prostoty widziała nawet w jego niezdolności do ukrycia jakiegokolwiek wzruszenia — właściwość znikająca zazwyczaj z dzieciństwem, wraz z pewnymi fizjologicznymi cechami tego wieku. Coś, czego na przykład pragnął i na co nie liczył, bodaj komplement, wyładowywało się w nim w radości tak naglej, tak palącej, tak lotnej i ekspansywnej, że niepodobna mu było powściągnąć jej i ukryć; skurcz przyjemności przebiegał natychmiast jego twarz; zbyt delikatna skóra policzków barwiła się żywym rumieńcem, oczy wyrażały zawstydzenie i uciechę. Babka była niezmiernie wrażliwa na ten pełen wdzięku wyraz szczerości i niewinności, który zresztą u Roberta, przynajmniej w epoce, gdy z nim żyłem blisko, nie kłamał. Ale znałem kogoś innego (a jest takich wielu), w którym fizjologiczna szczerość tego przelotnego rumieńca nie wykluczała bynajmniej fałszu; często dowodzi on jedynie żywości, z jaką natury zdolne do największych szalbierstw odczuwają przyjemność — tak mocno, że są bezbronne wobec niej, zmuszone przyznać się do niej przed innymi. Ale w czym zwłaszcza babka uwielbiała naturalność Roberta, to w jego sposobie wyznawania bez ogródek sympatii swojej do mnie; dla wyrażenia jej znajdował słowa, jakich babka sama — jak mówiła — nie umiałaby znaleźć, słowa najbardziej trafne i kochające, słowa, które byłyby podpisały „Sévigé i Beusergent”. Nie wahał się żartować z moich wad (a odgadł je z finezją, która ubawiła babkę), ale tak, jakby to ona zrobiła, tkliwie; podnosząc, przeciwnie, moje zalety z ogniem i z zapalem, nieznanym zastrzeżeń ani chłodu, jakimi młodzi ludzie w jego wieku pragną sobie zazwyczaj przydać ważności. Uprzedzał moją najlżejszą niedyspozycję; okrywał mi nieznacznie nogi pledem, gdy się robiło chłodno; starał się zostać ze mną dłużej wieczorem, gdy czuł, że jestem smutny lub nerwowy; rozwijał czujność, którą, z punktu widzenia mojego zdrowia, wymagającego może raczej większego hartu, babka uważała niemal za przesadną, ale która wzruszała ją głęboko, jako dowód przywiązania.

Uświadomiliśmy sobie szybko, żeśmy się zaprzyjaźnili serdecznie i na zawsze. On mówił: „nasza przyjaźń”, tak jakby mówił o jakiejś ważnej i rozkosznej rzeczy, istniejącej na zewnątrz nas; nazwał niebawem tę przyjaźń — poza miłością do kochanki — największą radością swego życia. Te słowa zasmucały mnie niemal; byłem w kłopotcie, jak im odpowiedzieć; nie doznawałem bowiem w obecności Roberta, w jego rozmowie — i z pewnością byłoby tak z każdym innym — owego szczęścia, jakie, przeciwnie, mogłem odczuć, znalazłszy się bez wszelkiego towarzystwa. Czasami, będąc sam, czułem, że wzbiera we mnie jedno z owych wrażeń zanurzających mnie w rozkosznej błogości. Ale z chwilą, gdy byłem z kimś, gdy rozmawiał z przyjacielem, dusza moja zmieniała front; myśli moje zwracały się już ku towarzyszowi, a nie ku mnie samemu, idąc zaś w tym odwrotnym kierunku, nie sprawiały mi żadnej przyjemności. Rozstawszy się z Robertem, wprowadzałem, przy pomocy słów, jakiś porządek w bezładne minuty z nim spędzone; powiadałem sobie, że mam dobrego przyjaciela, że dobry przyjaciel to jest rzecz rzadka; ale otoczony owymi cennymi dobrami doznawałem uczucia wręcz przeciwnego wrodzonej mi rozkoszy, przeciwnego rozkoszy wywołania z samego siebie i wydobycia

na światło czegoś, co było ukryte we mnie w mroku. Kiedyś spędził parę godzin na rozmowie z Robertem i on podziwiał to, com mówił, doznawałem uczucia wyrzutu, żalu, zmęczenia, że nie został sam, aby wreszcie zacząć pracować. Ale powiadałem sobie, że nie można być inteligentnym tylko dla samego siebie, że najwięksi ludzie pragnęli, aby ich oceniono, że nie mogą uważać za stracone godzin, przez które zbudowałem wysokie pojęcie o mnie w umyśle mego przyjaciela; i przekonywałem łatwo samego siebie, że powinien być szczęśliwy, i pragnąłem nigdy tego szczęścia nie utracić, tym bardziej, że go nie odczuwał. Bardziej niż utraty innych dóbr, lękamy się zniknięcia tych, które zostały zewnątrz nas, bo serce nasze nie objęło ich w posiadanie. Czulem się zdolny praktykować wszystkie cnoty przyjaźni lepiej niż wielu (bo zawsze bym przekładał dobro przyjaciół nad owe interesy osobiste, do których wielu przywiązuje tyle wagi, a które dla mnie nie istniały), ale nie czulem się zdolny poznać radości przez uczucie, które zamiast wzmacniać zacierałoby różnice istniejące między moją duszą a duszą innych — takie, jakie zachodzą między duszami wszystkich ludzi.

W zamian za to, chwilami, myśl moja odnajdywała w Robertcie istotę bardziej ogólną niż on sam; „pana”, który, niby jakiś mieszkający w nim duch, poruszał jego członkami, kształtował jego gesty i czyny; wówczas, w tych chwilach, mimo że obok niego, byłem sam, niby wobec krajobrazu, którego bym pojął harmonię. Był już tylko przedmiotem, który myśl moja starała się zgłębić. Odnajdując w nim wciąż ową istotę dawniejszą, odwieczną, owego arystokratę, którym właśnie Robert starał się nie być, doznawałem żywej radości, ale siłą inteligencji, nie zaś przyjaźni. W moralnej i fizycznej zwinności, która dawała jego uprzejmościom tyle wdzięku, w swobodzie, z jaką sadzał babkę do swego powozu, w zręczności, z jaką zeskakiwał z kozła, kiedy się bał, że mi jest zimno, aby mi narzucić własny płaszcz, czulem nie tylko dziedziczną gibkość zawołanych myśliwych, jakimi byli od całych pokoleń przodkowie tego młodzieńca aspirującego jedynie do intelektu, ich wzgardę dla bogactwa, która istniejąc w nim obok upodobania w bogactwie, cenionym o tyle, o ile pozwalało mu raczyć przyjaciół, kazała mu tak niedbale kłaść swój zbytek u ich stóp; czulem w nim zwłaszcza pewność lub złudzenie, jakie mieli ci wielcy panowie, że są „czymś więcej od innych”, dzięki czemu nie mogli przekazać Robertowi de Saint-Loup owej chęci okazania, że się jest „tym samym co inni”, owego lęku okazania się za grzecznym, który mu był w istocie nieznany, a który daje coś tak brzydkiego i niezręcznego najszczerzej uprzejmości plebejusza. Czasami wyrzucałem sobie, że patrzę na swego przyjaciela jak na dzieło sztuki, to znaczy, że przyglądam się grze wszystkich części jego istoty, jak gdyby harmonijnie stonowanej przez ogólną ideę, od której były zawisłe, ale której on nie znał: tym samym nie przydawała ona nic własnym jego przymiotom, owej osobistej wartości intelektualnej i moralnej, do której przykładał taką wagę.

A jednak ona była w pewnej mierze ich warunkiem. Dlatego że był paniczem, ta ciekawość umysłowa, te socjalistyczne aspiracje, które mu kazały szukać towarzystwa pretensjonalnych i źle ubranych młodych studentów, miały u Roberta coś naprawdę czystego i bezinteresownego — czego nie miały u nich. Uważając się za dziedzica ciemnej i samolubnej kasty, starał się szczerze, aby mu przebaczyli jego arystokratyczne pochodzenie, które, przeciwnie, wywierało na nich urok i dla którego szukali jego towarzystwa, udając równocześnie w stosunku do niego chłód, a nawet niegrzeczność. Tak doszedł do nadskakiwania ludziom, do których, w myśl socjologii mojej rodziny w Combray, powinien by się odwracać tyłem.

Pewnego dnia, kiedyśmy siedzieli z Robertem na piasku, usłyszeliśmy z płóciennego namiotu wymyślenia na nadmiar Izraelitów zatruwających Balbec:

— Nie można zrobić dwóch kroków, żeby ich nie spotkać — mówił głos. — Nie jestem absolutnie wrogo usposobiony do Żydów, ale tutaj mamy hipersaturację. Słyszysz się jedynie: „Słuchaj, Abraham, wydziałem Jakuba”. Można by myśleć, że się jest na ulicy Aboukir.

Człowiek, który tak grzmiał przeciw Izraelowi, wyszedł wreszcie z namiotu; podnieśliśmy oczy na tego antysemitę. Był to mój kolega Bloch. Saint-Loup poprosił mnie zaraz, abym przypomniał Blochowi, że się spotkali na jakimś egzaminie, gdzie Bloch wziął pierwszą nagrodę, a potem w uniwersytecie ludowym.

Co najwyżej uśmiechałem się czasem, odnajdując u Roberta jezuickie lekcje w żenowaniu, jakie w nim rodziła obawa urażenia kogoś, za każdym razem, kiedy któryś

z jego przyjaciół-intelektualistów popełnił światowy błąd, zrobił rzecz śmieszną; sam Saint-Loup nie przykładał do tego błędu żadnej wagi, ale czuł, że tamten by się zarumienił, gdyby to spostrzeżono. I sam Robert rumienił się, jakby to on był winny, na przykład raz gdy Bloch, przyrzekając go odwiedzić w hotelu, dodał:

— Ponieważ nie znoszę wyczekiwania w pretensjonalnym szyku tych luksusowych bud, a muzyka cygańska przyprawiałaby mnie o mdłości, niech pan powie „lajftowi”, żeby uciszył grajków i żeby pana zaraz uprzedził.

Osobiście nie bardzo miałem ochotę, aby Bloch nas odwiedził. Był na nieszczęście w Balbec nie sam, ale z siostrami, które miały znowuż wielu krewnych i przyjaciół. Otóż ta kolonia żydowska była bardziej malownicza niż przyjemna. Z Balbec było tak jak z niektórymi krajami, Rosją lub Rumunią, gdzie wedle podręczników geografii ludność izraelska nie cieszy się takimi względami i nie doszła do tego stopnia asymilacji co na przykład w Paryżu. Kiedy kuzynki i wujowie Blocha lub ich żony i mężczyźni współwyznawcy, wciąż razem, bez domieszki innego elementu, udawali się do kasyna, jedne na „bal”, drudzy sterując w stronę bakarata, tworzyli orszak jednolity, zgoła niepodobny do ludzi, którzy patrzyli na nich i widywali ich tutaj co rok, nie zamieniając nigdy z nimi ukłonu; czy to było towarzystwo państwa de Cambremer, czy grupka prezydenta, czy wielcy i mali mieszczanie lub nawet zwykli paryscy handlarze zbożem, których córki, piękne, dumne, drwiące i francuskie jak posągi z Reims, nie chciały się mieszać z tą hordą dziewczysk źle wychowanych, posuwających dbałość o modę „kąpielową” tak daleko, że robiły stale wrażenie, iż wracają z połowu krewetek lub że tańczą tango.

Co do mężczyzn, mimo blasku smokingów i lakierków, przesada ich typu kazała myśleć o tych rzekomo „inteligentnych” tendencjach malarzy, którzy, ilustrując *Nowy Testament* lub *Tysiąc i jedną noc*, myślą o kraju, gdzie się scena rozgrywa, dając świętemu Piotrowi lub Ali Babie właśnie fizjognomię najgrubszego „ponitera” w Balbec.

Bloch przedstawił mi swoje siostry, którym „stulał pysk” z krańcową brutalnością, a które śmiały się do rozpuku za najmniejszym conceptem brata, ich uwielbianego bżyszczka. Bardzo prawdopodobne jest, że to środowisko musiało, jak każde inne, bardziej może niż inne, zawierać wiele uroków, przymiotów i cnót. Ale aby się o tym przekonać, trzeba by w nie wejść. Otóż ono nie budziło sympatii, czuło to, widziało w tym dowód antysemityzmu, przeciwstawiając mu zwartą i zamkniętą falangę, w którą nikt zresztą nie miał ochoty się wdzierać.

Co się tyczy owego „laifta”, nie miałem przyczyny zbytnio się temu dziwić. Na kilka dni przedtem Bloch zapytał mnie, po com przyjechał do Balbec (wydawało mu się natomiast całkiem naturalne, że on tam jest) i czym to uczynił „w nadziei zrobienia świetnych znajomości”; kiedy mu rzekł, że ta podróż odpowiada moim najdawniejszym pragnieniom (mimo iż mniej głębokim niż chęć ujrzenia Wenecji), odparł: „Tak, oczywiście, po to, aby pić sorbety z pięknymi damulkami, udając przy tym, że się czyta *Stones of Venaiçe* lorda Johna Ruskina, ponurego nudziarza, jednego z najpiłowszych facetów, jacy istnieją”. Bloch uważał najwidoczniej, że w Anglii nie tylko wszystkie osobniki płci męskiej są lordami, ale również że głoska „i” wymawia się zawsze jak „ai”. Co się tyczy Roberta, ten błąd wymowy wydawał mu się nader błahy; widział w nim zwłaszcza brak owych wiadomości niemalże światowych, którymi mój nowy przyjaciel w tym samym stopniu gardził, w jakim je sam posiadał. Ale obawa, iż Bloch, dowiedziawszy się kiedyś, że mówi się „Venice” i że Ruskin nie jest lordem, pomyśli retrospektywnie, iż musiał się wydać śmieszny w jego oczach, sprawiła, że Saint-Loup uczuł się winny, tak jakby zgrzeszył brakiem pobłażania, którego był pelen: i ten rumieniec, jaki zabarwi z pewnością kiedyś twarz Blocha świadomego swego błędu, pokrył antycypowanym odbłaskiem policzki Roberta. Bo myślał, że Bloch przywiązuje więcej od niego wagi do tego błędu. Czego Bloch dowiedział w jakiś czas później, gdy, usłyszawszy że wymawiam „lift”, przerwał:

— A, mówi się *lift*. — I suchym i wyniosłym tonem dodał. — To nie ma zresztą żadnego znaczenia.

Powiedzenie niemal odruchowe, jednakie u wszystkich ludzi obdarzonych miłością własną, zarówno w najważniejszych jak i najbłahszych okolicznościach. Słowa te zdradzają, tak samo jak w danym wypadku, jak ważna wydaje się jakaś rzecz temu, co jej odmawia najmniejszego znaczenia; słowa tragiczne czasem, tak boleśnie wydzierające się z ust wszelkiego człowieka mającego nieco dumy, kiedy odmawiając mu usługi, odebrano

mu ostatnią nadzieję: „Och, mniejsza, to nie ma żadnego znaczenia, urządzę się inaczej”. Tym innym urządzeniem się, będącym bez znaczenia, bywa czasami — samobójstwo.

Potem Bloch mówił mi rzeczy bardzo przyjemne. Z pewnością chciał być dla mnie bardzo miły. Jednakże spytał:

— Czy to przez chęć wzniesienia się do arystokracji (arystokracji bardzo pokątnej zresztą, ale ty zachowałeś uroczą naiwność) przestajesz z panem de Saint-Loup-en-Bray? Musisz przechodzić ładny atak snobizmu. Powiedz mi, czy ty jesteś snob? Tak, nieprawdaż?

Nie znaczy to, aby jego chęć uprzejmości zmieniła się nagle. Ale to, co się nazywa, dość niepoprawnie zresztą, „złym wychowaniem”, było jego wadą, której nie spostrzegaliśmy, nie czułem zwłaszcza, iż może razić innych. W społeczeństwie częstość zalet wspólnych wszystkim nie bardziej jest zadziwiająca niż różnorodność wad właściwych każdemu. Bez wątpienia, nie zdrowy rozum jest — jak mówi Descartes — rzeczą najbardziej rozpowszechnioną, ale dobroć. W najodleglejszych, najbardziej zapadłych kątach dziwimy się, widząc, jak ona kwitnie sama z siebie, niby w ustronnej dolinie mak podobny do wszystkich innych maków w świecie, on, który ich nigdy nie widział i znał jedynie wiatr, potrząsający czasem jego samotną czerwoną czapeczką. Nawet jeżeli ta dobroć, sparaliżowana interesem, nie ujawnia się, istnieje ona mimo to i za każdym razem, kiedy jej nie przeszkodzi samolubna pobudka — na przykład przy lekturze powieści lub dziennika — rozkwita ona, zwraca się (nawet w sercu tego, który, będąc w życiu mordercą, pozostaje tkliwym czytelnikiem) ku słabemu, ku sprawiedliwemu a prześladowanemu. Ale różnorodność wad jest niemniej cudowna niż podobieństwo cnót. Każdy ma tak dalece swoje, że aby go móc nadal kochać, musimy przejść nad nimi do porządku i pomijać je przez wzgląd na resztę. Najdoskonalsza osoba ma jakąś wadę, która nas razi lub doprowadza do wściekłości. Jeden ma wspaniałą inteligencję, widzi wszystko z wysoka, nie mówi źle o nikim, ale zapomina w kieszeni najważniejszych listów, które sam się ofiarował wrzucić, i przyprowadza was o spóźnienie na ważną schadzki, nie tłumacząc się, z uśmiechem, bo pokłada ambicję w tym, aby nigdy nie wiedzieć godziny. Inny ma tyle subtelności, słodczy, delikatności, że mówi ci o tobie jedynie rzeczy zdolne ci sprawić przyjemność; ale czujesz, że przemilcza, że chowa w sercu, gdzie kwaśniej, rzeczy całkiem inne; a przyjemność widzenia cię jest mu tak droga, że raczej pozwoliłby ci paść ze zmęczenia, niżby cię miał opuścić. Trzeci jest szerszy, ale posuwa szczerą tak daleko, że, kiedy się wymówił zdrowiem od wizyty u niego, daje do zrozumienia, że cię widziano idącego do teatru i żeś wyglądał wcale dobrze; albo że nie mógł skorzystać z zabiegów, któreś dlań podjął i które zresztą proponowały mu trzy inne osoby, tak iż jest ci obowiązany w bardzo skromnej mierze. W obu tych okolicznościach, ów poprzedni przyjaciel udalby, że nie wie o twojej bytności w teatrze i o tym, że inne osoby mogły mu być oddać tę samą przysługę. Ten ostatni, o którym mówiłem, czuje potrzebę powtórzenia lub zdradzenia innym tego, co może ci być najprzykrzejsze, zachwycony jest swoją szczerą i powiada ci z energią: „Taki już jestem”. Inni drażnią cię nadmierną ciekawością lub brakiem ciekawości tak absolutnym, że możesz im mówić o najbardziej sensacyjnych wydarzeniach bez ściągnięcia ich uwagi; inni wreszcie miesiące całe nie odpowiadają ci na list, o ile twój list zawierał coś, co dotyczy ciebie, a nie ich; lub uprzedziwszy, że mają cię o coś prosić, gdy ty nie śmiesz wyjść z domu z obawy, aby nie zrobić im zawodu, oni nie przychodzą i dają ci czekać całe miesiące, ponieważ nie otrzymawszy od ciebie odpowiedzi, o którą w liście bynajmniej nie prosili, myślą, żeś się obraził. A niektórzy, licząc się tylko ze swoją, nie z twoją ochotą, o ile są weseli i mają ochotę cię widzieć, paplą, nie pozwalając ci wtrącić ani słówka, bez względu na to jaką mógłbyś mieć pilną robotę; jeśli się natomiast czują nieszczególnie lub są w złym humorze, nie możesz z nich wydobyć ani słowa, przeciwstawiają twoim wysiłkom tępy opór i nie zadają sobie trudu odpowiadania ci nawet monosylabami, tak jakby w ogóle nie słyszeli.

Każdy z naszych przyjaciół ma tyle wad, że aby go nadal kochać, musimy mu zapomnieć te wady, myśląc o jego talencie, dobroci, serdeczności, lub raczej — z całym nakładem dobrej woli — nie brać tych wad w rachubę. Nieszczęściem, nasz życzliwy upór w tym, aby nie widzieć jakiejś wady przyjaciela, nie dorównywa uporowi, jaki rozwija on sam, aby pielęgnować tę wadę wskutek swojej ślepoty lub ślepoty, jaką przypisuje innym. Bo on nie widzi tej wady lub myśli, że inni jej nie widzą. Ponieważ ryzyko zrażenia ko-

goś zależy zwłaszcza od trudności w ocenie stopnia, w jakim coś uchodzi niepostrzeżenie, powinno by się, badaj przez ostrożność, nie mówić nigdy o sobie, bo to jest przedmiot, co do którego możemy być pewni, iż perspektywa innych osób nigdy nie pokrywa się z naszą. Jeżeli odkrywając prawdziwe życie drugich, rzeczywisty świat pod światem pozornym, doznajemy tyluż niespodzianek, co przy zwiedzaniu domu o banalnym wyglądzie, ale wewnątrz pełnego skarbów, narzędzi złodziejskich i trupów, nie mniejszego doznajemy wstrząsu, kiedy w miejsce obrazu, jakiśmy sobie stworzyli o sobie samych z tego, co każdy nam mówił, dowiadujemy się jak o nas mówią w naszej nieobecności, jaki zupełnie odmienny obraz nas i naszego życia ci ludzie w sobie nosili. Tak iż za każdym razem, kiedyśmy mówili o sobie, możemy być pewni, że nasze niewinne i ostrożne słowa, słuchane z pozorną grzecznością i obłudnym uznaniem, dały powód do komentarzy najbardziej skandalicznych lub uciesznych, w każdym razie najmniej przychylnych. W najlepszym razie ryzykujemy to, że drażnimy innych przez niestosunek między naszym pojęciem o sobie a naszymi słowami; niestosunek ten czyni zazwyczaj odezwania się ludzi o sobie czymś równie śmiesznym jak podśpiewywanie niewydarzonych amatorów muzyki, którzy upierają się nucić ulubioną melodię, zastępując braki swoich nieartykułowanych dźwięków energiczną mimiką i wyrazem nieusprawiedliwionego zachwytu. A do złego nawyku mówienia o sobie i o swoich wadach, trzeba dodać, jako ściśle z nim zespolony, nawyk wykazywania u innych tych właśnie wad, jakie się ma samemu. I właśnie zawsze o tych wadach mówimy, jakby to był pośredni sposób mówienia o sobie, łączący przyjemność zwierzeń z przyjemnością rozgrzeszenia. Zresztą zdaje się, iż nasza baczność, wciąż zwrócona na to, co nas charakteryzuje, spostrzega to u drugich bardziej niż wszystko inne. Krótkowidz mówi o drugim: „Ależ on ledwo widzi”; suchotnik powątpiewa o stanie płuc najtęższego człowieka; brudas mówi o niedostatku kąpieli u innych; niepachnący twierdzi, że kogoś czuć; zdradzany mąż wszędzie widzi zdradzanych mężów; kobieta lekka kobiety lekkie; snob snobów. A przy tym każda przywara, jak każdy zawód, wymaga specjalnej wiedzy — i rozwija tę wiedzę — którą człowiek chętnie roztacza. Zboczeniec tropi zboczeńców, krawiec spotkany w towarzystwie jeszcze nie mówił z tobą, a już oszacował materiał twego ubrania i aż go palce świerzbią, aby je pomacać; a jeżeli po chwili rozmowy spytasz odontologa o jego szczerą opinię o tobie, wymieni ci liczbę twoich wątpliwych zębów. Nic nie wydaje mu się ważniejsze, a tobie, któryś zauważył jego zęby, bardziej śmieszne. I nie tylko kiedy mówimy o sobie, sądzimy, że inni są ślepi; działamy tak, jakby w istocie byli ślepi. Istnieje dla każdego z nas jakby specjalny bożek, który nam kryje nasze braki lub przyrzeka ich niewidoczność, tak samo jak ludziom niedomytym zamyka oczy i nozdrza na smugę brudu za ich uszami i na zapach potu pod pachami i wmawia w nich, że mogą jedno i drugie obnosić bezkarnie między ludźmi, którzy nic nie zauważą. A ci, co noszą lub dają w prezencie fałszywe perły, wyobrażają sobie, że ujdą za prawdziwe.

Bloch był źle wychowany, neuropata, snob; należąc przy tym do rodziny mało szanowanej, znosił, niby w głębinie morskiej, nieobliczalne ciśnienie, jakim ciążyły na nim nie tylko chrześcijanie z samej powierzchni, ale kolejne warstwy kast żydowskich, wyższych od jego kasty, z których każda gniotła swoją wzdargą tę, co była tuż pod nią. Przebić się aż na powietrze, wznosząc się od jednej rodziny żydowskiej do drugiej, wymagałoby dla Blocha kilku tysięcy lat, lepiej mu było tedy utorować sobie drogę inaczej.

Kiedy Bloch mówił mi o ataku snobizmu, jaki muszę przechodzić i prosił mnie, abym się przyznał, że jestem snob, mógłbym mu odpowiedzieć: „Gdybym był snob, nie zadawałbym się z tobą”. Powiedziałem mu tylko, że nie jest zbyt uprzejmy. Próbował się usprawiedliwić, ale właśnie na sposób źle wychowanego człowieka, aż nazbyt szczęśliwego, kiedy, wracając do swoich słów, znajdzie sposobność pogłębienia grubiaństwa. „Daruj mi — powiadał za każdym razem, kiedy mnie spotkał — zrobiłem ci przykrość, dręczyłem cię, byłem rozmyślnie zły. Człowiek w ogólności, a twój przyjaciel w szczególności jest tak osobliwym bydlęciem! Bo ty nie możesz sobie wyobrazić, ile czułości ja mam dla ciebie, mimo że ci tak dokuczam. Często, myśląc o tobie, lzy mam w oczach”. I żałkał lekko.

Co mnie dziwiło u Blocha bardziej niż złe maniery, to nierówność jego konwersacji. Ten człowiek tak wybredny, który o najgłośniejszych pisarzach mówił: „To ponury idiota, to stuprocentowy głupiec”, chwilami opowiadał z wielką uciechą anegdoty niemające ani

szczypty soli i cytował jako „naprawdę interesującego” człowieka najzupełniej miernego. Ta podwójna miara w osądzie czyjejś inteligencji, wartości, uroku, dziwiła mnie aż do dnia, gdy poznałem starszego pana Blocha.

Nie przypuszczałem, że będzie nam kiedyś dane poznać go, gdyż młody Bloch mówił źle o mnie przed Robertem, a o Robercie przede mną. Powiedział mianowicie Robertowi, że ja byłem (zawsze) okropny snob. „Ależ tak, tak, on jest upojony tym, że zna pana LLLegrandin” — rzekł. Ten sposób odcinania słów był u Blocha zarazem oznaką ironii i kultury literackiej. Saint-Loup, który nigdy nie słyszał nazwiska pana Legrandin, zdziwił się: „Ale kto to taki?”. „Och, to ktoś *bardzo dobrze*” — odparł Bloch śmiejąc się i kładąc zziębnięte ręce do kieszeni, przekonany, że w tej chwili ogląda wyobraźnią malowniczego i zdumiewającego szlachcica z prowincji, przy którym figury Barbeya d’Aureville są niczym. Bolejąc, że nie umie odmalować pana Legrandin, uzupełniał ten obraz kilkomaloma L, smakując to nazwisko niby szlachetne wino. Ale ta jego osobista przyjemność nie udzielała się innym.

O ile Bloch mówił przed Robertem źle o mnie, z drugiej strony nie mniej złego mówił przede mną o Robercie. Poznaliśmy obaj szczegóły tej obmowy zaraz nazajutrz; nie iżbyśmy je sobie powtórzyli nawzajem, co by się nam wydało bardzo niegodne, ale co się Blochowi zdawało tak naturalne i prawie nieuniknione, że w swoim niepokoju, uważając za pewnik, iż powie każdemu z nas jedynie to, czego i tak musimy się dowiedzieć, wołał nas uprzedzić. Odciągając Roberta na bok, wyznał mu, że mówił źle o nim umyślnie, abym mu to powtórzył; zaklął się „na Kroniona Zeusa, strażnika przysięg”, że go kocha, że dałby życie za niego, i otarł łzę. Tegoż dnia postarał się widzieć mnie samego, wypowiadał się przede mną, oświadczył, że działał w moim interesie, uważając, iż pewien typ stosunków światowych jest dla mnie zgubny i że „wart jestem czegoś lepszego”. Po czym biorąc mnie za rękę z pijackim rozczuleniem, mimo że jego pijaństwo było czysto nerwowe: „Wierzaj mi — rzekł — i niechaj czarna Ker pochłonie mnie w tej chwili i wepchnie mnie w bramy Hadesu obmierzłego ludziom, jeżeli wczoraj, myśląc o tobie, o Combray, o mojej nieskończonej czułości dla ciebie, o chwilach spędzonych na ławce szkolnej, których ty nawet nie pamiętasz, nie szlochałem całą noc. Tak, całą noc, przysięgam ci, i niestety wiem o tym, bo znam dusze ludzi, nie uwierzysz mi”.

Nie uwierzyłem mu w istocie, a słowem tym, które — czułem to — Bloch wymyślał na poczekaniu — w miarę jak mówił, przysięga jego „na czarną Ker” nie przydawała wiele wagi, ile że kult hellenizmu był u Blocha czystą literaturą. Zresztą, ilekroć się zaczynał rozczulać i chciał kogoś rozczulić jakimś fałszem, powiadał: „Przysięgam ci”, bardziej jeszcze dla historycznej rozkoszy kłamania niż z chęci przekonania o prawdzie swoich słów. Nie wierzyłem w to, co mówił, ale nie żywiłem doń pretensji, bo miałem to po matce i babce, że byłem niezdolny do urazy, nawet wobec bardziej winnych, i nigdy nie potępiałem nikogo.

Bloch nie był zresztą absolutnie złym chłopcem, mógł się zdobyć na wielką delikatność. I od czasu jak rasa Combray, z której wiodły się istoty absolutnie czyste jak moja babka i matka, zdaje się niemal wygasła, kiedy mam do wyboru jedynie między zacnymi bydlakami, nieczułymi i prawymi, u których sam dźwięk głosu zdradza rychło, że się nie troszczą w niczym o nasze życie — a innym gatunkiem ludzi, którzy, dopóki są z nami, rozumieją nas, kochają, rozczulają się do łez, a biorą sobie odwet w kilka godzin potem, robiąc na nas jakiś okrutny żarcik, ale wracają do nas, wciąż równie rozumiejący, równie mili, równie wnikający w nas na chwilę, sądzę, że wolę ten drugi rodzaj ludzi, jeżeli nie jako wartość moralną, to bodaj jako towarzystwo.

— Nie możesz sobie wyobrazić mego cierpienia, kiedy myślę o tobie — ciągnął Bloch. — W gruncie to jest rys dosyć żydowski we mnie — dodał ironicznie, mrużąc oczy, tak jakby chodziło o dawkowanie pod mikroskopem nieskończenie drobnej cząstki „krwi żydowskiej” i tak jakby mógł powiedzieć (ale by nie powiedział) wielki pan francuski, gdyby między swymi wyłącznie chrześcijańskimi przodkami liczył Samuela Bernarda lub jeszcze starożytniej Matkę Boską, od której ponoć wywodzi się rodzina Lévy.

— Dość chętnie — dodał — biorę w swoich uczuciach w rachubę wcale szczupłą zresztą cząstkę, która może się wiązać z moim żydowskim pochodzeniem.

Wygłosił to zdanie, bo mu się zdawało równocześnie i inteligentne, i odważne powiedzieć prawdę o swojej rasie, prawdę, którą równocześnie starał się osobliwie złagodzić, jak

skąpcy, gdy się decydują spłacić długi, ale umieją się zdobyć tylko na zapłacenie połowy. Ten rodzaj oszukaństwa, polegający na odwadze powiedzenia prawdy, ale z domieszką sporej porcji kłamstw, które ją fałszują, jest bardziej rozpowszechniony, niż się przypuszcza; i nawet ci, co nie uprawiają go stale, uciekają się do niego w pewnych momentach, zwłaszcza gdy wchodzi w grę stosunek miłosny.

Wszystkie te kryjome wycieczki Blocha wobec Roberta przeciw mnie i wobec mnie przeciw Robertowi skończyły się zaproszeniem na obiad. Nie jestem bardzo pewny, czy najpierw nie próbował zdobyć Roberta samego. Taka próba byłaby dość prawdopodobna, ale widać nie uwieńczyła jej powodzenie, gdyż pewnego dnia Bloch zwrócił się do nas obu.

— Drogi mistrzu i ty, jeździec ulubiony Aresowi, margrafie de Saint-Loup-en-Bray, poskromicieli rumaków, skorom cię spotkał na ociekającym pianą wybrzeżu Amfitryty, w pobliżu namiotów Menierów o chybkich okrętach, czy zechcecie obaj przyjść któregoś dnia spożyć obiad u mego znamienitego ojca o sercu bez zmyzy?

Skierował do nas to zaproszenie, bo miał ochotę zbliżyć się z Robertem, który mógłby — Bloch miał tę nadzieję — wprowadzić go w sfery arystokratyczne. U mnie pragnienie takie wydałoby się Blochowi oznaką najwstrętniejszego snobizmu, zgodnego z opinią, jaką miał o całej stronie mego usposobienia, nie uważając jej, dotąd przynajmniej, za główną; ale to samo pragnienie u niego zdawało mu się dowodem chwalebnej żywotności jego inteligencji, żadnej pewnych odkryć socjalnych, mogących przynieść mu jakiś literacki pożytek.

Kiedy Bloch oznajmił ojcu, że przyprowadzi na obiad jednego ze swoich przyjaciół, którego tytuł i nazwisko wygłosił tonem sarkastycznego zadowolenia: „Margrabia de Saint-Loup-en-Bray”, ojciec doznał gwałtownego wstrząsu. „Margrabia de Saint-Loup-en-Bray! A, psiakość!” — wykrzyknął, posługując się przekleństwem, będącym u niego oznaką najwyższego socjalnego szacunku.

I rzucił na syna, zdolnego do zawiązania takich stosunków, pełne podziwu spojrzenie, które mówiło: „On jest naprawdę zdumiewający! Czy ten młody fenomen, to jest moje dziecko?”. Spojrzenie to sprawiło memu koledze więcej przyjemności, niż gdyby mu pomnożono miesięczną pensję o pięćdziesiąt franków. Bo Bloch czuł się źle w domu; czuł, że go ojciec uważa za pomyłonego, dlatego że żywi podziw dla Leconte de Lisle’a, dla Heredii i innej „bohemy”. Ale stosunki z margrabią Saint-Loup-en-Bray, którego ojciec był swego czasu prezesem Kanału Sueskiego (a, psiakość!), to był rezultat „bezsportny”. Tym więcej ojciec Blocha ubolewał, że zostawił w Paryżu stereoskop z obawy uszkodzenia tegoż. Jedynie starszy pan Bloch miał prawo się nim posługiwać. Czynił to zresztą rzadko, z rozwagą, w dniu przyjęć galowych z donajętymi lokajami. Tak że te stereoskopowe seanse stawały się dla uczestników jak gdyby wyróżnieniem, przywilejem, a panu domu, który je urządzał, dawały *prestige* podobny temu, jaki daje talent; *prestige* ten nie mógłby być większy, gdyby pan Bloch osobiście dokonał zdjęć i sam wymyślił aparat. „Nie byłeś wczoraj zaproszony do Salomona?” — pytano w rodzinie. „Nie, nie należałem do wybranych! Co tam było?”. „Wielka heca, stereoskop, cała parada”. „A, skoro był stereoskop, to żałuję, bo zdaje się, że Salomon jest bajeczny, kiedy go pokazuje”.

— Trudno — powiedział pan Bloch do syna — nie trzeba mu dawać wszystkiego naraz, w ten sposób zostanie mu coś na przyszłość.

W swojej czułości ojcowskiej, chcąc ucieszyć syna, pomyślał o tym, aby sprowadzić aparat. Ale brakło „fizycznego czasu” lub przynajmniej sądzono, że go braknie; musieliśmy wszelako odbyć ten obiad, bo Saint-Loup nie mógł się ruszyć, w oczekiwaniu wuja, który miał przyjechać na dwa dni do pani de Villaparis. Ponieważ ów wuj, rozmiłowany w ćwiczeniach fizycznych, zwłaszcza w długich marszach, odbywał drogę z zamku, gdzie bawił na wilegiaturze, po większej części pieszo, nocując u wieśniaków, chwila jego zjawienia się w Balbec była dość niepewna. Bojąc się ruszyć, Saint-Loup polecił mi nawet zanieść do Incauville, gdzie był urząd telegraficzny, depeszę, którą wysyłał co dzień do swojej kochanki. Oczekiwany wuj nazywał się Palamed — to imię odziedziczył po swoich przodkach, książętach Sycylii. I później, kiedy w ciągu swoich lektur historycznych odnajdywałem to imię, należące do jakiegoś podesty lub księcia Kościoła, niby piękny renesansowy medalion — inni mówili: prawdziwy antyk — przechowywany w rodzinie, przechodzący z biegiem pokoleń z gabinetu watykańskiego na wuja mego przyjaciela,

odczuwałem przyjemność właściwą tym, co nie mogąc z braku pieniędzy stworzyć sobie zbioru medali, pinakoteki, poszukują starych nazw (nazw miejscowości, dokumentarnych i malowniczych na kształt starej mapy, godła, szyldu lub kalendarza, imion chrześcijańskich, w których dźwięczy i wyraża się, w pięknych francuskich końcówkach, skaza języka, akcent etnicznego zniekształcenia, błędna wymowa, którą przodkowie nasi narzucali łacińskim lub saksońskim wyrazom, trwale skażenia, zmienione później w dostojne prawodawstwo gramatyki) i dzięki tej kolekcji zamierzonych dźwięków dają sami sobie koncerty, na sposób tych, co nabywają *viola di gamba* i *viola d'amore*, by uprawiać starą muzykę na dawnych instrumentach.

Saint-Loup powiedział mi, że nawet w najbardziej zamkniętym świecie arystokratycznym, wuj jego Palamed wyróżniał się jako szczególnie nieprzystępny, wgardliwy, zakochany w dostojności rodu, tworzący wraz z żoną swego brata i kilkoma innymi wybranymi tak zwane „kółko Feniksów”. I tam nawet budził taki lęk swymi fumami, że zdarzało się, iż ludzie z towarzystwa pragnący go poznać i zwracający się z tym do jego brata, spotykali się z odmową. „Nie, nie, niech mnie pan nie prosi o przedstawienie bratu. Choćbyśmy się do tego zaprzęgli wszyscy razem z moją żoną, nic byśmy nie wskórali. Lub naraziłby się pan na to, że Palamed zrobiłby panu jaką impertynencję, a tego bym nie chciał”. W Jockey Clubie sporządził wraz z kilkoma przyjaciółmi listę dwustu członków, których nigdy sobie nie pozwolą przedstawić. A u hrabiego Paryża znany był pod przydomkiem „królewiątka” dla swojej elegancji i dumy.

Saint-Loup opowiadał mi o dawno już minionej młodości swego wuja. Sprowadzał wówczas co dzień kobiety do garsoniery, którą miał wspólnie z dwoma przyjaciółmi, pięknymi jak on, co sprawiało, że ich nazywano „trzy Gracje”.

— Jeden z ludzi najbardziej dziś na widoku w Faubourg Saint-Germain, jakby powiedział Balzac, ale który w pierwszym, dość wątpliwym okresie życia zdradzał osobliwe gusty, poprosił wuj, aby mu pozwolił odwiedzić tę garsonierę. Ale ledwie przybył, zaczął się oświadczać nie kobietom, lecz wujowi Palamedowi. Wuj udał, że nie rozumie, odciągnął pod jakimś pretekstem na stronę swoich dwóch przyjaciół, po czym wrócili, wzięli delikwenta, rozebrali go, zbili do krwi i skopawszy, wyrzucili go na dziesięciostopniowy mróz na ulicę, gdzie go znaleziono w pół żywego. Policja wszczęła dochodzenie, któremu ten nieszczęsny ledwo zdołał z największym trudem zapobiec. Dziś wuj Palamed nie dopuściłby się tak okrutnej egzekucji; nie wyobrażasz sobie, ile osób z ludu — on, tak wyniosły z ludźmi swojej sfery — darzy sympatią, proteguje, często narażając się na niewdzięczność. To jakimś służącemu, który go obsługiwał w hotelu, wyrobił miejsce w Paryżu, to jakiegoś kmiotka da uczyć rzemiosła. To nawet jest u niego raczej sympatyczna strona, przez kontrast do jego światowości.

Saint-Loup należał w istocie do tego rodzaju młodych światowców, rosnących na wyżynie, gdzie zdołano wyhodować te zwroty: „To jest u niego raczej sympatyczne, to jego wcale sympatyczna strona”, nasiona dosyć cenne, wydające bardzo szybko sposób pojmowania rzeczy, bez którego siebie liczy się za nic, a „lud” za wszystko; w sumie — zupełne przeciwieństwo dumy plebejusza.

— Zdaje się, że niepodobna sobie wyobrazić, do jakiego stopnia on nadawał ton, jak on za młodu dyktował prawa całemu towarzystwu. Sam w każdej okoliczności robił to, co mu się zdawało najprzyjemniejsze, najwygodniejsze, ale natychmiast stawało się to wzorem dla snobów. Kiedy mu się w teatrze zachciało pić i kazał sobie przynieść coś do picia do łoża, w następnym tygodniu saloniki przy łóżach napełniły się chłodnikami. Pewnego dżdżystego lata, kiedy miał trochę reumatyzmu, zamówił sobie paltot z wielbłądziej sierści, miękkiej ale cieplej, używanej tylko na pledy; kazał nawet zachować niebieskie i żółte prążki. Natychmiast klienci modnych krawców zaczęli zamawiać niebieskie kosmate paltta z frędzlami. Jeśli dla jakiejś przyczyny chciał odjąć ceremonialny charakter obiadu na wsi, gdzie bawił przelotnie, i aby zaznaczyć ten odcień, nie wzięwszy ze sobą fraka, siadł do stołu w zwykłej marynarce, stawało się modą jeść na wsi obiad w marynarce. Kiedy, jedząc ciasto, zamiast łyżeczki posłużył się widelcem lub przyrządem własnego pomysłu, zamówionym specjalnie u jubilera, lub wreszcie palcami, nie wolno już było robić inaczej. Miał na przykład ochotę posłyszeć niektóre kwartety Beethovena (bo przy wszystkich swoich dzikich pomysłach, on wcale nie jest głupi, jest bardzo utalentowany) i sprowadzał sobie artystów, aby je przegrywali co tydzień dla niego i dla paru przyja-

ciół: szczytem elegancji stało się owego roku dawać bardzo nieliczne zebrania z muzyką kameralną. Myślę zresztą, że on się nie nudził w życiu. Przy swojej urodzie, ten musiał mieć kobiety! Nie umiałbym ci zresztą powiedzieć które, bo on jest bardzo dyskretny. Ale wiem, że bardzo zdradzał moją biedną ciotkę. Co nie przeszkadza, że był przemily dla niej, że ona go ubóstwiała, a on oplakiwał ją całe lata. Kiedy jest w Paryżu, chodzi jeszcze prawie co dzień na cmentarz.

Nazajutrz po dniu, gdy Robert opowiadał mi o swoim wuju, wciąż oczekując go, zresztą na próżno, wracałem sam koło kasyna do hotelu. Naraz doznałem wrażenia, że ktoś w pobliżu przygląda mi się. Obróciłem głowę i spostrzegłem mężczyznę może czterdziestoletniego, wysokiego i dość tęgiego, z bardzo czarnymi węsami, który, uderzając się nerwowo po spodniach laseczką, wpijał we mnie oczy rozszerzone uwagą. Chwilami oczy te przeszywało we wszystkich kierunkach spojrzenie nadzwyczaj żywe, jakie mają wobec nieznaney im osoby ludzie, w których z jakiego bądź powodu osoba ta budzi myśli obce każdemu innemu — na przykład wariaci lub szpiedzy. Skierował na mnie żarliwe spojrzenie, śmiałe, ostrożne, szybkie i głębokie zarazem, niby ostatni strzał, jaki ktoś oddaje tuż przed rzuceniem się do ucieczki; po czym, rozejrzawszy się dokoła, przybierając nagle roztargnioną i wyniosłą minę, opanowawszy się gwałtownie, pogrążył się w lekturze afisza, nucąc jakąś aryjkę i poprawiając różę zwisającą z butonierki. Wyjął z kieszeni notatnik, w który zdawał się wpisywać tytuł widowiska, dobył parę razy zegarka, nasunął na oczy czarny słomkowy kapelusz, przykładając do jego róna dłoń jakby dla sprawdzenia, czy ktoś nie nadchodzi; uczynił gest zniecierpliwienia, jakim człowiek niby to wyraża, że ma dość czekania, ale jakiego nie robi nigdy, gdy czeka naprawdę; po czym, odsuwając w tył kapelusz i ukazując krótko ostrzyżoną szczotkę włosów z dłuższymi puklami na skroniach, wydał głośne westchnienie nie człowieka, któremu jest za gorąco, ale człowieka, który chce okazać, że mu jest za gorąco.

Pomyślałem, czy to nie złodziej hotelowy, który, zauważywszy może w ciągu poprzednich dni babkę i mnie i gotując jakiś zamach, spostrzegł, że go przyłapał na tym, że mnie śledzi; aby zmylić trop, może starał się tylko zmianą swojej postawy wyrazić roztargnienie i obojętność, ale czynił to z tak natrętną przesadą, jak gdyby miał na celu co najmniej tyleż rozproszyć moje możliwe podejrzenia, co pomścić upokorzenie, o jakie go bezwiednie przyprawilem, obudzić we mnie przekonanie nie tyle, że mnie nie widział, co że jestem przedmiotem zbyt mało znaczącym, aby zasługiwać na jego uwagę. Wypinał się prowokująco, zaciskał wargi, podkreślał wąsy, dając swoim spojrzeniom coś obojętnego, twardego, niemal obelżywego; tak iż niezwykłość jego wzroku kazała mi go brać to za złodzieja, to za wariata. Jednakże strój jego, nadzwyczaj wyszukany, był o wiele poważniejszy i o wiele skromniejszy niż u wszystkich letników w Balbec, pokrzepiający dla mojej marynarki, tak często upokarzanej olśniewającą i banalną bielą ich plażowych kostiumów.

Tymczasem babka wyszła na moje spotkanie, spacerowaliśmy trochę; w godzinę później czekałem na nią przed hotelem, dokąd weszła na chwilę, kiedym ujrział panią de Villeparisis, wychodzącą z Robertem de Saint-Loup i z owym nieznanym, który mi się tak bystro przyglądał przed kasynem. Wzrok jego przeszył mnie z szybkością błyskawicy, tak samo jak wówczas, gdy go spostrzegłem po raz pierwszy; po chwili wzrok ten — tak jakby mnie nie dojrzał stojącego nieco niżej, w polu jego widzenia — wrócił stępio-ny, obojętny: wzrok, który udaje, że nic nie widzi i niezdolny jest nic wyrazić; malujący jedynie satysfakcję czucia dokoła siebie rzesz rozchylonych jego błogą krągłością; nabożny i słodki wzrok, jaki mają niektórzy hipokryci, zadowolony z siebie wzrok, jaki mają niektórzy głupcy. Ujrzałem, że nieznanomy zmienił ubranie. Obecny jego strój był jeszcze ciemniejszy; niewątpliwie dlatego, iż prawdziwa elegancja mniej jest odległa od prostoty niż fałszywa; ale było jeszcze coś: widząc go z bliska, czuło się, że jeżeli kolor jest prawie zupełnie obcy jego ubraniu, to nie dlatego, aby ten, co nim wzgardził, był nań obojętny, ale raczej że go sobie zabronił dla jakiejś przyczyny. Surowość jego stroju bardziej zdawała się wynikać z jakiejś narzuconej diety niż z braku łakomstwa. Ciemnozielona nitka w materii spodni harmonizowała ze strzałką u skarpetek, z wyrafinowaniem zdradzającym żywość poskromionego wszędzie indziej smaku, jakiemu zrobiono przez tolerancję to jedno ustępstwo, podczas gdy czerwona plamka na krawacie była niedostrzegalna niby zuchwałstwo, na które ktoś nie śmie sobie pozwolić.

— Dobry wieczór, przedstawiam panu mego bratanka, barona de Guermantes — rzekła do mnie pani de Villeparisis, podczas gdy nieznamy, nie patrząc na mnie, wybąkał niewyraźnie: „Bardzo mi miło”, co uzupełnił dźwiękami: „hum, hum, hum”, aby dać swojej uprzejmości coś wymuszonego; równocześnie, zginając mały, wielki i wskazujący palec, podał mi środkowy i serdeczny, bez żadnego pierścionka. Ucisnąłem je przez szwedzką rękawiczkę; po czym baron, nie podnosząc na mnie oczu, obrócił się ku pani de Villeparisis.

— Mój Boże, czy ja głowę tracę — rzekła margrabina — przecież ja cię nazwałam baronem de Guermantes. Przedstawiam panu barona de Charlus. Ostatecznie, pomyłka nie jest tak wielka — dodała — i tak przecie jesteś Guermantes.

Tymczasem zjawiła się babka, szliśmy kawałek razem. Wuj Roberta nie zaszczycił mnie nie tylko słowem, ale nawet spojrzeniem. O ile przyglądał się czasem obcym (a w czasie tej krótkiej przechadzki rzucił parę razy swoje straszliwe i głębokie spojrzenie niby sondę na przechodniów nieznaczących i nader skromnego stanu), w zamian za to, o ile miałem sądzić po sobie, nie patrzył ani przez chwilę na osoby, które znał — niby obarczony tajną misją agent, który wyłącza swoich przyjaciół z zawodowego nadzoru. Zostawiając barona rozmawiającego z margrabinią i z babką, zatrzymałem Roberta w tyle:

— Powiedz mi, czy ja dobrze słyszałem, pani de Villeparisis powiedziała, że twój wuj jest Guermantes.

— Ależ tak, oczywiście, to Palamed de Guermantes.

— Czy z tych samych Guermantów, co mają zamek w pobliżu Combray i jakoby pochodzą od Genowefy Brabanckiej?

— Najzupełniej: wuj, który jest pierwszorzędnym heraldyk, odpowiedziałby ci, że nasze *zawołanie*, nasz okrzyk wojenny, który później brzmiał Passavant, był zrazu Combraysis — rzekł Robert, śmiejąc się, aby się nie wydawało, że czerpie próżność w tym przywileju *zawołania*, który posiadały jedynie domy quasi-panujące, wielcy naczelnicy klanów. — Wuj Palamed jest bratem obecnego posiadacza zamku.

Tak więc wiązała się, i to bardzo blisko, z Guermantami owa pani de Villeparisis, będąca tak długo dla mnie damą, od której dostałem paczkę czekolady, będąc mały, bardziej odległa wówczas od strony Guermantes, niż gdyby była zamknięta w stronie Méséglise, mniej świetna, stawiana przeze mnie poniżej optyka z Combray, a obecnie podlegająca nagle jednej z owych fantastycznych zwyżek, równie nieprzewidzianej jak zniżka innych posiadanych przez nas przedmiotów, które to zmiany — jedno i drugie — wnoszą w naszą młodość i w te części naszego życia, w których przetrwało coś z naszej młodości, przeobrażenia równie liczne jak metamorfozy Owidiusza.

— Czy w zamku znajdują się wszystkie portrety dawnych panów na Guermantes?

— Tak, to piękny widok — rzekł ironicznie Saint-Loup. — Mówiąc między nami, wszystkie te rzeczy wydają mi się trochę głupie. Ale jest w Guermantes rzecz o wiele bardziej interesująca: bardzo wzruszający portret mojej ciotki przez Carrière'a. To piękne jak Whistler albo jak Velasquez — dodał Saint-Loup, który w gorliwości neofity nie zawsze zbyt ściśle zachowywał skalę wielkości. — Są tam też wstrząsające obrazy Gustawa Moreau. Ciotka moja jest siostrzenicą waszej przyjaciółki, pani de Villeparisis; chowała się przy niej i wyszła za swego kuzyna, obecnego diuka de Guermantes, który też jest siostrzeńcem ciotki Villeparisis.

— W takim razie czym jest twój wuj?

— Nosi tytuł barona de Charlus. Prawidłowo, kiedy mój wujeczny dziadek umarł, wuj Palamed powinien był przybrać tytuł księcia des Laumes, który nosił jego brat, zanim został księciem de Guermantes, bo w tej rodzinie zmieniają nazwiska jak koszule. Ale wuj ma na te sprawy poglądy bardzo osobiste. Że zaś uważa, iż nadużywa się trochę księstw włoskich, grandostw hiszpańskich etc., przeto, mimo iż miał do wyboru między kilkoma tytułami książęcymi, zachował tytuł barona de Charlus, manifestacyjnie i z pozorami prostoty kryjącej sporo dumy. „Dzisiaj (powiada) lada kto jest księciem, trzebaż mieć coś, co by człowieka wyróżniało; wezmę tytuł księcia, kiedy zechcę podróżować incognito”. Nie ma, wedle niego, starszego tytułu niż baron de Charlus; aby dowieść, że jest dawniejszy od Montmorency'ch, fałszywie podających się za pierwszych baronów Francji, gdy byli tylko pierwszymi baronami Ile-de-France, gdzie było ich lenno, wuj rozwinie ci ten temat przez całe godziny, i to z przyjemnością, mimo bowiem że to jest człowiek bardzo inteligentny,

bardzo utalentowany, uważa, że to jest całkiem żywy przedmiot konwersacji — dodał z uśmiechem Saint-Loup. — Ale że ja nie jestem podobny w tym do niego, nie każesz mi chyba mówić o genealogii; nie znam nic nudniejszego, bardziej martwego, doprawdy życie jest zbyt krótkie.

W twardym spojrzeniu, które kazało mi się niedawno obejrzeć koło kasyna, poznawałem teraz to, które widziałem wlepione w siebie w Tansonville, w chwili gdy pani Swann wołała Gilbertę.

— Czy między licznymi kochankami, które, jak mi mówiłeś, miał pan de Charlus, nie było pani Swann?

— Och, bynajmniej! To znaczy, on jest wielki przyjaciel Swanna i zawsze bardzo go popierał. Ale nigdy nie słyszałem, aby był kochankiem jego żony. Wywołałbyś wielkie zdumienie w towarzystwie, gdybyś okazał, że w to wierzysz.

Nie śmiałem odpowiedzieć, że wywołałbym jeszcze większe zdumienie w Combray, gdybym okazał, że w to nie wierzę.

Babka była zachwycona panem de Charlus. Niewątpliwie, baron przywiązywał ogromną wagę do spraw urodzenia i pozycji, i babka zauważyła to, ale bez owej surowości, w której skład wchodzi zazwyczaj tajemna zazdrość i irytacja, że się widzi kogoś drugiego posiadaczem przewag, jakie na próżno chcielibyśmy mieć sami. Ponieważ, przeciwnie, babka, zadowolona ze swego losu i niezazdroszcząca nikomu światowych blasków, obserwowała wady pana de Charlus jedynie intelektualnie, mówiła o wuju Roberta z ową swobodną, uśmiechniętą, sympatyczną niemal życzliwością, jaką nagradzamy przedmiot naszej bezinteresownej obserwacji za przyjemność, jaką nam sprawia. Tym bardziej, że tym razem przedmiot był osobistością, której pretensje, o ile nie uprawnione, to bodaj malownicze, dość żywo odcinały nowo poznanego od osób, jakie babka miała sposobność widywać. Ale jeżeli tak łatwo przebaczyła panu de Charlus jego arystokratyczne przesady, to zwłaszcza przez wzgląd na jego inteligencję i wrażliwość, których żywość zgadywało się u niego, w przeciwieństwie do tylu salonowców, przedmiotu drwin Roberta. Ale wuj nie poświęcił, jak siostrzeniec, tych przesądów dla wyższych wartości. Pan de Charlus raczej pogodził jedno z drugim. Posiadając, jako potomek książąt de Nemours i de Lamballe, archiwa, meble, dywany, portrety, sporządzone dla jego przodków przez Rafaela, Velasqueza, Bouchera, mogąc słusznie powiedzieć, iż zwiedza muzeum i nieporównaną bibliotekę, gdy przeglądał jedynie swoje pamiątki rodzinne, dawał, przeciwnie, arystokratycznemu dziedzictwu rangę, z której siostrzeniec jego je stracił. Mniej wierzący w „ideę” od Roberta, mniej biorący się na słowa, większy realista w obserwowaniu ludzi, nie chciał może zaniedbać tak ważnego elementu dającego mu urok w ich oczach; czynnik ten, o ile dawał jego wyobraźni bezinteresowne satysfakcje, równie często mógł się stać potężnym środkiem dla jego praktycznych działań. Wieczna będzie różnica między ludźmi tego rodzaju a tymi, co zostają posłuszni wewnętrznemu ideałowi, każącemu się im wyżyć owych przewag, aby się wyłącznie starać urzeczywistnić ten ideał. Ci podobni są malarzom lub pisarzom wyrzekającym się wirtuozji; plemionom artystów, które się modernizują; ludom wojennym podejmującym inicjatywę powszechnego rozbrojenia; rządowi absolutnym, które się demokratyzują, wyrzekając się twardych praw. Często życie nie przynosi nagrody za ten szlachetny wysiłek; jedni bowiem tracą talent, drudzy wiekową przewagę; pacyfizm mnoży niekiedy wojny, a pobłażanie zbrodniczość. O ile dążenia Roberta do szczerości i do wyzwolenia się trzeba było uznać za bardzo szlachetne, wolno było — sądząc z rezultatu — cieszyć się, że ich zbywało panu de Charlus, który kazał przenieść do siebie większość cudownych boazerii z pałacu Guermantes, zamiast je wymienić, jak jego siostrzeniec, na urządzenie „*modern style*”, na Lebourgów i Guillauminów. Niemniej prawdą było, że ideał pana de Charlus był bardzo sztuczny, i — gdyby ten epitet można skojarzyć ze słowem *ideał* — w równym stopniu światowy co artystyczny. W kilku kobietach wielkiej piękności i rzadkiej kultury, których babki były dwa wieki wprzód wplecione w chwałę i wykwiłt dawnego panowania, baron widział dystynkcję, dzięki której podobał sobie tylko w ich towarzystwie. Podziw, jaki dla nich żywił, był z pewnością szczerzy; ale liczne reminiscencje z historii i sztuki wywołane ich nazwiskami odgrywały w tym wielką rolę, tak jak pamiątki starożytności są jednym ze źródeł przyjemności, jaką uczone znajduje w odczytywaniu ody Horacego, mniej może wartej od dzisiejszych poematów, które zostawiłyby tegoż uczonego obojętnym. Każda z tych

kobiet, w zestawieniu z ładną mieszczańką, była dla barona tym, czym przy dzisiejszym plótnie przedstawiającym jakiś pejzaż lub wesele są owe stare obrazy, których historię znamy od papieża lub króla, co je zamówili, poprzez osoby posiadające je w drodze daru, kupna, zdobyczy lub dziedzictwa. Takie dzieła wiążą się dla nas z jakimś wydarzeniem lub co najmniej małżeństwem o historycznej doniosłości; tym samym wiadomości nabyte o nich dają im nową użyteczność, zwiększają poczucie bogactw naszej pamięci lub naszej erudycji. Pan de Charlus cieszył się, że ten sam przesąd, nie pozwalając owym kilku wielkim damom przestawać z kobietami krwi mniej czystej, oddał je jego kultowi nietknięte, w ich nieskazonym szlacheństwie, niby jakąś fasadę z XVIII wieku, wspartą płaskimi kolumnami z różowego marmuru, w niczym niezmienioną przez czas.

Pan de Charlus wielbił prawdziwe *szlacheństwo* ducha i serca tych kobiet, igrając w ten sposób terminem, mającym jego samego i kryjącym kłamstwo tego wątpliwego pojęcia, wieloznacznika arystokracji, szlachetności i sztuki, ale także jego urok, niebezpieczny dla osób takich jak moja babka. Przesady arystokraty patrzącego jedynie na rodowód i niedbającego o resztę wydałyby się jej zbyt śmieszne, ale była bez obrony z chwilą, gdy jakaś rzecz ukazywała się pod pozorami duchowej wyższości; tak iż uważała panujących za ludzi najgodniejszych zazdrości, bo mogli mieć za nauczyciela jakiegoś La Bruyere'a lub Fénelona.

Przed Grand-Hotelem troje Guermantów pożegnało nas; wybierali się na śniadanie do księżnej de Luxembourg. W chwili gdy babka żegnała się z panią de Villeparisis, a Saint-Loup z babką, pan de Charlus, który dotąd nie odezwał się do mnie ani słowem, cofnął się o kilka kroków i znalazł się przy mnie: „Zajdę dziś wieczór na herbatę do ciotki Villeparisis — rzekł. — Mam nadzieję, że zrobi mi pan tę przyjemność, aby przybyć wraz z babką”. I odszedł ku margrabinie.

Mimo że była niedziela, stało przed hotelem nie więcej fiaków niż z początkiem sezonu. Specjalnie żona rejenta uznała, że za kosztowne jest wynajmować za każdym razem powóz na to, aby nie być u państwa de Cambremer i zadowolili się siedzeniem w pokoju.

— Czy pani Blandais jest cierpiąca? — pytano rejenta. — Nie pokazała się dziś.

— Trochę ją głowa boli, upał, burza. Lada co jej szkodzi; ale sądzę, że ujrzyjcie ją państwo wieczorem. Poradziłem jej, aby zeszła. To jej tylko dobrze zrobi.

Pomyślałem, że zapraszając nas tak do ciotki (nie wątpiłem, iż musiał ją o tym uprzedzić), pan de Charlus chciał mi wynagrodzić swoją niedostateczną uprzejmość w czasie przedpołudniowej przechadzki. Ale kiedy, wszedłszy do salonu pani de Villeparisis, chciałem się przywitać z baronem, daremnie kręciłem się koło niego. Opowiadał właśnie ostrym głosem dość zjadliwą historię o którymś ze swoich krewnych. Nie mogąc pochwycić jego spojrzenia, zdecydowałem się powiedzieć mu dobry wieczór, i to dość głośno, aby go uprzedzić o mojej obecności; ale zrozumiałem, iż zauważył ją, bo zanim jeszcze jakieś słowo wyszło z moich ust, kłaniając się, ujrzałem wyciągnięte do mnie dwa palce barona, przy czym nie odwrócił oczu i nie przerwał rozmowy. Widział mnie oczywiście, nie pokazując tego. Spostrzegłem też wówczas, że jego oczy, które nigdy nie patrzyły wprost na tego, z kim rozmawiał, biegały ustawicznie we wszystkich kierunkach, jak oczy przestraszonego zwierzęcia lub oczy przekupniów ulicznych, którzy, podczas gdy zachwalają swój niedozwolony towar, badają — ale nie odwracając głowy — rozmaite punkty horyzontu, skąd mogłaby się zjawić policja. Jednakże uczułem się nieco zdziwiony, iż pani de Villeparisis, bardzo zresztą rada, że nas widzi, nie spodziewała się nas; a bardziej jeszcze, kiedy usłyszał, jak pan de Charlus mówi do babki:

— A, to bardzo dobra myśl, że państwo przyszli, to bardzo miło, prawda, ciociu?

Bez wątpienia zauważył zdziwienie pani de Villeparisis przy naszym wejściu i sądził, jak człowiek nawykły poddawać ton, że aby zmienić to zdziwienie w radość, wystarczy mu ją okazać samemu, wskazać, że to jest uczucie, jakie nasze zjawienie się powinno wywołać. W czym miał słuszność; pani de Villeparisis bowiem, która bardzo liczyła się z siostrzeńcem i wiedziała, jak trudno jest znaleźć łaskę w jego oczach, odkryła nagle jak gdyby nowe przymioty w mojej babce i rozwinęła dla niej szczególną uprzejmość. Ale ja nie mogłem pojąć, jak pan de Charlus mógł w ciągu kilku godzin zapomnieć swego zaproszenia, tak zwięzłego, ale na pozór tak umyślnego, tak celowego, jakie zwrócił do mnie rano, i czemu nazywa „dobrym pomysłem” babki pomysł pochodzący całkowicie od niego samego. Ze skrupułem ścisłości, jaki zachowałem aż do wieku, gdym pojął,

że dopytywanie się nie jest najlepszym sposobem zgłębienia czyichś intencji i że ryzyko nieporozumienia, które prawdopodobnie ujdzie niepostrzeżone, mniejsze jest niż ryzyko naiwnego nalegania, rzekłem:

— Ależ, proszę pana, pan sobie przypomina przecież, że to pan sam prosił nas, abyśmy przyszli wieczór?

Żaden dźwięk, żaden ruch, nie zdradził, czy pan de Charlus usłyszał moje pytanie. Co widząc, powtórzyłem je, jak dyplomaci lub poróżnieni młodzi ludzie, wkładający niestrudzoną i daremną dobrą wolę w to, aby uzyskać wyjaśnienia, których druga strona zdecydowana jest nie udzielić. Pan de Charlus znowu mi nie odpowiedział. Zdawało mi się, że na ustach barona igra uśmiech człowieka sądzącego z bardzo wysoka charakteru i wychowanie.

Skoro baron odmawiał wszelkiego wytłumaczenia, próbowałem je znaleźć sam, ale wahałem się między kilkoma, z których żadne nie mogło wystarczyć. Może już sobie nie przypominał, a może ja źle zrozumiałem jego słowa... Bardziej prawdopodobnie, przez dumę nie chciał, aby się wydało, iż starał się ściągnąć ludzi, którymi gardził; wołał tedy na nich samych przerzucić inicjatywę. Ale skoro nami gardził, czemu zależało mu na tym, abyśmy przyszli lub raczej aby babka przyszła, bo z nas dwojga jedynie do niej zwracał się w ciągu wieczora, a do mnie ani razu. Rozmawiając z ożywieniem z nią, zarówno jak z panią de Villeparisis, schowany niejako za nimi niby w głębi łoży, chwilami tylko odwracając badawcze spojrzenie swoich przenikliwych oczu, wlepił je w moją twarz z tą samą powagą, z tym samym nasileniem, co gdyby to był rękopis trudny do odcyfrowania.

Bez wątpienia, gdyby nie te oczy, twarz pana de Charlus byłaby podobna do twarzy wielu przystojnych mężczyzn. Saint-Loup, mówiąc ze mną o innych Guermantach, rzekł kiedyś: „Ba, oni nie mają tej rasy, tego wielkopaństwa w każdym calu, jakie ma wuj Palamed”; potwierdzając, że rasa i arystokratyczna dystynkcja nie są czymś tajemniczym i nowym, lecz polegają na składnikach, które rozpoznawałem bez trudu i bez specjalnego wrażenia. Miałem uczucie, że się rozwiewa jedno z moich złudzeń. Ale daremnie pan de Charlus zamykał hermetycznie wyraz owej twarzy, której lekka warstwa pudru dawała coś z twarzy aktora; oczy jego były niby szczelina, niby strzelnica, której nie mógł zatkać i przez którą, zależnie od punktu, z którego się nań patrzyło, czuło się nagle strzelający blask jakiejś wewnętrznej maszyny palnej, niezbyt bezpiecznej nawet dla tego, kto, nie będąc całkowicie jej panem, nosiłby ją w sobie, w stanie chwiejnej równowagi i zawsze gotową wybuchnąć. I ten oględny, a wciąż niespokojny wyraz jego oczu, z całym zmęczeniem, które dokoła nich, aż do bardzo szerokiego podkrążenia, wyrażało się w tej twarzy, mimo iż tak dobrze ułożonej i zamaskowanej, robił wrażenie jakiegoś incognito, jakiegoś przebrania potężnego człowieka w niebezpieczeństwie lub tylko osobnika niebezpiecznego, ale tragicznego. Pragnąłbym odgadnąć, co to była za tajemnica, nieistniejąca w innych ludziach — tajemnica, która mi uczyniła tak zagadkowym spojrzenie pana de Charlus, kiedym go ujrzał rano koło kasyna. Ale znane mi obecnie jego parantele nie pozwalały mi go już brać za złodzieja, a rozmowa barona nie pozwalała przypuszczać, aby to był wzrok obłąkanego. Jeżeli był chłodny dla mnie, będąc równocześnie tak uprzejmy dla mojej babki, wynikało to może nie z osobistej antypatii, bo na ogół, o ile baron wydawał się życzliwy dla kobiet, wyrażając się o ich wadach nader pobłaźliwie, o tyle żywił do mężczyzn, zwłaszcza do młodych ludzi, gwałtowną nienawiść, przypominającą nienawiść mizoginów w stosunku do kobiet. O paru „gigolo”, należących do rodziny lub do przyjaciół Roberta, a których nazwiska ów przypadkowo zacytował, pan de Charlus powiedział z wyrazem twarzy niemal okrutnym, odbijającym od jego zwykłego chłodu: „To są małe kanalie”. Zrozumiałem, iż on wyrzuca dzisiejszym młodym ludziom zwłaszcza to, że są zbyt zniewieściali: „To istne baby”, mówił ze wzgardą. Ależ jakie życie nie wydałoby się zniewieściałym wobec tego, jakiego on żądał dla mężczyzny, nigdy nie znajdując go dość energicznym i męskim? (On sam, w czasie swoich pieszych wędrówek, po kilku godzinach marszu rzucał się zgrzany w lodowate strumienie). Nie dopuszczał, aby mężczyzna nosił bodaj jeden pierścionek. Ale te męskie upodobania nie niweczyły w nim zalet najsubtelniejszej wrażliwości. Kiedy pani de Villeparisis prosiła go, aby opisał babce zamek, gdzie mieszkała pani de Sévigné, dodając, że widzi trochę literatury w jej rozpaczliwym powodzie rozłąki z tą nudną panią de Grignan, baron odparł:

— Przeciwnie, wydaje mi się to absolutnie szczerze. Była to zresztą epoka, która doskonale rozumiała te uczucia. Mieszkaniec Monomopata u La Fontaine'a, spieszący do przyjaciela dlatego, że mu się wydał nieco smutny we śnie, gołąbek tak cierpiący wskutek rozłąki z drugim gołąbkim, będą dla cioci zapewne równie przesadni jak pani de Sévigné niemogąca się doczekać chwili, gdy się znajdzie sama z córką. To takie piękne, co ona mówi, rozstawszy się z nią: „To rozstanie sprawia duszy mojej ból, który czuję wprost fizycznie. W czasie rozłąki człowiek szafuje hojnie godzinami. Posuwa się w czasie, do którego wdycha”.

Babka była uszczęśliwiona, słysząc, że pan de Charlus mówi o tych listach zupełnie tak, jakby ona o nich mówiła. Dziwiła się, że mężczyzna może je rozumieć tak dobrze. Znajdowała w panu de Charlus kobiecą delikatność i wrażliwość. Później, kiedy, zostawszy sami, rozmawialiśmy o nim, powiedzieliśmy sobie, że on musiał być pod wielkim wpływem jakiejś kobiety, swojej matki lub potem córki, o ile miał dzieci. Ja rzekłem w duchu: „kochanki”, myśląc o kochance Roberta i o wpływie, jaki jej przypisywałem, co mi pozwalało zdać sobie sprawę, do jakiego stopnia kobiety, z którymi się żyje, wysubtelniają mężczyzn.

— Znalazłszy się z córką, zapewne nie miała jej nic do powiedzenia — odparła pani de Villeparisis.

— Z pewnością miała; choćby tylko, jak je nazywała, owe „rzeczy tak lekkie, że jedynie my dwie je czujemy”. W każdym razie była z nią! A La Bruyère powiada nam, że to jest wszystko: „Być obok tych, których się kocha; mówić do nich, nie mówić, to jedno”. Ma słuszność, to jedyne szczęście — dodał pan de Charlus melancholijnym głosem — i, niestety, życie jest tak źle urządzone, że tego jedyne szczęścia kosztuje się bardzo rzadko. Pani de Sévigné była w sumie mniej nieszczęśliwa od innych. Spędziła znaczną część życia z tą, którą kochała.

— Zapominasz, że to nie była miłość; chodziło o córkę.

— Ależ ważne w życiu jest nie to, kogo się kocha — podjął tonem kompetentnym, stanowczym, niemal rozstrzygającym — ważne to kochać. To, co czuła pani de Sévigné dla córki, może o wiele słuszniej pretendować do podobieństwa z namiętnością, jak Racine odmalował w *Andromace* lub w *Fedrze*, niż banalne stosunki młodego Sévigné z jego kochankami. Toż samo miłość jakiegoś mistyka do Boga. Zbyt ciasne linie demarkacyjne, jakimi określamy miłość, pochodzą jedynie z naszej nieznamości życia.

— Ty tak lubisz *Andromakę* i *Fedzę*? — spytał Saint-Loup wuja tonem lekkiej wzgardy.

— Więcej jest prawdy w jednej tragedii Racine'a niż we wszystkich dramach pana Wiktora Hugo — odparł baron.

— Ci światowcy są bądź co bądź przerażający! — szepnął mi Saint-Loup do ucha. — Woleć Racine'a od Wiktora to jednak jest monstrualne!

Był szczerze zasmucony słowami wuja, ale przyjemność powiedzenia: „bądź co bądź”, a zwłaszcza: „monstrualne”, pocieszyła go.

W tych refleksjach o smutku życia z dala od przedmiotu ukochania (które stały się powodem, że babka uznała, iż bratanek pani de Villeparisis o wiele głębiej pojmuje pewne utwory niż jego ciotka, zwłaszcza ma coś, co go stawia o wiele wyżej od większości klubowców), pan de Charlus okazywał nie tylko subtelność uczuć w istocie rzadką u mężczyzny; sam jego głos, podobny do pewnych altowych głosów, w których nie dość kształcono średnicę i których śpiew zdaje się dwugłosem młodego człowieka i kobiety, sięgał, w chwili gdy wyrażał tak delikatne myśli, wysokich nut, nabierał nieoczekiwanej słodczy i zdawał się zawierać chóry oblubienic, sióstr, przepojone tkliwością. Ale rój dziewcząt, które pan de Charlus, ze swoim wstrętem do zniewieściałości, nie rad byłby odnaleźć w swoim głosie, nie ograniczał się do interpretacji, do modulacji sentymentalnych motywów. Często, gdy baron rozmawiał, słyszało się w jego głosie ostry i świeży śmiech pensjonarek lub zalotniś, obrabiających bliźniego z całą ciętością wygadanych i sprytnych szelmeczek.

Opowiadał, że jakaś posiadłość, będąca wprzód w jego rodzinie, pałacyk, gdzie nocowała Maria Antonina, z parkiem stanowiącym dzieło Lenôtre'a, należą teraz do bogatych finansistów, państwa Izrael, którzy go kupili.

— Israel, takie przynajmniej nazwisko podają ci ludzie; mnie się to raczej wydaje termin rasowy, etniczny niż nazwisko. Nie wiadomo, może ten gatunek ludzi nie nosi nazwisk, może się ich oznacza jedynie wedle gromady, do której należą. Mniejsza! Ale być niegdyś siedzibą Guermantów i należeć do Israelów!!! — wykrzyknął. — To mi przywodzi na myśl ów pokój w zamku Blois, gdzie dozorca, który go pokazywał, powiedział: „Tu modliła się Maria Stuart; a teraz ja tu chowam swoje miotły”. Oczywiście, nie chcę nic wiedzieć o tej posiadłości, która się zhańbiła, tak samo jak o mojej kuzynce Klarze de Chimay, która rzuciła męża. Ale zachowuję fotografię tej posiadłości jeszcze nieskażonej, tak samo jak fotografię księżnej, kiedy jej wielkie oczy widziały jedynie mego kuzyna. Fotografia nabiera trochę brakującej jej godności, kiedy przestaje być odbiciem rzeczywistości i pokazuje nam rzeczy już nieistniejące. Pozwolę sobie ofiarować ją pani, skoro ten rodzaj architektury panią interesuje — rzekł do babki.

Równocześnie spostrzegłszy, że haftowana chusteczka, tkwiąca w jego kieszeni, wysuwa się kolorowym szlaczkiem, schował ją żywo ze spłoszoną miną kobiety wstydlivej, ale nie niewinnej, kryjącej swoje wdzięki, które przez nadmiar skrupułu uważa za nieprzystojne.

— Niech pani sobie wyobrazi — dodał — że ci ludzie zaczęli od zniszczenia parku Lenôtre’a; występki równy temu, co gdyby ktoś pokrajał obraz Poussina. Za to ci Israelie powinni by siedzieć w kryminale. Prawda — dodał, uśmiechając się po chwili milczenia — że jest z pewnością tyle innych rzeczy, za które powinni by siedzieć! W każdym razie, wyobraża pani sobie efekt, jaki przy tej architekturze robi angielski ogród.

— Ależ dom jest w tym samym stylu co Trianon — rzekła pani de Villeparisis — a Maria Antonina założyła tam przecie ogród angielski?

— Który, mimo wszystko, szpeci fasadę Gabriela — odparł pan de Charlus. — Oczywiście, byłoby teraz barbarzyństwem niszczyć jej sióło. Ale, na wspak duchowi chwili, wątpię, aby pod tym względem kaprys pani Izrael miał tę samą siłę, co pamięć królowej.

Tymczasem babka dała mi znak, abym szedł spać, mimo nalegań Roberta, który, ku memu wielkiemu zawstydzeniu, zrobił wobec pana de Charlus aluzję do smutku, jaki mnie ogarnia często wieczorem przed zaśnięciem, co się jego wujowi musiało wydać bardzo niemęskie. Ociągałem się jeszcze trochę, po czym wyszedłem. Bardzo się zdziwił, kiedy w chwilę później usłyszałem pukanie do drzwi, a na zapytanie, kto puka, usłyszałem głos pana de Charlus, oznajmiający sucho:

— Tu Charlus. Czy mogę wejść? Proszę pana — rzekł, zamknąwszy drzwi — siostrzeniec mówił przed chwilą, że pan się czuje nieswojo przed zaśnięciem; mówił również, że pan podziwia książki pana Bergotte. Ponieważ mam z sobą jego książkę, której pan pewno nie zna, przynoszę ją, aby panu pomogła przebyć trudne chwile.

Podziękowałem ze wzruszeniem i rzekłem, iż, przeciwnie, bałem się, aby to, co Saint-Loup opowiedział mu o moim złym samopoczuciu z nadejściem nocy, nie uczyniło mnie w oczach barona jeszcze głupszym, niż jestem.

— Ależ nie — odparł łagodnie. — Nie ma pan może osobistych przymiotów, tak mało kto je posiada! Ale, na jakiś czas przynajmniej, ma pan młodość, a to jest zawsze urok. Zresztą, drogi panie, największa głupota to uważać za śmieszne lub naganne coś, czego się nie odczuwa samemu. Lubię noc, a pan mi powiada, że się pan jej boi; lubię zapach róż, a mam przyjaciela, którego on przyprawia o gorączkę. Czy pan sądzi, że ja go dlatego uważam za coś gorszego? Staram się wszystko zrozumieć i strzegę się cokolwiek potępić. W sumie, niech się pan zbytnio nie skarży; nie powiem, aby tego rodzaju smutki nie były przykre; wiem, ile można cierpieć z powodu rzeczy, których inni by nie zrozumieli. Ale przynajmniej dobrze pan umieścił swoje przywiązanie w osobie babki. Może ją pan wciąż widywać. A przy tym to jest uczucie dozwolone, chcę powiedzieć uczucie odwzajemnione. Tak wiele jest uczuć, o których nie można by tego samego powiedzieć.

Chodził po pokoju wzdłuż i wszerz, oglądając jakiś przedmiot, to znów biorąc w rękę inny. Miałem wrażenie, że ma mi coś do powiedzenia i że nie wie, w jakich słowach to uczynić.

— Mam tutaj inny tom Bergotte’a, przyniosę go panu — dodał i zadzwonił. Po chwili zjawił się groom.

— Proszę mi sprowadzić starszego kelnera. Jedyne on zdolny jest tutaj załatwić coś inteligentnie — rzekł pan de Charlus wyniośle.

— Pana Aimé, proszę jaśnie pana? — spytał groom.
— Nie wiem, jak mu na imię... ale tak, owszem, przypominam sobie, że go tu nazywano Aimé. Biegnij prędko, to pilne.
— Zaraz będzie tutaj, proszę jaśnie pana, właśnie go widział na dole — odparł groom, pragnąc robić wrażenie dobrze poinformowanego.
Upłynął jakiś czas. Groom wrócił.
— Proszę jaśnie pana, pan Aimé już poszedł spać. Ale ja mogę to załatwić.
— Nie, po prostu zbudzisz go.
— Proszę jaśnie pana, nie mogę, on nie sypia tutaj.
— W takim razie zostaw nas.
— Ależ proszę pana — rzekłem, skoro groom odszedł — pan jest zbyt dobry, jeden tom Bergotte'a wystarczy mi.
— Ostatecznie i ja tak sądzę.

Pan de Charlus chodził po pokoju. Upłynęło tak kilka minut, po czym, po paru chwilach namysłu i wahając się kilkakrotnie, obrócił się na pięcie i swoim znów smagającym głosem rzucił mi: „Dobranoc panu”, po czym wyszedł.

Po wszystkich wzniosłych uczuciach, jakiem słyszał z jego ust tego wieczora, nazajutrz (był to dzień jego wyjazdu) rano na plaży, w chwili, gdy miał się kąpać, bardzo mi się zdziwił, kiedy pan de Charlus, zbliżywszy się, aby mnie uprzedzić, że babka czeka na mnie skoro tylko wyjdę z wody, uszczypnął mnie w kark i powiedział z poufałym i trywialnym śmiechem:

— Ale my mamy gdzieś naszą starą babcie, he? małe ladaco?

— Ależ panie, ja ją ubóstwiam!

— Drogi panie — rzekł lodowato pan de Charlus, cofając się o krok — jest pan jeszcze młody, powinien by pan skorzystać z tego, aby się nauczyć dwóch rzeczy. Pierwsza, to powstrzymywać się od wyrażania uczuć zbyt naturalnych, aby się ich nie można było domyślić; druga, to nie wyskakiwać z odpowiedzią na to, co ktoś mówi, zanim się nie pojmie sensu jego słów. Gdybyś pan przed chwilą zachował tę ostrożność, nie sprawiłbyś wrażenia, że pleciesz trzy po trzy, przez co przydajesz nową śmieszność do faktu, że masz wyszyte kotwice na kostiumie kąpielowym. Pożyczyłem panu książkę Bergotte'a, potrzebuję jej. Niech mi ją pan odeśle za godzinę przez tego *maitre d'hotela* o śmiesznym i głupim imieniu, który, mam nadzieję, nie śpi o tej porze. Dowiódł mi pan, że za wcześnie mówiłem panu wczoraj o urokach młodości; oddałbym panu lepszą usługę, zwracając mu uwagę na jej gapiostwo, jej nietakty i brak inteligencji. Mam nadzieję, drogi panie, że ten mały prysznic stanie się panu nie mniej zbawienny niż pańska kąpiel. Ale niech pan tak nie sterczy w miejscu, mógłby się pan zaziębić. Żegnam.

Widocznie baron pożałował tych słów, bo w jakiś czas potem otrzymałem jeszcze raz książkę, której mi pożyczył i którą mu odesłałem nie przez Aimégo (miał właśnie „wychodnię”) ale przez chłopca od windy. W safianową oprawę książki inkrustowany był wypukło płatek skóry przedstawiający gałązkę niezapominajki.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/w-cieniu-zakwitajacych-dziewczatom-drugi>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, W poszukiwaniu straconego czasu, W cieniu zakwitających dziewcząt, tom drugi, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Towarzystwo Wydawnicze "Rój", Warszawa 1937.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiorów, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0719-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.